FAFO: zimny chów • Wyborcy trzech prawic • Czynsze grozy
Polak pędzi bimber • Docu-Doda • Gwałciciele pani Pelicot

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 10 (3554), 4.03–10.03.2026

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 10.03.2026

Polska bomba atomowa?

Czy to możliwe, czy to ma sens?

eprasa.pl 6e74b318b5

KOLOROWE OBIETNICE NAJNTISÓW

KUP TERAZ

W sprzedaży

132 strony

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 6e74b318b5

© SALAMPIX/ABACA/PAP

8
Wojna Trumpa

Tematy tygodnia

8 Mariusz Zawadzki **Atak na Iran**
10 Marek Świerczyński **Czy Polska potrzebuje bomby atomowej?**
14 Łukasz Wójcik **FAFO, czyli amerykański sposób wychowywania dzieci**

Polityka

18 Rafał Kalukin **Ich troje i prawicowe boje**
22 Krzysztof Burnetko **Referendum w Krakowie: co z tego wyjdzie**
24 Ewa Siedlecka **Sąd Najwyższy – decydujące starcie**

Rozmowa POLITYKI

27 Ks. prof. **Andrzej Kobyliński** o pedofilii w Kościele i o tym, czy rewolucja moralna jest możliwa

Społeczeństwo

30 Marcin Kołodziejczyk **Czynsze bardzo w górę**
34 Rozmowa z **Michałem Bonarowskim** o tym, jak walczyć z otyłością
37 Zbigniew Borek **Polak pędzi bimber**

Rynek

40 Marcin Piątek **Tunel kolejowy w Łodzi: co tu nie wychodzi**
43 Adam Grzeszak **Rewolucja komórkowa, czyli 30-lecie telefonii mobilnej w Polsce**
46 **Edward Fishman** o tym, dlaczego świat wkroczył w erę wojen ekonomicznych

Świat

49 Kinga Strzelecka-Pilch **Gisèle Pelicot: niech wstydzą się sprawcy**
52 **Marietje Schaake** o tym, dlaczego Europa kapituluje przed amerykańskimi big techami i czym to grozi
54 Tomasz Zalewski USA **Gavin Newsom: kolejna nadzieja Demokratów**

Nauka/projektpulsar.pl

56 Rozmowa z prof. **Dariuszem Kuźminą** i dr. hab. **Łukaszem Szurmińskim** o tym, dlaczego fałszywe informacje żyją tak długo
59 Marcin Rotkiewicz **Kiedy ludzie wrócą na Księżyc?**

Historia

62 Rozmowa z prof. **Błażejem Brzostkiem** o tym, jak kobiety radziły sobie w PRL
65 Łukasz Wójcik **Tajny referat Chruszczowa – 70 lat później**

Kultura

72 Janusz Wróblewski **Sceny Wajdy: ranking 10 najgłośniejszych i najważniejszych kadrów z filmów mistrza**
76 Krzysztof Nowak **Muzyka reklamowa**
80 Rozmowa z reż. **Emi Buchwald**, laureatką Paszportu POLITYKI w kategorii film
84 Bartek Chaciński **Doda i inni, celebryckie dokumenty**
86 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97 • **Jakie dżinsy są teraz modne**
• **Nowi prowokatorzy**
• **Leki i rymy**
• **Wielki Tydzień w Sewilli**
• **Kolekcjonowanie win**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy
• **6** Ludzie i wydarzenia • **68** Afisz
• **87** Hartman • **88** Sulej
• **89** Koziołek • **90** Orliński
• **91** Chutnik i Plebanek
• **92** Mizerski
• **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: GETTY IMAGES

eprasa.pl 6e74b318b5

Bliższy wschód

Jerzy Baczyński

Jeśli ktoś jeszcze potrzebował argumentów na obronę europejskiego programu zbrojeń SAFE, to właśnie je dostał. Atak Izraela i Stanów Zjednoczonych na Iran potwierdził tylko, jakie są dziś amerykańskie priorytety w sferze bezpieczeństwa. Minister Sikorski mówił w swoim dorocznym exposé, że Ameryka pozostaje naszym najważniejszym sojusznikiem, ale to niekoniecznie działa w drugą stronę. Odtwarzając „świat według Trumpa", Sikorski umieścił Europę na czwartym planie: najpierw bezpieczeństwo granic USA, czyli opanowanie migracji; potem półkula zachodnia jako strefa bezpośrednich interesów USA; dalej – globalna konfrontacja z Chinami, i dopiero Europa z Rosją. Teraz Europa obsuwa się jeszcze niżej, w rankingu sojuszników wyparta przez Izrael; a wojna w Ukrainie, wobec tej na Bliskim Wschodzie, staje się już tylko męczącym lokalnym konfliktem, gdzie trudno o jakiś spektakularny sukces, jakim było choćby porwanie Maduro czy zabicie Alego Chameneiego.

Premierowi Netanjahu udało się wciągnąć Donalda Trumpa w wojnę, której przebieg i skutki nie dadzą się ani przewidzieć, ani kontrolować. I nie wiadomo, czy w ogóle jest jakiś plan na dalszy ciąg. Na razie całemu regionowi grozi destabilizacja, a światu – powrót terroryzmu, poważne zakłócenia w transporcie lotniczym i morskim, wzrost cen ropy. To na Iran i Bliski Wschód Ameryka przekieruje teraz wojsko, dostawy broni, zasoby finansowe, wywiadowcze, a przede wszystkim najważniejszy dziś zasób geopolityczny: uwagę Donalda Trumpa. W najdłuższym w historii orędziu o stanie państwa, wygłoszonym dokładnie w czwartą rocznicę napaści Rosji na Ukrainę, Trump poświęcił tej europejskiej wojnie ledwie kilkadziesiąt sekund – zresztą w swoim tradycyjnym samochwalczym tonie („gdybym wtedy rządził, to by jej nie było"). Z agresywną Rosją u naszych granic zostajemy więc coraz bardziej sami. Jak w tej sytuacji cała prawicowa opozycja może w Sejmie głosować przeciwko przyjęciu programu SAFE, a prezydent grozić wetem; mówiąc metaforycznie – schowaniem klucza do sejfu?

Wszystkie oficjalnie podnoszone argumenty („niemiecki but", „ograniczenie suwerenności poprzez mechanizm warunkowości" czy „zaciąganie długu na zbrojenia i na pokolenia") zostały – fakt, że z opóźnieniem – wyjaśnione, zdementowane, nawet obśmiane przez ekspertów od prawa, finansów i zbrojeń. Trudno jednak obalać argumenty niewypowiadane: że chodzi tu w istocie o zablokowanie dopływu „do rządu" kilkudziesięciu miliardów złotych do wydania i chwalenia się akurat w latach przedwyborczych; że chodzi o fundamentalną, polexitową niechęć wobec Unii Europejskiej, którą SAFE umacnia organizacyjnie, politycznie, gospodarczo, militarnie; że chodzi o lobbing amerykańskich firm zbrojeniowych – czego nie kryli ambasadorowie USA przy NATO i UE, zarzucając Unii w oficjalnym liście (uwaga: to pisali przedstawiciele MAGA!) „protekcjonizm" i wspieranie europejskich przedsiębiorstw.

Dla prezydenta Nawrockiego, nominalnie i reprezentacyjnie „zwierzchnika sił zbrojnych", firmowany przez rząd Tuska oraz „brukselską oligarchię" wielki program modernizacji polskiego przemysłu obronnego i sił zbrojnych jest na pewno piarowym kłopotem (przed swoim wystąpieniem w Sejmie prezydent kazał usunąć z tła unijne flagi). Stąd nie tylko powtarzanie za PiS i obiema Konfederacjami „zasadnicze pytania i wątpliwości" wobec programu SAFE, ale także własne, prezydenckie alternatywne pomysły.

Taką była rzucona w reakcji na exposé ministra Sikorskiego idea, aby to Niemcy w ramach „należnych nam reparacji" zaczęli inwestować w sprzęt wojenny dla Polski. „Nie musielibyśmy wtedy korzystać z SAFE" – oświadczył prezydent. Plan, aby to „postnazistowskie Niemcy" (cytując niedawną wypowiedź prezesa Kaczyńskiego) jednak „wzięły pod but" polski przemysł obronny – wydaje się równie oryginalny i poważny, jak kolejny pomysł prezydenta Nawrockiego, czyli (tajne?) wyposażenie Polski we własną broń jądrową. Poświęcamy temu tematowi nasz okładkowy tekst, bo rzecz warto na serio tłumaczyć – historycznie, technicznie i politycznie.

W końcu jednym z głównych powodów, pretekstów do obecnego ataku na Iran był tamtejszy program budowy „narodowej bomby atomowej". Broń jądrowa jest rzeczywiście najpotężniejszym środkiem odstraszania, ale i szantażu militarnego. Dlatego wielostronne traktaty surowo zakazują jej rozprzestrzeniania. Czy jednak wobec ciągłych rosyjskich gróźb użycia broni A i ogólnego lekceważenia dla prawa międzynarodowego nie powinniśmy pokazać Putinowi, że „jakby co, to my też"?

Coraz niższa wiarygodność USA jako niezłomnego sojusznika w razie ewentualnej napaści Rosji na Europę skłania do tego, aby Europa miała własny parasol atomowy. I tu znów wracamy do SAFE. Nie chodzi w nim o stworzenie jakiejś jednej euroarmii, ale – jak mówił Sikorski – wzmocnienie „europejskiej nogi NATO" – drugą nogą jest ta amerykańska (choć jej stabilność trzeba oceniać „bez frajerstwa"). Dotychczas Europa była wojskowo zaniedbana, rozkojarzona, w gruncie rzeczy niezdolna do samodzielnej odpowiedzi i odpowiedzialności. SAFE, do którego przystąpiło już 14 krajów (w tym dysponująca bronią jądrową Francja), zaleca przeprowadzenie skoordynowanych inwestycji obronnych bardzo szybko – do 2030 r. Ten czas na stworzenie realnej europejskiej wspólnoty obronnej wywalczyła dla nas Ukraina. To też czas, aby rozmawiać o parasolu nuklearnym. Europejskim, a więc także polskim. Mamy swoją wojnę, na naszym bliskim wschodzie.

eprasa.pl 6e74b318b5

Albatros 40 lat

Albatros travel

Sławna Wenecja i nieznane Veneto

U stóp Dolomitów leży włoski region Veneto (Wenecja Euganejska) z miastami takimi jak Padwa, Vicenza oraz oczywiście Wenecja – nazywana także Królową Lagun.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Wenecji. Spacer po Jesolo. **Dz. 2** Zwiedzanie Wenecji. Przepłynięcie łodzią na Plac św. Marka, spacer po mieście. **Dz. 3** Padwa i Vicenza. **Dz. 4** Kolorowa wyspa Burano, wyspa szklarzy Murano i Wenecja. **Dz. 5** Czas wolny. **Dz. 6** Bassano del Grappa – Włoska grappa. Most Ponte Vecchio. Prosecco w Valdobbiadene. **Dz. 7** Jesolo – Wenecja. Powrót do Warszawy.

7 dni
Wyloty z Warszawy
16/04, 28/04, 15/09 2026
od **4.998,-**

Uzbekistan – na Jedwabnym Szlaku

Tajemniczy świat orientu wzdłuż Jedwabnego Szlaku: Samarkanda, Buchara, Taszkent i Chiwa. Mieniące się kopuły meczetów, starożytne miasta, pustynne krajobrazy i historie wielkich imperiów. Komfortowa podróż śladami karawan, światłych idei i fascynujących kultur.

9 dni | Wyloty z Warszawy 17/04, 24/09 2026 | od 8.998,-

Angkor – imperium w głębi dżungli

Podróż śladami Imperium Khmerów przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam. Zwiedzanie Angkor Wat i Angkor Thom, Bangkok, Phnom Penh i Ho Chi Minh. Rejs Mekongiem, pływające targi, pola ryżu, wioska pająków oraz tunele Cu Chi.

15 dni | Wyloty z Warszawy 29/09, 15/11* 2026, 30/01*, 06/03* 2027
od **11.998,-**
*możliwość przedłużenia pobytu w Phan Thiet

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL07**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 6e74b318b5

Co, jeśli Nawrocki zawetuje SAFE

Ustawa ustanawiająca finansową ścieżkę wykorzystania niemal 44 mld euro z unijnej pożyczki obronnej dla Polski trafiła z Sejmu do prezydenta i czeka na jego podpis. Po przegłosowaniu senackich poprawek, które wzmocniły nadzór nad procedurami oraz zagwarantowały spłatę pożyczek spoza budżetu MON, **Karol Nawrocki** może czuć się usatysfakcjonowany, ale tylko częściowo. Obóz prezydenta, a jeszcze bardziej PiS i Konfederacja, krytykują unijny mechanizm za rzekome zniewolenie Polski wieloletnimi pożyczkami: na rzecz Niemiec, pod dyktando Brukseli, która będzie je mogła cofnąć, gdy nie spodoba się jej polityka Warszawy, tak jak to było z KPO... Na nic wyjaśnienia rządu i oświadczenia generałów, że tańszej i szybszej ścieżki wzmocnienia polskiego przemysłu nie ma. Na nic zaprezentowana w ubiegły piątek lista projektów, nieujawniająca konkretnych liczb i zamówień, ale wyraźnie promująca firmy z Polski, nie zaś z Niemiec. Karol Nawrocki przez pośredników zapowiada kolejne konsultacje, ale jego obóz polityczny wciąż grzmi o zdradzie.

Weto, choć nieprzesądzone, wisi w powietrzu. Rząd uspokaja, że nawet na tak drastyczny scenariusz jest gotowy, choć nie obędzie się wtedy bez kosztów. Pożyczki z SAFE dlatego uzyskały osobny fundusz (FIZB) w osobnej ustawie, by „obsłużyć" poza MON również MSWiA i resort infrastruktury. Na ich cele ma pójść ok. 15 mld zł z przewidzianych 187 mld dla Polski.

Jeśli prezydent położy weto ustawie, zagwarantowane środki z pożyczek nie znikną, ale trzeba je będzie skierować do już istniejącego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych, co zdaniem rządu da się zrobić bez nowelizacji ustawy o obronie ojczyzny. Przepychance prawnej (ponieważ prawica zapewne zakwestionuje taki ruch) będzie towarzyszyć renegocjacja projektów z polskiej listy w Brukseli, bo w miejsce zadań pozaobronnych będą musiały wejść te rezerwowe, tylko dla MON. Wojsko być może się ucieszy, ale cywilny system obronny kraju na pewno ucierpi, pozbawiony wielomiliardowych funduszy, które trudno będzie znaleźć w budżecie krajowym.

Dlatego policjanci, strażnicy graniczni, strażacy oraz przedsiębiorcy i związkowcy z różnych branż apelują do prezydenta o niemarnowanie szansy, jaka pojawia się po raz pierwszy od wejścia Polski do UE. Nawrocki chwilowo chce więcej rozmów z rządem, ale prawica mentalnie jest już poza SAFE. A być może poza Unią. (MŚ)

5 milionów plików

Minął rok (4 marca) od wszczęcia przez Prokuraturę Regionalną w Gdańsku śledztwa w sprawie malwersacji finansowych, których miał dopuścić się prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego **Radosław Piesiewicz** w latach 2022–24, gdy pełnił funkcje kierownicze w Polskim Związku Koszykówki i Polskiej Lidze Koszykówki. Postępowanie ruszyło po ustaleniu, że Piesiewicz za prowizje od umów sponsorskich skasował w tym czasie 7,3 mln zł. O astronomicznych prowizjach Piesiewicza od umów ze spółkami Skarbu Państwa POLITYKA pisała jako pierwsza (pod koniec 2023 r.). PiS przegrał wybory, żegnał się z władzą i układ, w którym Piesiewicz kasował miliony jako pośrednik tylko dzięki temu, że zielone światło dla państwowego sponsoringu w koszykówce dał mu nadzorujący spółki minister aktywów państwowych Jacek Sasin (prywatnie bliski znajomy Piesiewicza), zaczął się walić. W powietrzu wisiały frapujące pytania: o skalę zachłanności słynącego z zamiłowania do krzykliwego luksusu prezesa, jak również o bezinteresowność jego mocodawcy.

Piesiewicz wielokrotnie zaprzeczał, że inkasował prowizje, ale gdy przycisnęli go kontrolerzy skarbowi, odświeżył sobie pamięć. PLK wystawił faktury na kolejne 2 mln zł, ale do płatności nie doszło. Prokuratura podejrzewała, że pośrednictwo Piesiewicza było fikcyjne – czyli nie musiał nic robić, aby sponsora pozyskać, korzystał tylko z płynącego z MAP rozkazu, by państwowe firmy wspierały koszykówkę. I ustawił się do końca życia.

Ale śledztwo ugrzęzło w martwym punkcie. Jak informuje Mariusz Marciniak, rzecznik prasowy gdańskiej prokuratury, w sprawie nie przesłuchano do tej pory żadnego świadka – byłoby to niecelowe, gdyż najpierw trzeba uporać się z dokumentacją, również tą elektroniczną. Tymczasem tylko w PLK zabezpieczono 5 mln plików. Zdaniem rzecznika są to dokumenty interesujące, „sukcesywnie przeglądane pod kątem dalszej przydatności". Jednocześnie prokurator Marciniak nie odpowiedział na pytania o to, ile milionów (a może nawet miliardów) plików zabezpieczono łącznie w przeszukiwanych podmiotach (razem z PLK było ich 16), ile osób w prokuraturze oddelegowano do tej mrówczej pracy (jest to tajemnica postępowania) i jak wiele plików już „sukcesywnie przejrzano". 5 mln plików w sprawie Piesiewicza to mocny kandydat do symbolu nieporadności prokuratury w rozliczaniu pisowskich układów. (MP)

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

eprasa.pl 6e74b318b5

Partia Morawieckiego?

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

Wystarczyło trochę słońca i partie polityczne ruszyły do robienia wiosennych porządków we własnych szeregach. Za kilka miesięcy ruszy kampania wyborcza, więc trzeba przeliczyć szable, przetestować lojalność członków i zdyscyplinować niepokornych. Przede wszystkim jednak – przegrupować siły. KO przeszła przez zimę w miarę suchą stopą, sondaże są stabilne i oscylują w granicach 29–34 proc., mimo to powodów do niepokoju jest sporo, a nawet 2050. Trudno wskazać, co bardziej pogrążyło partię Szymona Hołowni w oczach wyborców: narcystyczna osobowość lidera czy wewnętrzna wojna pomiędzy stronnikami Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz i Pauliny Hennig-Kloski. Faktem jest jednak, że w sondażach ugrupowanie spadło pod próg wyborczy. Zapewne poza zrozumiałą w tych okolicznościach złośliwą satysfakcją – przecież to Hołownia po raz drugi zaszkodził Trzaskowskiemu w wygraniu wyborów prezydenckich – wynik koalicjanta musi głęboko niepokoić premiera Donalda Tuska. Tym bardziej że także drugi koalicjant, czyli PSL, notuje dramatycznie niski wynik (2,4 proc.), co jest o tyle zaskakujące, że sam wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz jako szef MON wypada całkiem nieźle, a lutowy ranking zaufania do polityków daje mu drugie miejsce – po Karolu Nawrockim.

Zyskuje za to – choć wciąż nieznacznie – Lewica, która z niemal 6 proc. poparcia liczy na odcinanie kuponów od rosnącej popularności marszałka Włodzimierza Czarzastego, który po zastąpieniu Hołowni może w końcu rozwinąć skrzydła. Tuska musi jednak niepokoić fakt, że o ile lewe skrzydło rządowej koalicji jakoś się trzyma, o tyle prawe, reprezentowane przez bardziej konserwatywnych ludowców, wskazuje objawy uwiądu. Zagrożenie jest duże, ponieważ przy takich sondażach obecnie rządzący nie byliby w stanie w 2027 r. utworzyć większościowej koalicji, a na „głosowanie taktyczne" wyborcy KO drugi raz nie dadzą się nabrać.

Nastroje w PiS też nie są najlepsze. Wewnętrzne napięcia eskalowały do rozmiarów poważnego konfliktu podczas pobytu Kaczyńskiego w szpitalu. Po powrocie prezes zarządził gruntowne porządki i wprowadził oficjalny „zakaz wszczynania szkodliwych dyskusji", który ma zdyscyplinować polityków zwaśnionych frakcji. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że karząca ręka partyjnej sprawiedliwości najczęściej spada na „harcerzy" Mateusza Morawieckiego. W okolicach Nowogrodzkiej krążą plotki, że były premier bada możliwość stworzenia własnej centroprawicowej partii, która niezależnie od tego, czy w następnych wyborach wygra KO czy PiS, może się stać języczkiem u wagi jako niezbędny koalicjant.

Pokusa z pewnością wzrosła od momentu, gdy Kaczyński, po rozmowie z ambasadorem USA Thomasem Rose'em, zapowiedział, że wyklucza współpracę z Konfederacją Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Jeszcze większy entuzjazm w środowisku byłego premiera wywołał sondaż Pollsteru na zlecenie „SE", w którym aż 38 proc. respondentów wskazało, że ich standard życia był wyższy za czasów premiera Morawieckiego niż Tuska. Krótka i wybiórcza pamięć Polaków może zatem wpłynąć na pojawienie się nowego tworu politycznego, na czele z człowiekiem odpowiedzialnym za największe afery ostatnich lat.

Płać i płacz

Właściciel spółki deweloperskiej HRE Investments **Michał Sapota**, który wyprowadził w pole tysiące klientów, wciąż przebywa w areszcie (już piąty miesiąc). Tymczasem niedoszli właściciele mieszkań, którzy na ich zakup zaciągnęli kredyty, dostają od banków wezwania do podpisania aneksów do umów w związku z upływem terminu na przeniesienie aktu własności. Same inwestycje utknęły na etapie dziury w ziemi. Nie ma mieszkań, nie może być aktów własności, ale banki komunikują klientom: łaskawie przedłużymy termin (najczęściej o rok), jednak to będzie kosztować. Nawet 8 tys. zł.

Pechowi klienci HRE już płacą co miesiąc odsetki od części kredytu, który trafił na rachunek powierniczy dewelopera, mimo że budowa nie ruszyła z miejsca. – *To tylko odsetki, kapitał ani drgnie, po prostu wrzucamy pieniądze w czarną dziurę. Banki zarabiają, my na dodatek płacimy za wynajem* – mówi jedna z nabywczyń. Wraz z innymi radzi się, co robić

z aneksami, tym bardziej że prolongata jest tylko na rok, później trzeba się będzie liczyć z kolejnym aneksem i kolejnymi kosztami. Strategie są różne: negocjować z bankiem, pisać skargę do Rzecznika Finansowego, nie podpisywać (ryzykując, że bank wypowie umowę). Albo – spłacić kredyt. To najbardziej sensowne wyjście, ale na taki ruch mogą sobie pozwolić ci, którzy posiłkowali się skromną pożyczką. Wielu klientów HRE zaciągnęło jednak kredyt na całą wartość mieszkania.

Klienci mają pretensje do banków, że udzielały kredytów na inwestycję dewelopera będącego w fatalnej sytuacji finansowej, który obiecywał, lecz nie budował. Banki odpowiadają: nie jesteśmy od tego, by weryfikować kondycję finansową dewelopera. Mieszkania HRE sprzedawano – i udzielano kredytów – do połowy 2024 r., tymczasem już dwa lata wcześniej Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów pisemnie alarmował nadzorującą banki Komisję Nadzoru Finansowego, że funkcjonowanie grupy kapitałowej HRE rodzi zwiększone ryzyko dla systemu finansowego i bankowego (POLITYKA 50/25).

Rzecznik prasowy KNF Jacek Barszczewski potwierdził, że zgłoszenie od UOKiK wskazywało na ryzyko systemowe, ale jednocześnie było „ogólnikowe" i „powierzchownie sformułowane". Prośba do UOKiK, by doprecyzował zarzuty, pozostała bez odpowiedzi. Poza tym, zdaniem rzecznika, to UOKiK ma obowiązek udzielać ostrzeżeń publicznych, każda zaś próba ograniczenia finansowania działalności kredytowej przez KNF „natychmiast spotkałaby się z zarzutem dyskryminacji dewelopera". (MP)

Odpowiedź UOKiK na polityka.pl

eprasa.pl 6e74b318b5

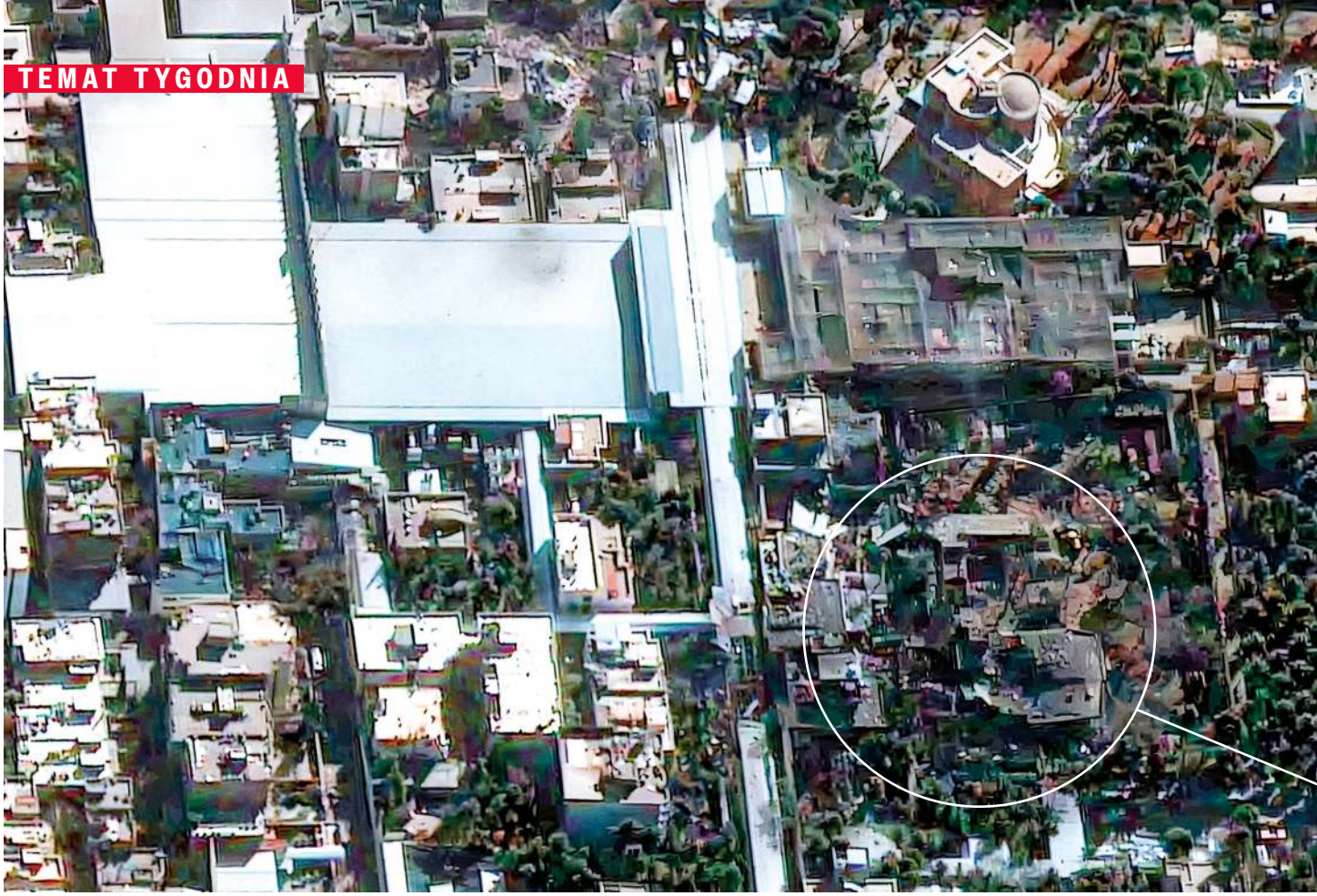

Operacja z powi

MARIUSZ ZAWADZKI

Amerykańsko-izraelska wojna z Iranem, która zaczęła się w sobotę, jest znakiem nowych czasów, w których żyjemy.

Jeszcze całkiem niedawno, kiedy Ameryka planowała jakąś większą wojnę, odbywała się debata publiczna: w mediach, w Kongresie i w think tankach w Waszyngtonie. Prezydent i jego ludzie apelowali do narodu, a czasami nawet do całego świata. W 2002 r., kilka miesięcy przed inwazją na Irak, ówczesny sekretarz stanu Colin Powell wystąpił na sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ i pokazywał dowody, że Saddam Husajn potajemnie pracuje nad bronią masowego rażenia. Wprawdzie później okazały się fałszywe, ale Amerykanie je pokazywali, bo chcieli przekonać społeczność międzynarodową, że wojna jest konieczna i sprawiedliwa.

Tym razem nic takiego się nie zdarzyło. Kilka tygodni temu, kiedy irański reżim brutalnie tłumił uliczne demonstracje, Donald Trump ogłosił w mediach społecznościowych: „Irańczycy nie przerywajcie protestów, pomoc jest w drodze!". A potem wysłał dwie flotylle pod przewodem lotniskowców – jedną na Morze Śródziemne, drugą do wejścia Zatoki Perskiej. Nie odbyła się w tej sprawie żadna publiczna debata, Trump nic nikomu nie wyjaśniał, a też – co najdziwniejsze! – mało kto w Ameryce domagał się od niego wyjaśnień. Większość opinii publicznej była przeciw atakowi na Iran, ale nie do tego stopnia, żeby robić z tego powodu jakieś awantury. Ludzi bardziej oburzała np. sprawa Epsteina. Nie było też tradycyjnego przemówienia prezydenta transmitowanego na żywo z Białego Domu. W sobotę o drugiej w nocy Trump wrzucił do netu ośmiominutowy filmik, w którym stwierdził, że właśnie wydał rozkaz ataku na „grupę bardzo złych ludzi, którzy tworzą irański reżim, a ich działania stanowią bezpośrednie i nagłe zagrożenie dla narodu amerykańskiego, dla naszych wojsk i naszych sojuszników".

Nawet ktoś, kto ledwo śledzi newsy, zapewne wyczuwa tu fałsz. Bo przecież Irańczycy nie zagrażają narodowi amerykańskiemu. Nie mają rakiet dalekiego zasięgu – w odróżnieniu od np. Korei Północnej – ani nad nimi nie pracują. Od czerwca 2025 r. nie mają również programu atomowego. Zakończyły go amerykańskie i izraelskie naloty, po których sam Trump ogłosił: „Irańskie instalacje nuklearne zostały całkowicie unicestwione, a jeśli gdzieś słyszycie coś innego, to jest fake news".

eprasa.pl 6e74b318b5

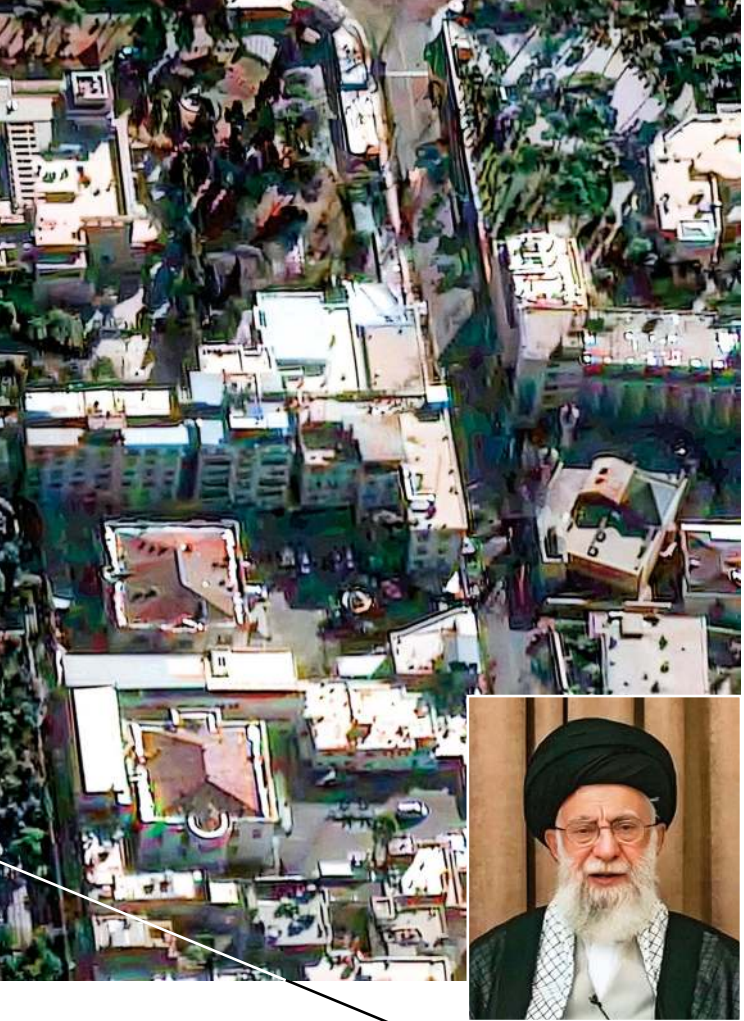

etrza

Zbombardowana rezydencja, w której zginął ajatollah Ali Chamenei i przedstawiciele najwyższych władz Iranu

Po co zatem Ameryce ta wojna? Czyżby Trump postanowił – w ramach starań o Pokojową Nagrodę Nobla – obalać dyktatorów? Już porwał prezydenta Wenezueli i zablokował dostawy ropy na Kubę, żeby doprowadzić do upadku pogrobowców Fidela Castro. A teraz spełnia obietnicę daną irańskim demonstrantom. W swoim filmiku zaapelował do nich: „Kiedy skończymy bombardować, przejmijcie władzę. Taka szansa nie zdarzy wam się przez kilka następnych pokoleń. Przez wiele lat prosiliście Amerykę o wsparcie i nigdy go nie otrzymaliście. Ale teraz macie prezydenta, który uruchomił całą potęgę Ameryki, żeby wam pomóc. Nie zmarnujcie szansy!". Z przecieków wiadomo, że za kolejnym atakiem na Iran od miesięcy lobbował w Białym Domu premier Beniamin Netanjahu. Iran od wielu lat sponsoruje palestyński Hamas i libański Hezbollah, dlatego osłabienie lub obalenie reżimu leży w interesie Izraela.

Już w pierwszych minutach wojny zginął najwyższy przywódca Iranu, 86-letni ajatollah Ali Chamenei. CIA dowiedziała się, że w sobotę rano spotka się z doradcami w swojej rezydencji w centrum Teheranu. Takiej okazji Trump nie chciał przegapić, dlatego wydał rozkaz ataku. O dziewiątej rano na rezydencję zrzucono ok. 30 bomb i rakiet; oprócz Chameneiego zginęli również jego córka, wnuk i zięć oraz ponad 20 irańskich prominentów. Co ciekawe, ajatollah zawsze w sobotę rano właśnie w tym miejscu spotykał się ze swoimi współpracownikami (sobota to w Iranie początek tygodnia pracy). Tak było i tym razem. Nie zeszli do bunkrów, tylko obradowali jakby nigdy nic, niepomni na groźby Trumpa i na dwie przyczajone amerykańskie flotylle.

Chamenei już od zeszłego roku, kiedy Amerykanie i Izrael bombardowali irańskie obiekty atomowe, liczył się z tym, że zostanie „męczennikiem". Wytypował trzech potencjalnych następców, m.in. Hasana Chomeiniego, wnuka słynnego przywódcy rewolucji z 1979 r. Ale to tylko rekomendacje, bo nowego najwyższego przywódcę wybiera Zgromadzenie Ekspertów, czyli 88 duchownych, którzy na razie chyba nie będą się gromadzić, bo staliby się kolejnym celem. Chamenei nakazał też szefom wszystkich instytucji państwowych, żeby przygotowali co najmniej czteroosobowe listy swoich zastępców – na wypadek, gdyby sami zostali zabici. Na razie ten system dosyć sprawnie działa, bo Iran nie został sparaliżowany, lecz odpowiedział na atak, odpalił setki rakiet i dronów na Izrael i różne kraje Zatoki Perskiej. Znakomitą większość zestrzelono, ale kilka się przedarło przez systemy antyrakietowe.

Dziewięć osób zabiła irańska rakieta w miasteczku Bet Szemesz pod Jerozolimą. „Potępiamy barbarzyńską zbrodnię wojenną, której ofiarami są niewinne rodziny" – oświadczył Netanjahu, który sam jest oskarżony o zbrodnie wojenne przez trybunał w Hadze (za wojnę w Strefie Gazy, gdzie zginęło kilkadziesiąt tysięcy osób). Irański dron kamikadze uderzył w wyższe piętra luksusowego hotelu w Dubaju i zabił obywatela amerykańskiego, który był jego gościem. W ataku innego drona zginęło też dwóch żołnierzy USA w bazie w Jordanii.

Irańska Gwardia Rewolucyjna ogłosiła, że zamyka cieśninę Ormuz, czyli wejście do Zatoki Perskiej, którym przepływa jedna piąta całej ropy naftowej zużywanej na świecie i jedna czwarta płynnego gazu ziemnego. Irańskie pociski rakietowe lub drony trafiły tankowce pod banderami Palau i Wysp Marshalla, które próbowały wpłynąć do Zatoki (czyli nie miały ładunku). Pierwszy palił się i powoli tonął; ewakuowano wszystkich 20 marynarzy, kilku jest rannych. W drugim zginął jeden marynarz. Irańska telewizja podała, że statki ostrzelano, ponieważ podjęły „nielegalną próbę przepłynięcia cieśniny". Najwięksi światowi armatorzy już zawiesili wszystkie rejsy do Zatoki Perskiej, a analitycy zastanawiali się, czy i kiedy cena baryłki ropy skoczy do 100 dol. (w ostatni piątek wynosiła ok. 70 dol.).

Rakiety i drony kamikadze spadły na rafinerię w Arabii Saudyjskiej oraz na różne obiekty cywilne w Kuwejcie, Bahrajnie i Omanie oraz Jordanii. Zaatakowane zostało nawet terytorium Unii Europejskiej – dron uderzył w brytyjską bazę na Cyprze. Najwyraźniej Teheran ma nadzieję, że arabscy i europejscy sojusznicy Ameryki poproszą Trumpa o zakończenie wojny. I nową fazę rozmów ze skruszonym przeciwnikiem.

Rządy Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec potępiły Iran za ostrzał na ślepo, nawet w krajach, które nie są stronami konfliktu. O dziwo takiego potępienia nie wywołało doniesienie o zbombardowaniu żeńskiej szkoły w irańskim porcie Minab, w którym zginąć miało ok. 100 dziewczynek w wieku 7–12 lat. Szkoła jest położona 600 m od bazy morskiej Strażników Rewolucji, nie wiadomo, przez kogo została trafiona. Prawie nikt na Zachodzie nie mówi o tym, że Ameryka i Izrael łamią prawo ▶

© DIGITAL GLOBE/GETTY IMAGES, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ międzynarodowe. Karta Narodów Zjednoczonych wyraźnie stanowi, że sił zbrojnych można użyć tylko wtedy, gdy zezwala na to rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ albo w obronie przed bezpośrednim zagrożeniem lub atakiem. Jest oczywiste, że nie zaszedł żaden z tych przypadków. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz napisał na Twitterze: „To nie jest moment na pouczanie naszych sojuszników, musimy być razem i zjednoczeni". Jedynie hiszpański premier Pedro Sánchez wyrwał się przed szereg i oświadczył: „Można być przeciwko brutalnemu reżimowi w Iranie, ale jednocześnie być przeciwko nieuzasadnionej, niebezpiecznej interwencji wojskowej, która narusza prawo międzynarodowe".

Podobna inercja panuje w Ameryce. Zgodnie z konstytucją to Kongres decyduje o wojnie, ale kongresmeni biernie tolerują samowolę Trumpa. Słychać tylko pojedyncze głosy sprzeciwu. „Bombardowanie jakiegoś kraju po drugiej stronie globusa nie sprawi, że zapomnimy o sprawie Epsteina!" – szydzi kongresmen Thomas Massie, jeden z kilku buntowników przeciwko Trumpowi w Partii Republikańskiej. „Gdzie jest to bezpośrednie zagrożenie, jakie Iran stwarza dla Ameryki? Ciągle nie usłyszałem odpowiedzi" – pyta senator Mark Warner z Partii Demokratycznej.

Prawda jest taka, że wielu Demokratów po cichu popiera wojnę. Po pierwsze, ich kampanie wyborcze są finansowane przez AIPAC, czyli lobby proizraelskie. Po drugie, wojna bardzo się im opłaca politycznie. Przecież hasło wyborcze Trumpa brzmiało „Po pierwsze: Ameryka" (America First). Obiecywał, że nie będzie wszczynał żadnych wojen ani obalał dyktatur. A teraz obala trzy dyktatury jednocześnie, a Amerykanie nadal narzekają na inflację i rosnące koszty życia. Część jego wyborców czuje się oszukana. Sondaż Ipsos/Reuters przeprowadzony w weekend, już po pierwszych nalotach, pokazuje, że tylko 27 proc. Amerykanów je popiera, a 43 proc. jest przeciwko (reszta nie ma zdania). Dla porównania: wojny w Afganistanie i Iraku popierało na początku 80–90 proc. Amerykanów. Jeśli coś w Iranie pójdzie nie tak, Demokraci odniosą miażdżące zwycięstwo w jesiennych wyborach do Kongresu.

Przed Iranem jest kilka scenariuszy. W najgorszym Irańczycy posłuchają Trumpa i powstaną przeciw dyktaturze, ale ich rebelia zostanie utopiona we krwi. Coś takiego przytrafiło się w 1991 r. Irakijczykom, którzy posłuchali wezwań George'a Busha seniora. Nawet jeśli irańska armia zostanie rozbita w puch, to ajatollahom zostaną setki tysięcy basidżich, rewolucyjnych ochotników, którzy pałkami i karabinami stłumili wszystkie dotychczasowe uliczne zrywy w Iranie. Ich nie da się zbombardować tak łatwo jak radarów, wyrzutni rakiet i baz wojskowych.

MARIUSZ ZAWADZKI

KUP TERAZ

Polecamy także lekturę naszego Pomocnika Historycznego **„DZIEJE PERSÓW I IRANU"**. Dostępny w dobrych punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl** – jako wydanie papierowe, cyfrowe oraz audio.

TEMAT TYGODNIA

Bomba

Polska debata nad bombą atomową eksplodowała z niezwykłą siłą. Czy możemy ją zbudować? Co bomba dała innym? I czy własny parasol atomowy jest nam potrzebny? Premier Tusk zapowiedział rozmowy z Francją i kilkoma innymi sojusznikami na temat europejskiego systemu odstraszania nuklearnego.

eprasa.pl 6e74

domowej roboty

© STUDIO POLITYKA

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Prezydent Karol Nawrocki wyprowadził iście atomowy cios. W Polsacie w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim zadeklarował, że jest za pozyskaniem przez Polskę zdolności nuklearnych. Pytanie padło w kontekście europejskich debat o wspólnym nuklearnym odstraszaniu. Nawrocki stwierdził, że powinno być ono drogą do osobnego „polskiego potencjału", ale z poszanowaniem regulacji międzynarodowych. Skontrowany, czy Amerykanie na to pozwolą, prezydent odparł, że nie wie, ale realia kraju frontowego temu sprzyjają.

Polska deklaracja „za bombą", padająca z najwyższego szczebla, poniosła się w świat. Zaowocowała nagłówkami w Bloombergu, Politico i wielu innych mediach. W komentarzach można było dostrzec echa europejskich obaw o wiarygodność USA, ale też nauczkę Ukrainy, która broń jądrową w 1994 r. zamieniła na zachodnie gwarancje bezpieczeństwa, warte mniej niż zadrukowany nimi papier.

W zasięgu ręki

Nawrocki nie był pierwszy. Kilka razy kwestię nuklearną poruszał za swojej prezydentury Andrzej Duda. Ostatni raz w marcu 2025 r., gdy powtórzył apel do Amerykanów i NATO o rozmieszczenie na polskim terytorium broni odstraszania w ramach *nuclear sharing*, czyli mechanizmu udostępniania taktycznej broni jądrowej tym państwom Sojuszu, które jej nie posiadają. Kilka dni wcześniej w Sejmie o polskiej ścieżce nuklearnej – mniej jasno – mówił też premier Donald Tusk. Kilka razy w ostatniej dekadzie zdarzało się poruszać nuklearne tematy prezesowi PiS Jarosławowi Kaczyńskiemu. I to nawet w kontekście Europy jako potęgi atomowej. Pierwszy był jednak wiceminister obrony Tomasz Szatkowski, który w 2015 r. – również w Polsacie – wspomniał, jakoby trwały rozmowy na temat umieszczenia amerykańskich bomb jądrowych w Polsce. Jego słowa wywołały falę krytyki, nawet kierowany wówczas przez Antoniego Macierewicza resort obrony wydał dementi – choć przywołał analizy o deficycie odstraszania w Europie, to wskazał na uregulowania traktatowe zakazujące rozprzestrzeniania broni jądrowej. Fakt, że dziś bez oporów mówią o tym nie tylko analitycy, lecz również prezydenci i premierzy, to symbol zmiany czasów.

Najnowszym głosem w polskiej dyskusji jest świeżo wydana książka Alberta Świdzińskiego z niezależnego think tanku Strategy and Future pod tytułem „Nasza bomba". Autor stawia w niej tezę, że w czasach rozchwiania światowego ładu i przy obecnych możliwościach gospodarczo-technologicznych Polski własny projekt nuklearny byłby w zasięgu ręki. Oczywiście przy wsparciu Amerykanów, którzy w teorii mogliby potraktować Polskę podobnie jak wcześniej Izrael i Pakistan, przymykając oko na zakulisowe działania władz oraz ułatwiając zdobycie kluczowych technologii. ▶

pl 6e74b318b5

▶ Waszyngton mógłby taki deal zaoferować Polsce, uważa Świdziński. Zwłaszcza gdyby zdarzyło się coś, co postawiłoby Amerykanów pod ścianą. Np. gdyby musieli wybierać między utrzymaniem spokoju w Europie i własnymi problemami w innej części świata. Pierwszy scenariusz to choćby wojna na Indo-Pacyfiku, która sprawi, że amerykańskie zasoby zostałyby wycofane z Europy. W takiej sytuacji najlepszym rozwiązaniem dla USA mogłoby być przesunięcie taktycznej broni jądrowej z Holandii, Belgii, Włoch czy Niemiec właśnie do Polski. Po to, by dać jasny sygnał Rosji.

Atomowy awans

Ten wiatr zmian wyczuwają też inni sojusznicy USA. Nuklearne podchody kilka lat temu zaczęła Arabia Saudyjska. W lutym świat obiegły doniesienia, że Amerykanie zezwolą jej na wzbogacanie uranu w ramach teoretycznie cywilnego porozumienia o rozwoju energetyki jądrowej. Zaprzyjaźniony z Trumpem Rijad w planie maksimum dąży do uzyskania pozycji równej Izraelowi (o czym chyba może zapomnieć), ale bardziej zależy mu, by w pogoni za bombą nie dać się wyprzedzić Iranowi (który i tak jest na celowniku USA i Izraela). Na razie Saudyjczycy zawarli we wrześniu 2025 r. układ obronny z Pakistanem, uwzględniający użycie pakistańskiego arsenału odstraszania. To rzadki przykład rozłożenia atomowego parasola przez atomowego nuworysza i kolejny znak czasów.

Tradycyjnie związana z USA Australia nie poszła tak daleko, ale w porozumieniu AUKUS, jeszcze za prezydentury Joe Bidena, zagwarantowała sobie dostęp do wojskowej technologii nuklearnej w postaci atomowych okrętów podwodnych. Ma też samoloty mogące przenosić amerykańskie bomby jądrowe. Idąca niejako w jej ślady Korea Południowa w ub.r. dostała z Waszyngtonu zielone światło na budowę okrętu podwodnego o napędzie nuklearnym, co bywa interpretowane jako pierwszy krok na drodze do nuklearyzacji. Korea Północna znuklearyzowała się sama – ze wsparciem Chin i Rosji – w początkach XXI w. I pozostaje jednym z największych zagrożeń nie tylko dla jej sąsiadów, ale nawet USA. Scenariusz wystrzelonego na rozkaz Kim Dzong Una pocisku międzykontynentalnego był podstawą najnowszej fali amerykańskiego katastrofizmu nuklearnego w popkulturze, m.in. fascynującej książki Annie Jacobsen „Wojna nuklearna. Możliwy scenariusz" i mniej udanego filmu „Dom pełen dynamitu".

Pakistan wybił się na nuklearną niezależność w kontrze do wspieranych przez Sowietów Indii z milczącym, ale konkretnym, co dziś wiadomo, wsparciem USA. Rywalizację amerykańsko-sowiecką na subkontynencie Amerykanie początkowo przegrali – Indie przeprowadziły pierwszy test w 1974 r. Ale pod parasolem USA Pakistan również odrzucił wprowadzany na świecie zakaz proliferacji i ostatecznie zbudował pierwszą „islamską bombę" w latach 90. Obecnie 170 głowic na rakietach zapewnia Pakistanowi gwarancję odstraszania Indii, które mają nieco większy arsenał i dysponują triadą – rakietami lądowymi, na okrętach podwodnych i samolotach.

W odróżnieniu od Indii i Pakistanu Izrael rozmiarów swojej potęgi nuklearnej nigdy nie ujawnił i nie przyznaje, że broń jądrową w ogóle posiada. Zdaniem ekspertów rozwijany ze wsparciem USA, Francji i Norwegii od lat 50. izraelski program jądrowy wyprodukował do dziś co najmniej 90 głowic. Zbudowana na bazie cywilnej energetyki nuklearna triada w wersji mini (Izrael nie ma pocisków międzykontynentalnych ani bombowców strategicznych) gwarantuje państwu żydowskiemu dominację w regionie.

Były też kraje, które same, w wyniku rachunku kosztów polityczno-ekonomicznych, lub pod naciskiem międzynarodowym zrezygnowały z kontynuacji zbrojeń jądrowych. W latach 60. ponoć zaawansowany program nuklearny zatrzymała Szwecja. Pod koniec lat 80. podobnie uczyniła Republika Południowej Afryki, która wcześniej potajemnie współpracowała z Izraelem i Tajwanem. Korzystająca ze wsparcia ZSRR, ale ekonomicznie niewydolna Libia miała zrezygnować z własnych starań krótko potem. Tajwan gościł na swoim terytorium amerykańską broń jądrową, wycofaną po chińskim zwrocie Richarda Nixona w 1971 r., i prowadził własne badania, które doprowadziły nawet do zakupu materiałów rozszczepialnych. Ostatecznie jednak zrezygnował z własnej bomby.

Ten trend ostatnio się odwraca. Kolejne państwa znów myślą o bombie, do czego przyczynia się widoczne załamanie międzynarodowego ładu gwarantowanego porozumieniami mocarstw, rosnąca asertywność średnich potęg oraz ryzyko globalnej wojny, przed którym przestrzega przestawiany co roku Zegar Zagłady (symboliczny zegar uruchomiony w 1947 r. przez zarząd Bulletin of the Atomic Scientists na Uniwersytecie Chicagowskim. Pokazuje liczbę minut do północy, która oznacza koniec świata). Po tym, jak na początku 2026 r. wygasł traktat New START o ograniczeniu liczby aktywnych głowic jądrowych między Rosją i USA, wspomniany Zegar pokazuje symboliczną minutę i 25 sekund do końca świata, jaki znamy. Nic dziwnego, że popyt na nuklearne odstraszanie rośnie.

Termojądrowiec ze Lwowa

Hasło „zróbmy sobie bombę" łatwo rzucić, ale na tym kończą się proste rozwiązania. Zacząć trzeba od „wkładki mięsnej", czyli przydatnego wojskowo materiału rozszczepialnego o wysokiej zawartości izotopu uranu 235. To nie to samo co paliwo do cywilnych reaktorów energetycznych, dostępne na atomowym rynku. Taki surowiec nie występuje też w przyrodzie. Dlatego kraje podejmujące wysiłek budowy broni jądrowej musiały zmierzyć się z problemem wzbogacania, czyli „zwiększania zawartości uranu w uranie".

Będący w ostatnich latach przedmiotem obaw, ale też obiektem medialnego zainteresowania program jądrowy Iranu obrazuje, że potrzeba do tego skomplikowanych urządzeń, zwanych potocznie wirówkami, lat pracy tego sprzętu oraz setek naukowców, inżynierów i techników, których wcześniej należy wyedukować i wyszkolić. To wysiłek poprzedzający hasło naszej bomby o dekadę, jeśli nie o dwie.

Dopiero uzyskawszy zdatny do zastosowania materiał i nabrawszy doświadczenia – też przez zakazane traktatami testy – można myśleć o naszej bombie. Do tego trzeba jeszcze dołożyć stosowną formę, opakowanie, by wszystko razem przybrało w końcu postać wojskowo użytecznej głowicy pocisku manewrującego, bomby lotniczej, rakiety balistycznej czy nawet drona. W sumie nie są to rzeczy technicznie superskomplikowane – to, co się dzieje w środku, jest nauce znane od ponad stu lat, a technice wojskowej od lat osiemdziesięciu.

Jednocześnie od ponad pół wieku rozprzestrzeniania broni jądrowej, technologii i komponentów do jej produkcji zabrania podpisany przez większość państw świata, w tym Polskę, traktat NPT (Non-Proliferation Treaty). To najszerzej uznawany mechanizm

eprasa.pl 6e74b318b5

Maria, naukowo-medyczny reaktor działający w podwarszawskim Świerku

kontroli zbrojeń, bo podpisali go wszyscy poza Izraelem, Indiami, Pakistanem i Sudanem Południowym, a tylko jeden kraj – Korea Północna – się z niego wycofał. Gdy więc prezydent Nawrocki mówi o poszanowaniu prawa międzynarodowego przy jednoczesnym wsparciu pozyskania broni jądrowej, przeczy sam sobie.

Gdyby jednak istniało coś takiego jak roszczenie o prawa intelektualne oparte na pochodzeniu ich wynalazcy, to Polska mogłaby z nim wystąpić. Współtwórcą amerykańskiej bomby termojądrowej był bowiem matematyk ze Lwowa Stanisław Ulam. W obliczenia na rzecz projektu nuklearnego zaangażował się już na emigracji w USA. Dzięki konceptowi znanemu jako projekt Ulama-Tellera (ten drugi to Edward Teller) można zbudować ładunek o wiele silniejszy niż klasyczne bomby atomowe, który w dodatku daje się zmieścić w czymś, co wielkością i kształtem przypomina duży termos. Jeśli uświadomimy sobie, że to tak naprawdę dwie „bomby" – pierwsza, oparta na rozpadzie ciężkich jąder uranu lub plutonu, służy jako zapalnik drugiej, opartej na fuzji lekkich jąder izotopów wodoru – łatwo się zorientować, że Robert Oppenheimer nie był sam i miał godnych kontynuatorów z przedwojennej Polski.

Wzbogacony Gierek

Popularny mit (bardziej niż historyczne dowody) głosi też, że w PRL za rządów Edwarda Gierka podejmowano prace naukowe związane z wojskowym wykorzystaniem energii jądrowej. Chodzi o badania prof. gen. bryg. Sylwestra Kaliskiego w Wojskowej Akademii Technicznej nad laserowym wzbudzeniem syntezy jądrowej, co w teorii miało być wstępem do stworzenia polskiej bomby neutronowej. Śmierć naukowca w wypadku samochodowym, wspierana legendą o rzekomym dążeniu Gierka do uniezależnienia się od Moskwy, dała podstawy do licznych teorii spiskowych, a także fabuły popularnego serialu „Pajęczyna". Żadna nasza bomba z tego nie wyszła, a przygotowania do testowego podziemnego wybuchu to fantazja serialowych scenarzystów.

Materiału na naszą bombę nie wyprodukuje też projektowana polska elektrownia jądrowa ani tym bardziej leciwa Maria – naukowo-medyczny reaktorek działający, ostatnio z problemami, w podwarszawskim Świerku. Choć za sprawą wicepremiera Radosława Sikorskiego i Maria pojawiła się w polskiej debacie. Sikorski, reagując na nuklearne wzmożenie prawicy, zarzucił, że za rządów PiS wywieziono ze Świerka do Rosji wzbogacony uran – zużyte paliwo do pracującego w starej technologii reaktora. Polska pozbyła się jednak niebezpiecznego odpadu w ramach międzynarodowego porozumienia, finansowanego przez USA, w celu zwiększenia kontroli nad materiałami radioaktywnymi, które mogłyby posłużyć terrorystom do wykonania brudnej bomby.

Co nie znaczy, że prawdziwej broni jądrowej nigdy w Polsce nie było. W czasach Układu Warszawskiego radziecka Północna Grupa Wojsk dysponowała taktyczną bronią jądrową (głowicami rakietowymi i bombami lotniczymi) rozmieszczoną w ściśle strzeżonych bunkrach na Pomorzu Zachodnim. Ale taka infrastruktura nie nadaje się dziś do żadnego wykorzystania, poza byciem atrakcją turystyczną.

Wkrótce możemy jednak mieć infrastrukturę nowocześniejszą i jak najbardziej natowską. Najważniejsze będą samoloty, które w teorii mogą być nosicielami amerykańskich bomb jądrowych. To one zapewniają potencjał odstraszania w sojuszniczym europejskim mechanizmie *nuclear sharing*. Chodzi o polskie trudno wykrywalne myśliwce wielozadaniowe F-35A. Zamówiliśmy je w liczbie 32 w 2020 r., a od czerwca pierwsze będą lądować w bazie sił powietrznych w Łasku, później też w Świdwinie. Uczestnicy *nuclear sharing* (poza Turcją) te właśnie samoloty wyznaczają do nuklearnych zadań uderzeniowych.

Z kolei francuskie myśliwce Rafale, również zdolne do przenoszenia broni jądrowej, już w Polsce gościły – w ramach odpowiedzi na wtargnięcie rosyjskich dronów we wrześniu ubiegłego roku. Samoloty przyleciały oczywiście bez nuklearnych rakiet, których bez potrzeby poza Francję się nie wywozi, ale wykonywały loty w asyście polskich samolotów. Taka kontrybucja dla odstraszania nuklearnego, bez samego uzbrojenia, też jest potrzebna i lokuje Polskę jako element systemu.

Cisza nad tą bombą

Wspomniany Albert Świdziński argumentuje w książce, że strategia nuklearna to coś więcej niż samo dążenie do posiadania bomby i jej nosicieli. Na zachowania innych posiadaczy broni nuklearnej wpływać mogą doktryny użycia sił konwencjonalnych, zwłaszcza ofensywnych. Wszystko bowiem dzieje się na wspólnej matrycy eskalacji, w której broń jądrowa jest jednym z elementów, ale nie funkcjonuje w oderwaniu od innych. Polska mogłaby podjąć nuklearną grę zarówno z sojusznikami, jak i z przeciwnikiem, nawet bez własnych ambicji jądrowych. Chodzi o takie ukształtowanie relacji i zależności sojuszniczych, by wykorzystanie ich zasobów nuklearnych lepiej wspierało naszą strategię.

Konwencjonalne zagrożenie, które samodzielnie moglibyśmy stworzyć dla obwodu królewieckiego, rosyjskich baz na Białorusi czy nawet krytycznych punktów w samej Rosji, byłoby w tej eskalacyjnej układance argumentem za silniejszym demonstrowaniem nuklearnego wsparcia dla Polski. Sama próba podjęcia starań o pozyskanie bomby, np. poprzez rozbudowę bazy naukowej czy nawiązanie kontaktów z krajami, które nie respektują zakazów NPT, byłaby też sygnałem, by nasi tradycyjni nuklearni sojusznicy bardziej się postarali.

Do tego jednak trzeba czegoś więcej niż kilku zdań w wywiadzie prezydenta. Jeśli Karol Nawrocki na serio rozważa wyposażenie Polski w broń nuklearną, to nie powinien o tym publicznie mówić, a intensywnie działać zakulisowo – nie tylko z Amerykanami, ale też z Francuzami, Brytyjczykami i... polskim rządem. Chwalenie się potężnymi zdolnościami odstraszania należy zostawić na koniec, gdy się już ma czym straszyć.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

© ARTUR CHMIELEWSKI/FORUM, PAP/MARCIN BIELECKI

eprasa.pl 6e74b318b5

FAFO: zimny chów

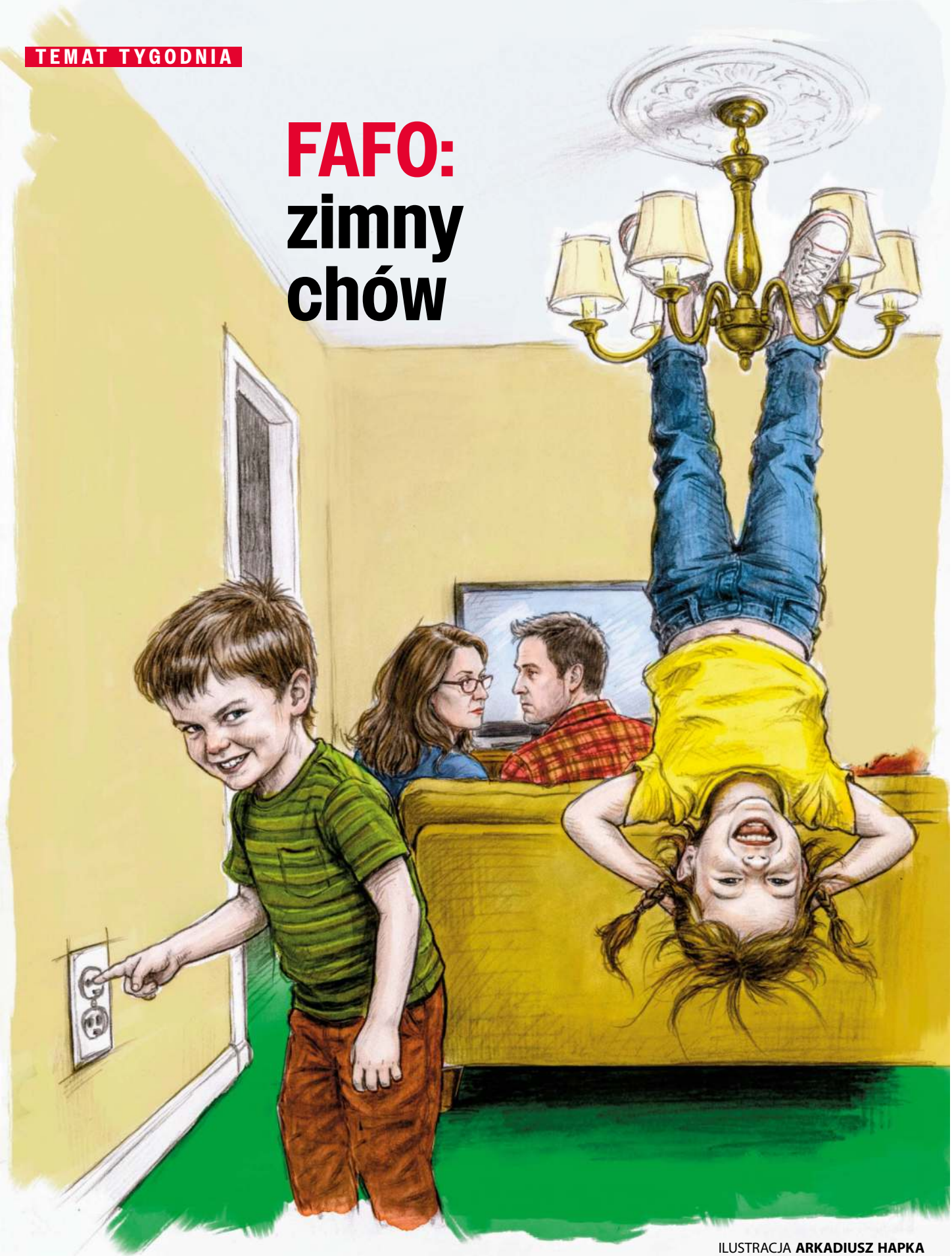

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

eprasa.pl 6e74b318b5

Jak coś spieprzysz, to się przekonasz – to definicja FAFO, najmodniejszej dziś w USA „filozofii wychowania", która dociera też do Polski. I udziela głupich odpowiedzi na mądre pytania.

ŁUKASZ WÓJCIK

Taka sytuacja. Godzina siódma rano, trójka dzieci, każde w innej galaktyce. Jedno już w rękawiczkach, pyta, czy może odśnieżyć samochód. Drugie blokuje od 15 minut łazienkę (woda się nie leje). Trzecie na podłodze, zdradza pierwsze objawy opętania – nigdzie nie jedzie i już („Zostaw mnie!"). A w perspektywie spóźniony rajd zatłoczonymi ulicami do placówek edukacyjnych i marzenie ściętej głowy o wolnym miejscu do parkowania.

W głowie jednocześnie tłoczą się wszystkie „dobre rady". Jedna babcia, druga babcia, mądrale z YouTube, idealni rodzice z sąsiedztwa. Ci od „łagodnego rodzicielstwa" przekonują, że najlepiej zrobisz, gdy położysz się obok „opętanej" i spróbujesz „wczuć się w jej perspektywę". Inni (podejrzewasz, że „leją" swoje dzieci) – że trzeba „jechać z fuckera...", pod pachę i do auta. A ci niedawno poznani mówią: odpuść, dokończ tę zimną kawę – spóźnią się, to się nauczą.

Tak, w pewnym uproszczeniu, można opisać ostatnie trzy dekady w „filozofii wychowania". Sama ich idea – kiedyś nazywano je po prostu stylami wychowawczymi – pojawiła się już w latach 60. XX w. Wówczas to amerykańska psycholożka Diana Baumrind wyróżniła trzy podstawowe style wychowania: autorytarny, pobłażliwy i łączący najlepsze cechy tych poprzednich – autorytatywny, który jeszcze do niedawna był w rodzicielstwie odpowiednikiem „końca historii".

1 Teraz po kolei. Przełom wieków to jeszcze prym wychowania autorytarnego – na zasadzie: „mnie ojciec bił i wyrosłem na porządnego człowieka". Potem było wychylenie w stronę permisywizmu, łagodnego rodzicielstwa – kolejne pokolenie rodziców po prostu nie chciało, by ich dzieci przeżywały to samo, co oni. To odmiana rodzicielstwa bliskości opartego na zrozumieniu dziecięcych zachowań przez pryzmat empatii.

Krytycy takiego podejścia mówią dziś o rodzicielstwie pobłażania, wychowaniu bezstresowym i braku granic („róbta, co chceta"), czego efektem mają być kolejne pokolenia nieprzystosowane do dorosłego życia. Przytaczają badania, które pokazują, że młodzi dorośli mają problemy z relacjami w pracy (w domu nikt im nie mówił „nie"), częściej cierpią na depresję i lęki (w dzieciństwie to rodzice rozwiązywali ich wszystkie problemy).

Styl autorytatywny miał być więc idealną mieszanką – dialektycznym sukcesem łączącym dobre strony autorytaryzmu i permisywizmu. Problem w tym, że autorytatywne wychowanie wymaga... autorytetu. A ten z kolei jest trudny do osiągnięcia w sytuacji, kiedy granice między dorosłością i dzieciństwem szybko się zacierają.

Czas dzieci jest dziś coraz bardziej ograniczany i wypełniany przez rodziców; brakuje im fizycznej przestrzeni do zabawy; często mają słabo kontrolowany dostęp do mediów dla dorosłych (nie chodzi tylko o treści erotyczne), w szkole są poddawane nieustannym testom. Jednocześnie dorosłość nie jest już tym samym, co kiedyś. Choćby dlatego, że starsze dzieci coraz częściej długo w dorosłość mieszkają z rodzicami, bo nie stać ich na własne lokum.

2 I tu wchodzi FAFO. Sądząc po forach sfrustrowanych rodziców, szczególnie tych angielskojęzycznych, to dziś zdecydowanie najmodniejsza „filozofia wychowania" (twardych badań jest jeszcze niewiele, ale o tym zaraz). FAFO to skrót od „Fuck Around and Find Out", w wolnym tłumaczeniu: „Jak coś spieprzysz, to się przekonasz". W bardziej cywilizowanym tonie oznacza uczenie dzieci prostych konsekwencji ich czynów i ponoszenia odpowiedzialności (a rodzicom daje czas na dokończenie kawy).

Tak przynajmniej twierdzą zwolennicy FAFO. Przekonują, że to nie tyle obojętność, ile „rodzicielska powściągliwość". Wymaga od rodziców, aby się wycofali, nie interweniowali. Aby oparli się pokusie ratowania dziecka z tarapatów i uwierzyli, że dyskomfort może być dla nich pożytecznym nauczycielem.

Łatwiej tę „filozofię" zrozumieć na zasadzie przeciwstawienia. Łagodne rodzicielstwo promuje empatię i szacunek, wyjaśnianie i negocjowanie do upadłego. Z kolei FAFO nakazuje, że zamiast bez końca przekonywać dziecko, żeby założyło kalesony albo czapkę, albo rękawiczki, trzeba po prostu pozwolić dziecku przekonać się samemu, jak już zmarznie. Zaprawdę, dla wielu rodziców musi to brzmieć bardzo rozsądnie.

Zwolennicy FAFO, choć wciąż mówią o „filozofii", którą się kierują, w sumie nie rozwodzą się nad nią. Wolą konkrety, od których aż roi się na ich forach internetowych. Matka zamknęła drzwi za dzieckiem, które powiedziało, że ucieka z domu. Wpuściła je z powrotem, kiedy krzyczało i waliło w drzwi. Inna mama wyrzuciła iPada swojej córki przez okno, gdy ta niewłaściwie zachowywała się w drodze do szkoły. Ojciec pozwolił dziecku nie odrabiać lekcji, co ostatecznie skończyło się wyrzuceniem go ze szkoły. Albo: nie nakarmiłeś psa, nie ma dla ciebie jedzenia itd.

Tu pierwsza refleksja na gorąco. Czego w zasadzie dzieci uczą się z takich sytuacji? Że władza należy do najgłośniejszej i najsilniejszej osoby? Konsekwencja w wychowaniu jest zapewne bardzo ważna. Ale w przytoczonych sytuacjach rodzice raczej tracili głowę (cierpliwość), niż działali zgodnie z jakąś „filozofią". I co dziecko będzie pamiętać z tego po 20–30 latach? Nie to, że coś źle zrobiło, ale raczej jak się źle poczuło.

Jak mówi w swoim podkaście dr Becky Kennedy, popularna psycholożka kliniczna, „takie FAFO-dramy niczego nie uczą dzieci". Jeśli już to tego, że błędy prowadzą do odrzucenia. Albo że miłość i bezpieczeństwo są warunkowe. To jest więc w sumie wychowanie przez strach. Dochodzi tu do pomylenia dyscypliny z upokorzeniem. A istnieje zasadnicza różnica między naturalnymi konsekwencjami ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ błędów i sztucznie wytworzonymi karami, które mają zaszokować. Te pierwsze uczą odpowiedzialności, drugie podważają zaufanie do rodzica.

3 Mimo to FAFO może się wydawać atrakcyjne dla zmęczonych rodziców. – *Zawiera w sobie obietnicę relaksu, przerwania niekończących się negocjacji z krnąbrnym dzieckiem. Wygląda na zbawienne rozwiązanie dla dorosłych, którzy mają dość mikrozarządzania życiem swoich pociech* – twierdzi Michael DeBellis, amerykański psycholog, pionier badań nad FAFO. – *W tym sensie popularność FAFO jest naturalną reakcją na rodzicielskie zobojętnienie, nienadążanie za formatem wychowania znanym z mediów społecznościowych – jest filozoficzną nadbudową dla wynikających z tego kryzysów.*

Tym bardziej że FAFO jest również bardzo atrakcyjną etykietą, co dziś nie jest bez znaczenia. „Rodzicielstwo latarni morskiej", „łagodne rodzicielstwo", „helikopterowe rodzicielstwo" itd. – to tylko kilka modnych ostatnio stylów rodzicielskich, które zyskały rozgłos również dzięki nazwie. Pojawiały się z medialnym hukiem, często oznaczone zgrabnym i chwytliwym akronimem, obiecując rodzicom pewność w świecie, który wydaje im się coraz bardziej niestabilny. W tej dyscyplinie FAFO sięga po złoto – dosadna, wręcz szorstka nazwa, szczególnie w odniesieniu do dzieci brzmi ostro i lekceważąco. A przede wszystkim brzmi prosto.

Ale każda etykieta ma dwie strony. Jeden z naszych polskich rozmówców pracuje m.in. z rodzicami-etykietomaniakami. Mówi, że taka radykalizacja, karmienie się tymi wszystkimi opowieściami o idealnych rodzicach kończy się tym, że ci realni, którzy wciąż nie dowożą dzieci na czas do szkoły, zapominają o wycieczkach klasowych itd., mają poczucie porażki wychowawczej. I są święcie przekonani, że to właśnie wybrana przez nich „filozofia wychowania" pomoże im stworzyć idealnego człowieka, a ta przeciwna skaże go na wieczne potępienie.

Jeszcze gorzej jest z rodzicami bezpośrednio zaangażowanymi w ten – jak sami mówią – „filozoficzny konflikt". Najpierw próbują wyczuć, po której jesteś stronie. Potem, gdy wydaje im się, że cię rozpracowali, natychmiast wdrażają agresję. Naigrawają się ze strony przeciwnej – to ci łagodniejsi. Albo bestialsko wyszydzają – to większość. W zasadzie wszyscy wchodzą od razu w radykalną polaryzację. Trochę jak w dyskusjach o polityce w mediach społecznościowych. W końcu tu również chodzi o przyszłość narodu...

Nasi rozmówcy z grona ekspertów zwracają uwagę na zgubną rolę takiej rodzicielskiej polaryzacji. – *Jeśli wierzysz w te schematyczne podejścia do rodzicielstwa, zupełnie nie rozumiesz sedna sprawy* – przekonuje Sue Atkins, brytyjska ekspertka ds. rodzicielstwa od lat pracująca w USA. – *Im bardziej wpisujemy się w te wszystkie filozofie wychowania, tym bardziej zlecamy „na zewnątrz" to, co powinno być zlecone „do wewnątrz". Nie reagujemy intuicyjnie na dziecko, które stoi przed nami.*

Atkins zwraca też uwagę, że dominujące schematy wychowania („filozofie") często w przeszłości następowały po sobie na zasadzie wahadła – upraszczając: od tych bardziej liberalnych do bardziej konserwatywnych, wraz z następowaniem pokoleń. Ale w erze ogólnej polaryzacji poglądów, napędzanej dodatkowo przez algorytmy mediów społecznościowych, kolejne wychylenia wahadła przekraczają kolejne skale. A to tylko odsuwa dostępne etykiety coraz dalej od centrum.

4 Na to wszystko nakłada się problem ze współczesnym państwem, które jako instytucja w zamyśle merytokratyczna, w trwodze „obserwuje" to rozchwianie wychowawcze i mając problem z jego skutkami, coraz częściej próbuje ingerować – w lepszy lub gorszy sposób. W końcu chodzi o przyszłość narodu...

Tu na pierwszy plan wysuwa się Francja, której parlament przyjął niedawno zakaz dostępu do mediów społecznościowych dla dzieci poniżej 15. roku życia. Przy okazji na poważnie wyszedł też inny temat: licencji rodzicielskiej. Sprawa nie jest nowa, już w latach 80. amerykański filozof Hugh LaFollette w książce „Whose Child? Children's Rights, Parental Authority, and State Power" (Czyje dziecko? Prawa dzieci, władza rodzicielska i władza państwa) przekonywał, że skoro wydajemy prawa jazdy i patenty żeglarskie, to tym bardziej powinniśmy robić test na rodzica.

W zgodzie z tą perspektywą francuscy posłowie dyskutowali więc o obowiązkach państwa, które powinno zapewnić dzieciom dorastanie w bezpiecznym i opiekuńczym środowisku, co nie zawsze jest oczywiste w przypadku współczesnych rodziców „filozofów". Zaproponowane rozwiązanie wymagałoby od przyszłych rodziców wykazania się podstawowymi umiejętnościami i wiedzą rodzicielską. Zwolennicy takiego rozwiązania przekonują, że zapobiegłoby krzywdzeniu i zaniedbywaniu dzieci.

Z kolei krytycy twierdzą, że wymóg takiej „licencji" naruszyłby wolności jednostki i mógłby prowadzić do nadużyć władzy. Bo pytanie: kto miałby ustalać normy egzaminacyjne, biorąc pod uwagę narastający konflikt między różnymi „filozofiami wychowania", które opierają się na zupełnie innych wartościach, metodach i celach. Dalej, czy taka „licencja" nie dyskryminowałaby różnych mniejszości, nie spowodowałaby ich marginalizacji.

Wszystko to rodzi zasadnicze pytania o wymiar etyczny i prawny takich licencji. Ale jednocześnie francuska dyskusja wpisuje się w trend – widoczny nie tylko we Francji – bardziej ustrukturyzowanego wsparcia i nadzoru nad rodzinami ze strony państwa.

5 Na przeciwnym biegunie jest podzielona Ameryka Donalda Trumpa. Ilana Wiles, psycholożka i autorka bloga Mommy Shorts, opowiada, że regularnie pracuje z amerykańskimi rodzinami, w których problemy nie wynikają z przemocy czy zobojętnienia, ale po prostu z podziałów politycznych. Nie tylko między rodzicami, ale też coraz częściej między rodzicami i dziećmi. Młode pokolenie, oburzone preferencjami politycznymi rodziców, odcina się od nich, zrywa kontakty również w sprawach niezwiązanych z polityką.

Tu reakcją jest właśnie FAFO, które – nie da się ukryć – ma wydźwięk prawicowy. I równie często jak w kontekście rodzicielskim można o nim usłyszeć przy okazji kolejnych działań prezydenta Trumpa – te są jakoby realizacją twardego podejścia do rzeczywistości, w której „jak coś spieprzysz (nie ulegniesz Trumpowi), to się przekonasz". Nieprzypadkowo kilka godzin przed porwaniem Nicolása Maduro prezydent

eprasa.pl 6e74b318b5

Trump udostępnił na portalu Truth Social przerobione zdjęcie siebie w kapeluszu przed napisem „FAFO".

Dla niektórych cała ta debata o rodzicielstwie jest więc po prostu dyskusją polityczną. Łagodne wychowanie kontra FAFO może nie do końca odzwierciedla podział na Demokratów i Republikanów, ale trudno nie zauważyć paraleli. W amerykańskiej dyskusji FAFO często definiuje działania agentów ICE wobec podejrzanych o imigranctwo przechodniów. FAFO nieomal stało się oficjalną doktryną w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, co widać szczególnie w porywczości tego kraju wobec słabszych państw, takich jak wspomniana Wenezuela czy Iran, ale też wobec sojuszników z Europy czy wobec Kanady.

6 I tylko „zwykli" rodzice, niepodążający za żadną „filozofią", mogą się w tym wszystkim czuć pogubieni. Bo przecież z ich perspektywy pytanie brzmi: jak wychować dziecko w czasach Trumpa? Szacunek dla innych, dobre wychowanie, pilna nauka – wszystkie te przymioty nabierają dziś nowego znaczenia i przez najsilniejszego człowieka na świecie są zbiorowo określane jako „frajerstwo".

Jesteś rodzicem, który stara się wychować dobrych ludzi, a tam siedzi Trump i seryjnie kłamie – bez żalu, bez przeprosin. I wbrew zasadom FAFO nie ponosi w zasadzie żadnych konsekwencji. Ignoruje wyroki Sądu Najwyższego USA. Molestuje seksualnie kobiety. Płaci za milczenie tym, które podobno zgwałcił. Oszukuje kontrahentów, nie płaci rachunków – przez dekady uchodziło mu to na sucho. I przy tym wszystkim, wspierany (o zgrozo!) przez wiele chrześcijańskich Kościołów, w nagrodę zostaje prezydentem USA. Dwukrotnie!

Jak więc wychowywać w czasach Trumpa? (Uwaga, teraz wołanie na puszczy). Jak tłumaczyć dzieciom, że warto być dobrymi ludźmi? Kiedy próbujesz je pouczać, żeby postępowały szlachetnie, nie oszukiwały, były życzliwe i przestrzegały zasad, rozwijały empatię wobec innych ludzi, możesz nadziać się na dziecięce spostrzeżenie, że przecież tacy ludzie jak Trump czy Elon Musk wciąż wygrywają, a robią coś zupełnie przeciwnego.

Odpowiedź na te wszystkie pytania może być zaskakująco prosta: nie ulegać „filozofiom wychowania". Jedno dziecko ze swej natury ma niechęć do ryzyka – ono akurat może odnieść korzyści z bardziej wspierającego rodzica. Inne, bardziej żądne przygód, może rozwijać się zgodnie z „filozofią" FAFO. Może więc kluczem jest rodzicielskie dostrojenie się do konkretnej osobowości i etapu rozwoju każdego dziecka? W tym kontekście uniwersalistyczne „filozofie" mogą okazać się ślepym zaułkiem rodzicielstwa.

Poza tym jaki normalny rodzic ma czas na wdrażanie filozofii? Albo lepiej: jaki normalny rodzic ma czas na jakąkolwiek filozofię wychowania? Nieskomplikowane zasady? Jasne. Czerwone linie? Oczywiście. Jakieś zajęcia ruchowe. Ograniczenie słodyczy i czasu przed ekranem. Podstawowe obowiązki domowe. Ale system filozoficzny? Dostosowanie działań do konkretnej szkoły myślenia? Na to stać tylko kogoś z luksusem wolnego czasu, czyli raczej nie rodzica większej liczby dzieci – w tym przypadku chodzi raczej o przetrwanie do kolejnej soboty.

ŁUKASZ WÓJCIK

REKLAMA

POLITYKA **Zaprenumeruj nasz tygodnik przez** InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę** do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka** przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz** niż w punktach sprzedaży

679 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~16~~ 13 zł za numer

359 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~16~~ 13,80 zł za numer

blik PayU

InPost

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl 6e74b318b5

Trzy prawice szykują się do władzy, a jedna z nich ma mieć niedługo kandydata na premiera. Czy PiS dogada się z Konfederacjami i co właściwie różni te wszystkie formacje?

Problem trzech ciał

RAFAŁ KALUKIN

Wielu pojawiło się w ciągu ostatnich dwóch dekad prawicowych liderów, którym Jarosław Kaczyński nie pozwolił zrealizować ambicji. Jednych eliminował, innych na własnych warunkach kooptował, ale zawsze przyświecał mu identyczny cel: na prawo od PiS miała być na zawsze już tylko ściana.

Dopiero pojawienie się na scenie Konfederacji trwale nadszarpnęło monopol. Doraźnie sklecony sojusz korwinistów z narodowcami nieoczekiwanie okazał się odporny na presję PiS. I chociaż Kaczyński zapewne do dziś nie oswoił się z istnieniem konkurencji, w jego „bliskiej zagranicy" pojawił się kolejny groźny przeciwnik. Początkowo mogło się wydawać, że secesja Grzegorza Brauna będzie stanowić problem przede wszystkim dla jego byłych kolegów z Konfederacji. Tymczasem jego ruch rośnie dzisiaj w sondażach przede wszystkim kosztem PiS.

Co dodatkowo komplikuje obraz, gdyż wbrew potocznym intuicjom trudno byłoby dzisiaj umieścić wszystkie trzy prawice na jednej skali od umiarkowania do radykalizmu. Wydają się one raczej krążyć po osobnych orbitach, a ich pola grawitacyjne też nie są do końca zbadane. Fizycy od wieków głowią się nad odkryciem trajektorii ruchu trzech ciał, które wzajemnie na siebie oddziałują. A jak to jest w naszej prawicowej polityce? Pod koniec ubiegłego roku opublikowane zostały dwa interesujące opracowania, które rzucają nieco światła na tę sprawę.

PiS w starym bastionie

Zacznijmy od raportu CBOS, w którym zostały opisane socjologiczne cechy elektoratów głównych partii. Czego możemy się z niego dowiedzieć o wyborcach PiS? W pierwszej kolejności tego, że różnią się oni fundamentalnie od zwolenników obu Konfederacji. Wręcz jakby to były oferty adresowane do zupełnie innych grup, chociaż przecież w narracjach Kaczyńskiego, Mentzena i Brauna niemało jest elementów wspólnych.

O ile więc młoda prawica jest przede wszystkim męska, o tyle w przypadku PiS kryterium płci jest bez znaczenia. Nie będzie też wielkim odkryciem, że na PiS głosują ludzie sporo starsi. Aż w 40 proc. ten elektorat składa się z seniorów w wieku 65 plus (przy czym w całym społeczeństwie jest ich 26 proc.). A doliczając osoby w wieku przedemerytalnym (55–64 lata), ten odsetek rośnie do 60 proc. (w społeczeństwie – 40 proc.). Młodych, czyli poniżej 35 lat, jest raptem 11 proc. (przy średniej krajowej dwukrotnie wyższej).

To zarazem elektorat najsłabiej wykształcony. Jedynie co piąty zwolennik PiS skończył studia (analogicznie – blisko

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, BEATA ZAWRZEL/NURPHOTO/GETTY IMAGES, SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

eprasa.pl 6e74b318b5

co trzeci Polak). Tych z wykształceniem podstawowym bądź zasadniczym zawodowym jest blisko połowa (w społeczeństwie – co trzeci). W 53 proc. jest to elektorat wiejski (przy średniej 40 proc.), w dużych i wielkich miastach raptem 16 proc. głosuje na PiS (a mieszka tam co czwarty Polak).

Dochody także znacznie poniżej średniej, podobnie jak ocena własnych warunków materialnych również zaniżona (49 proc. ocenia je jako dobre, przy średniej 63 proc.). Co nie może dziwić, skoro połowa tego elektoratu to emeryci. To jednocześnie elektorat najbardziej religijny ze wszystkich: 56 proc. uczestniczy w praktykach religijnych co najmniej raz w tygodniu (ogólnie – co trzeci Polak) i tylko 10 proc. omija kościół szerokim łukiem (ogólnie – również co trzeci).

Wyłania się zatem z badania stereotypowy obraz PiS jako partii osób starszych, z „mniejszych ośrodków", gorzej wykształconych i mniej zarabiających. Podobnie to wyglądało za poprzednich rządów Tuska, kiedy nasilająca się polityczna polaryzacja najpełniej odzwierciedlała społeczne podziały. Sprzyjający PiS publicyści zarzucali wtedy swoim oponentom, że używają socjologicznych opisów do stygmatyzowania prawicy, co miało dowodzić pogardy elit wobec ludu i stało się z czasem paliwem politycznym Kaczyńskiego. Po 2015 r. napięcie jednak osłabło, gdyż ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ dzięki niwelującym społeczne podziały transferom z budżetu oraz własnej agendzie modernizacyjnej PiS zdołał wyjść poza dotychczasowe bastiony.

Tyle że większość pozyskanych wówczas wyborców najpewniej już jednak utracił. I to wcale nie na rzecz odwiecznego rywala Donalda Tuska.

Młodzi, zaradni, skonfederowani

Wyborcy Konfederacji Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka to w trzech czwartych mężczyźni. Najczęściej młodzi, bo ponad 70 proc. nie skończyło jeszcze 45 lat (przy średniej krajowej 42 proc.). Wykształceni nieco lepiej od ogółu Polaków: 38 proc. ma wyższe studia (przy średniej 31 proc.). Pod względem miejsca zamieszkania (miasto – wieś) elektorat Konfederacji praktycznie nie różni się od ogółu Polaków. Istotne różnice widać za to w strukturze zawodowej: ponad trzy czwarte tych wyborców żyje z pracy zarobkowej (przy średniej 53 proc.).

I do tego zarabiają powyżej średniej. Co trzeci zwolennik Konfederacji wyciąga ponad 7 tys. zł (a tylko niespełna co czwarty Polak). Zarazem ponadprzeciętnie oceniają swoją sytuację materialną. Za to w kwestii religijności już aż tak nie odbiegają od średniej. Tych regularnie praktykujących jest ciut poniżej średniej, podobnie zresztą niepraktykujących w ogóle.

Elektorat Konfederacji Brauna okazuje się dosyć podobny do wyborców starszej krewniaczki. Również w trzech czwartych męski, chociaż trochę starszy (już tylko 56 proc. poniżej 45 lat). Najwięcej tutaj osób z wykształceniem średnim, kosztem magistrów. Ogólnie rzecz biorąc, swoją wyszukaną polszczyzną Braun trafia jednak w trzech czwartych do ludzi z maturą. W połowie są to mieszkańcy miast, chociaż częściej mniejszych niż wielkich. I podobnie jak w przypadku „dużej" Konfederacji, również ponad trzy czwarte popierających Brauna utrzymuje się samodzielnie. Inna jest tylko relacja etatowców do przedsiębiorców: w Konfederacji Mentzena i Bosaka wynosi ona 54 do 20 proc., natomiast w Koronie spłaszcza się do poziomu 45 do 28 proc. (w przekroju całego społeczeństwa: 37 i 13 proc.).

Niemal co piąty braunista zarabia ponad 9 tys. zł (ale już tylko co siódmy Polak). Tych z dochodami poniżej 3 tys. zł proporcjonalnie jest z kolei dwa razy mniej niż w całym społeczeństwie. Jest to zatem grupa stosunkowo nieźle uposażona. Ale co ciekawe, tylko niespełna połowa jest usatysfakcjonowana swoją sytuacją materialną. To taki sam odsetek jak wśród wyborców PiS, którzy przecież realnie są znacznie ubożsi.

W sumie nie powinno więc zaskakiwać, że ten zorientowany na materialny awans elektorat nie jest przesadnie religijny. A przynajmniej nie bardziej od ogółu Polaków. Co trzeci zwolennik Brauna regularnie praktykuje, ale porównywalny odsetek spotyka księdza co najwyżej przypadkowo na ulicy. Wygląda więc na to, że „szczęść Boże" ich politycznego idola to w znacznej mierze świecki rytuał.

Chociaż ich liderzy deklarują głęboki konserwatyzm (u Brauna wręcz reakcyjny), obie Konfederacje okazują się mimo wszystko produktem cywilizacyjnej zmiany. Z jednej strony przyspieszonego po wejściu do Unii Europejskiej ekonomicznego rozwoju, rewolucji edukacyjnej oraz migracji do miast, z drugiej – towarzyszącej tamtym procesom liberalizacji obyczajowej i sekularyzacji. Porównując strukturę wyborców, to PiS powinien być dzisiaj głównym ośrodkiem oporu przeciwko modernizacji na wzór zachodni, gdyż jego baza społeczna obejmuje w największym stopniu grupy najgorzej do niej zaadaptowane. W rzeczywistości formacja Kaczyńskiego stara się jednak tylko dorównać w radykalnej kontestacji swoim młodszym rywalkom, których zwolennikom wiedzie się przecież znacząco lepiej. Gdzie znajduje się klucz do rozwiązania zagadki? Zapewne tam, gdzie zazwyczaj, czyli w niezaspokojonych aspiracjach.

Żeby było tak, jak było...

Zdiagnozujmy więc polityczne postawy tych grup, sięgając do grudniowego raportu „Algorytmy prawicy" Europejskiego Kolektywu Analitycznego Res Futura, który zajmuje się badaniem internetu. Pod naszą lupą znajdą się zatem wyborcy najbardziej zaangażowani, którzy aktywnie komentują politykę w sieci.

Zwolenników PiS wyróżnia przede wszystkim to, że trwają w schemacie „starej" polaryzacji. Co ich najbardziej angażuje? Przede wszystkim Donald Tusk i rządy obecnej koalicji (35 proc. reakcji), a w dalszej kolejności – dokonania rządów PiS (28 proc.). Obecna władza jest oczywiście najważniejszym źródłem oburzenia, ściągając ponad połowę krytycznych komentarzy (następna w kolejce Unia Europejska – jednak tylko 19 proc.). Ale już rządy PiS mimo upływu czasu pozostają przedmiotem dumy i afirmacji. Szczególną rolę odgrywa prezes Kaczyński: to człowiek symbol, opoka i gwarant powrotu do dawnych dobrych czasów.

Jaki to wyborca? Przede wszystkim przywiązany do idei państwa i suwerenności. Ufający jego instytucjom, szczególnie armii. Popierający centralizm, interwencjonizm i programy socjalne. Otwarty na autorytety, utrzymanie sojuszu z Kościołem (chociaż niekoniecznie z konkretnymi hierarchami). Wyborcy PiS tworzą wspólnotę podobnie myślących o cechach rodziny, co czyni ich stabilnymi w swoich politycznych decyzjach.

Zarazem nie są to to wyborcy przesadnie zideologizowani. Nie są też rewolucjonistami. Nastawieni defensywnie, mobilizują się przede wszystkim do obrony dorobku swojego obozu, który – jak uważają – jest trwoniony przez ekipę Tuska. Podobnie widzą świat, który bardziej jest przestrzenią walki o interesy niż idee. Nie traktują Unii Europejskiej jako instytucji fundamentalnie wrogiej i raczej nie chcą polexitu. Wystarczy im ograniczenie brukselskich ingerencji.

Ambiwalentny jest również stosunek tych wyborców do całego Zachodu. Dostrzegają płynące zagrożenie kulturowe, ale pozostaje on wzorem dobrobytu. Pomostem do zachodniego świata są Stany Zjednoczone, które w czasach Trumpa wręcz zyskały w tej grupie na pozytywnej kulturowej konotacji, pozostając wyobrażonym sojusznikiem i gwarantem bezpieczeństwa.

Ogólnie rzecz biorąc, jest to więc wyborca stabilny, konkretny i przewidywalny. Zbyt wiele przeżył, żeby mieć marzenia. Po prostu chciałby, „żeby było tak, jak było".

Egoiści i sekciarze

Zwolennik Konfederacji najczęściej reaguje w sieci na Tuska (30 proc. reakcji), fiskalizm i biurokrację (25 proc.) oraz imigrantów (16 proc.). Treści tożsamościowe okazują się w tej grupie mniej istotne, stanowiąc jedynie narracyjne dopełnienie. Główni wrogowie to ponownie Tusk (39 proc.) i Unia Europejska (22 proc.). A kto budzi aplauz? Z dwójki liderów

eprasa.pl 6e74b318b5

wyraźnie więcej pochwał zbiera Mentzen, który jako symbol walki o wolność ekonomiczną jest postacią centralną w tym uniwersum. Krzysztof Bosak to z kolei „instytucjonalny konserwatysta", co ma swoje słabe strony, gdyż rasowy konfederata nie ufa żadnym instytucjom.

A do tego sam jest ostry, oskarżycielski i ma niewyparzony język. Zarazem trudno się mobilizuje do realnego działania. Nie interesuje go budowanie wspólnoty, a jedynie rozliczenie elit. Sam jest cyfrowym indywidualistą, a przynajmniej tak się widzi. Nie ufa państwu, obywatelstwo to dla niego nic więcej jak PESEL. Z rodakami łączy go wyłącznie *etnos*, co chętnie podkreśla, ale nie łączy ze zobowiązaniem do solidarności.

Żyje w świecie wrogim, kontrolowanym przez wielkie systemy. Unia Europejska jest właśnie jednym z takich systemowych zagrożeń, z kolei szeroko pojęty Zachód uważa za zagrożenie kulturowe. To wyborca wyjątkowo niepodatny na argumenty merytoryczne oraz kwestie programowe. Wystarczają mu skróty myślowe Mentzena. Ekspertów nie słucha, gdyż są z zasady niewiarygodni. Nawet wezwania do jedności narodowej w obliczu zagrożenia puszcza mimo uszu. Autorzy raportu konkludują, że konfederata jest „wyborcą o najwyższej ideologicznej spójności i najniższej podatności na zmianę".

I podobne cechy można odnaleźć wśród wyborców Korony, chociaż akcenty rozkładają się trochę inaczej. Bo co grzeje zwolenników Brauna? Przede wszystkim... sam Braun (32 proc. reakcji w sieci). To on ściąga uwagę, budzi emocje i mobilizuje do działania swoją gaśnicą. Braunistę dużo łatwiej zatem odciągnąć od komputera i zaktywizować do działania. W swoim idolu bardziej jednak ceni wywrotową formę niż konkretne treści. Jest dla niego jak popkulturowy bohater, chociaż jego komiksowe przerysowanie przyjmuje raczej serio.

Ale już antysemityzm Brauna rezonuje relatywnie słabo (6,5 proc. reakcji), podobnie jak katolicki tradycjonalizm (5 proc.). A co oburza wyborcę Korony? W pierwszej kolejności oczywiście rząd Tuska, chociaż ściąga on na siebie już tylko 29 proc. krytyki. Depczą premierowi po piętach Ukraińcy jako państwo i diaspora (26 proc. krytycznych reakcji). Dalej UE (15 proc.) oraz PiS (11 proc.).

To wyborca najszczelniej zamknięty w oblężonej twierdzy. O ile zwolennik PiS dokonuje rozróżnienia pomiędzy UE i sojuszem z USA, a konfederata mówi światu „odczepcie się i dajcie mi spokój", o tyle braunista jest aktywnym uczestnikiem ruchu oporu przeciwko wrogiej rzeczywistości. Żyje w przestrzeni apokaliptycznej, gdyż cywilizacja chyli się ku upadkowi. Zachód jest dekadencki i roznosi moralną zgniliznę. Sojusze międzynarodowe – wszystkie jak leci – wpychają nas do cudzej wojny. No i podmywa nas islam. Polska jest zatem ofiarą, którą wszyscy zdążyli już zdradzić. Jedynie naród pozostał cnotliwy i jeżeli odetnie więzy łączące go ze współczesnym światem, ma jeszcze szanse na ocalenie. Musi jedynie w tym celu powrócić do tradycyjnych źródeł. Nie trzeba więc wierzyć w Chrystusa, żeby chcieć koronować go na króla Polski, bo to tylko symboliczna forma takiego odcięcia.

Stara prawica u kresu

To przywiązanie nowej prawicy do narodowych symboli nie powinno nas zwieść. Braun jest tylko stylizacją na przedwojennego endeckiego inteligenta. O realnej ciągłości prawicowych tradycji nie ma mowy. Jeżeli ślady przeszłości w ogóle przetrwały do naszych czasów, one właśnie się do końca zacierają wraz z odchodzeniem pokolenia solidarnościowego.

Za rządów PiS czasem dawały jeszcze o sobie znać, chociaż w formie zdeformowanej. Kiedy szantażowano opozycję ideą moralnego podporządkowania się rzekomej woli narodu, była to wypisz wymaluj kalka z czasów I Rzeczpospolitej, w której „naród szlachecki" rządził się według zasady jednomyślności. Nieobce również były formacji Kaczyńskiego mesjanizmy. Z Polską jako „Chrystusem narodów", który cierpiał, obalił komunizm, i należy mu się za to wdzięczność. Tyle że z moralnych wyżyn PiS nie prowadził polityki, lecz dawał świadectwo. Przekonanie o naszej narodowej wyjątkowości odbija się także dzisiaj w irracjonalnej wierze, że wycofujące się z Europy Stany Zjednoczone jakimś cudem bronić będą Polski.

Również w polityce wewnętrznej cyniczną politykę transferów obudowywano narracją o „redystrybucji godności", bo w polskiej tradycji nie godzi się tak po prostu zabiegać o materialne profity. Cel powinien być zawsze wzniosły. Przy okazji zrekonstruowany został ideowy schemat sanacji z jej kultem państwa, ale też wpływami endeckimi.

Cały ten miszmasz tradycji i narodowych urojeń miał jednak wyraźny mianownik w postaci kolektywizmu. U prawicowej konkurencji już go nie odnajdziemy. Chociaż sięga po narodowo-katolickie symbole, służą one już tylko symbolicznej negacji współczesnego świata. Nowa prawica jest na wskroś indywidualistyczna. Polskość przestała być ideą i spajającą siłą duchową, stając się bytem organicznym, mającym w pierwszej kolejności zaspokajać materialne potrzeby. Ostatecznie liczy się przecież to, żeby każdy miał dom, trawnik i dwa samochody. A w wersji eskapistycznej, jak u Brauna, żeby można było schować się przed niebezpiecznym światem, zapomnieć o toczącej się wojnie i żyć po swojemu. Ideologiczna proklamacja narodowego egoizmu w tym przypadku służy jednak wyłącznie uwolnieniu bądź wzmocnieniu egoizmów jednostkowych.

I nie jest to zmiana polityczna, lecz kulturowo-cywilizacyjna. PiS może się starać co najwyżej ją opóźnić, tyle że radykalizowanie kursu przestało działać. Dawniej umożliwiało przechwytywanie prawicowych alternatyw, gdyż ich wyborcy funkcjonowali w podobnych rejestrach ideologicznych i kulturowo niewiele się różnili od wyborców PiS. Ale dzisiejszych zwolenników Mentzena i Brauna to już nie dotyczy, dla nich PiS jest formacją z innego „systemu", również mentalnie. A już zwłaszcza jego ikoniczny przywódca.

Można go od biedy zaakceptować w roli koalicjanta (wszak Tusk gorszy), ale mentorem już nie będzie. Co innego młodzi wychowankowie Kaczyńskiego, którzy przejmują konfederacki język, chociaż taki jest jak na razie tego skutek, że głównie ocieplają twardy wizerunek konkurencji w oczach swoich dotychczasowych wyborców. Część z nich zdążyła już odejść w tę stronę, a pozostał najbardziej tradycyjny pisowski elektorat, który pragnie potwierdzenia starego, a nie innowacji. PiS wydaje się zatem konsekwentnie zmierzać w stronę ślepego zaułka, a jego konkurenci właściwie niewiele muszą robić, bo wystarczy im poczekać na zmianę warty.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 6e74b318b5

Poligon Kraków

Kraków niedługo może stać się pierwszą odsłoną walki o zmianę władzy w największych miastach Polski. A przynajmniej poligonem dla propagandowych rozgrywek przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r.

KRZYSZTOF BURNETKO

Ponad setka ludzi wysłanych na ulice w charakterystycznych niebieskich kamizelkach z hasłem „Referendum KRK" z zadaniem zbierania podpisów. Wywieszone na reklamowych okrąglakach wielkie plakaty z tym samym przekazem: odwołać prezydenta Krakowa! Film o obecnym włodarzu miasta **Aleksandrze Miszalskim**. A także komiks zatytułowany „Aleksander niewielki, czyli komiks o kolesiogrodzie" i poważniejsze w tonie wydawnictwo (nie licząc wydawanej od lat gazetki „Kraków dla Mieszkańców") – wszystko rozdawane za darmo. Do tego zmasowana kampania internetowa – czasem agresywna.

To klimat ostatnich tygodni. Ale niektórzy, w tym były prezydent miasta prof. Jacek Majchrowski, szydzą, że wszystko jest polityczną hucpą i zaczęło się wiele lat temu. Polityczny charakter przedsięwzięcia potwierdza zresztą wpływowy wciąż w Krakowie polityk PiS Ryszard Terlecki. W felietonie dla portalu Kurier Krakowski ogłosił: „przeciwnicy obecnej władzy z uruchomieniem akcji czekają na wynik konfrontacji w Krakowie". I prorokował: „Odwołanie Miszalskiego w Krakowie może pociągnąć za sobą serię referendalnych wyborów. (...) Kłopotem dla Tuska mogą stać się, już zapowiadane, referenda w Gdańsku czy Poznaniu. W Gdańsku przygotowania są zaawansowane".

Pasjonaci miasta

Bo i owszem, formalnie z pomysłem rozpisania referendum w sprawie odwołania obecnego prezydenta miasta Aleksandra Miszalskiego wystąpiło pod koniec stycznia 21 mieszkańców. Podkreślają, że są społecznikami, a nie zapleczem jakiejkolwiek partii (w grupie jest kilku dzielnicowych radnych, miejskich dziennikarzy i aktywistów). Na czele stoi prawnik i radny dzielnicowy Jan Hoffman. Lata temu działał w Unii Wolności, ale teraz odżegnuje się od związków z ugrupowaniami politycznymi. Zapewnia w wywiadach, że akcję prowadzą osoby o różnych poglądach – także takie, które głosowały na Platformę Obywatelską, czyli partię prezydenta miasta. Podkreśla, że chodzi jedynie o sprzeciw wobec „bardzo złej prezydentury Aleksandra Miszalskiego", a inicjatywa „nie jest w jakikolwiek sposób" wymierzona w Donalda Tuska i koalicję.

Zarzuty faktycznie zdają się ograniczać do spraw czysto miejskich, zwłaszcza narastającego zadłużenia gminy (w ciągu prezydentury Miszalskiego miało wzrosnąć o 2 mld zł). A równocześnie opóźnień w epokowej inwestycji, czyli budowie metra, i w niezrealizowaniu innych obietnic wyborczych (w rodzaju bonów na kulturę i sport czy rozwiązania problemu „więźniów czwartego piętra"). Kwestionowana jest też polityka kadrowa w magistracie – lecz nawet tu nie pada wprost argument stosowania kryteriów partyjnych, a jedynie obsadzania stanowisk ludźmi bez kompetencji.

Wybijane jest oskarżenie o „rozrywkowy" styl sprawowania urzędu. Za dowody służyć mają dwa internetowe filmiki. Pierwszy to tiktokowa rolka z prezydentem pląsającym na dachu urzędu miasta w rytm, łagodnie mówiąc, piosenki słabej jakości (Miszalski tłumaczył, że chciał młodym ludziom zwrócić uwagę na powiewającą tam polską flagę). Drugie to żartobliwa w intencjach i prywatna już rejestracja pokazująca prezydenta sprzątającego mopem podłogę jednego z miejskich pubów. Wedle krytyków obie sytuacje uwłaczają powadze i zacnej tradycji miasta.

Partyjny peleton

Wprawdzie firmujący operację aktywiści powtarzają, że nie są zapleczem żadnego ugrupowania, jednak rychło przyłączył się do niej długi partyjny peleton... Począwszy od Młodzieży Wszechpolskiej i Ruchu Narodowego. Pod Wawel zjechali choćby

© MAREK LASYK/REPORTER, WWW.TIKTOK.COM/@OLEKMISZALSKI

eprasa.pl 6e74b318b5

narodowcy z Poznania – po czym wypuścili selfie w niebieskich kamizelkach z wyjaśnieniem, że pomagają odwołać prezydenta Krakowa. Z kolei poseł Konfederacji Konrad Berkowicz (ten, który w krakowskiej Ikei miał kłopoty z rachunkiem za patelnię i talerze) wezwał: „Kraków może stać się zapalnikiem do obalenia ekipy Tuska. Tracąc Kraków, Tusk może stracić władzę w kraju".

W końcu dołączył i PiS. Wprawdzie najpierw sam Jarosław Kaczyński kalkulował, że w razie porażki może to być niewarte wizerunkowego zachodu, w razie zaś sukcesu PiS nie ma w Krakowie mocnego kandydata na prezydenta. Na dodatek – jako że wniosek obejmuje też odwołanie rady miasta – to mandaty mogą stracić (choćby na rzecz Konfederacji) niektórzy jego radni. A tych ma wielu. Lecz prezes dał się przekonać.

Pochodzący z Krakowa luminarze partii – w tym rzecznik Rafał Bochenek i Małgorzata Wassermann, typowana niegdyś na pisowskiego prezydenta miasta –poprosili o podpisywanie inicjatywy referendalnej. Głos dał i Andrzej Duda, również Krakowianin: „Uważam, że to był wybór pomyłka" – ocenił Miszalskiego w Kanale Zero.

Wreszcie, co też znamienne, stanowisko zajął Łukasz Gibała. A to jego miał na myśli prof. Majchrowski, mówiąc o „przebieraniu nogami, by zostać prezydentem Krakowa". Ten dziś blisko 50-letni radny miejski (na początku kariery był skądinąd posłem Platformy Obywatelskiej, a potem Ruchu Palikota) o fotel prezydenta Krakowa starał się już trzykrotnie – pierwszy raz w 2014 r., potem w 2018 r. (w obu przypadkach konkurując z Majchrowskim), a wreszcie w ostatnich wyborach (przeciwnikiem był tym razem Miszalski). Ma na koncie podjętą w 2016 r. inicjatywę referendum w sprawie odwołania prezydenta Majchrowskiego – tyle że skończyła się sprawą w prokuraturze o nadużycia przy zbieraniu podpisów. Okazało się, że część została sfałszowana (nie mówiąc o tym, że wiele pochodziło od osób spoza gminy, a więc nieuprawnionych). Zarzuty usłyszało pięciu członków ekipy organizującej operację, lecz sąd warunkowo umorzył postępowanie. W minionym roku prokuratura umorzyła też pozostałe wątki sprawy. Uzasadniła to znikomą szkodliwością społeczną czynu.

Także i teraz Łukasz Gibała poparł inicjatywę referendalną – oraz zadeklarował jej logistyczne i finansowe wsparcie. Podał nawet ewentualną kwotę – niemal 400 tys. zł – i przyznał, że zbierającym podpisy trzeba płacić. Zapewne go na to stać – wszak jego działalność polityczną zdaje się wspierać zamożna rodzina (ojciec działał w branży alkoholowej, brat zajmuje się m.in. sferą fitness).

Prezydent Krakowa Aleksander Miszalski jest oskarżany o „rozrywkowy" styl sprawowania władzy. Dowodem ma być choćby „taneczny" teledysk, jaki nakręcił na dachu urzędu miasta.

Wedle Delegatury Krajowego Biura Wyborczego, żeby wniosek o referendum był skuteczny, inicjatorzy akcji muszą do 30 marca zebrać poparcie minimum 10 proc. uprawnionych do głosowania mieszkańców gminy – co w Krakowie oznacza 58 356 podpisów. Komisarz wyborczy ma 30 dni na ich weryfikację. Gdy będzie pozytywna, referendum ma się odbyć w ciągu 50 dni (a więc jeszcze przed wakacjami). Tyle że aby było ważne, frekwencja musi wynieść co najmniej 3/5 liczby obywateli, którzy brali udział w wyborze odwoływanego organu – w przypadku prezydenta Krakowa próg ten to 158 555 wyborców. Organizatorzy akcji referendalnej założyli, że zbiorą minimum 100 tys. podpisów na wypadek, gdyby wśród wspierających znalazły się osoby nieuprawnione.

Kontratak prezydenta

Odpowiedź na atak ze strony ekipy prezydenta była zrazu anemiczna. Zdawali się nie wierzyć, że oponentom uda się zebrać wymagane poparcie. A przecież referendum odwoławczym od dawna straszył rywal Miszalskiego z wyborów w 2024 r. – Łukasz Gibała (dostał ledwie 5434 głosy mniej). Sugerowała je też Konfederacja.

Dopiero gdy okazało się, że zbieranie podpisów idzie całkiem sprawnie, magistrat i partia prezydenta zareagowały. Posłowie, senatorowie i radni KO na profilach społecznościowych zaczęli ogłaszać wspierające kolegę posty. A do publicznej debaty z Janem Hoffmanem został rzucony znany z merytorycznego przygotowania wiceprezydent Łukasz Sęk.

W dyskusji głos zabrali także zwolennicy strategii prezydenta. Socjolog i publicysta prof. Janusz Majcherek przekonuje choćby, że dług miasta Miszalski „odziedziczył po wcześniejszych władzach, a rządzi zbyt krótko, aby mógł go zredukować". Na dodatek „zadłużanie stało się powszechnym postępowaniem władz publicznych na całym świecie", a sytuację finansową Krakowa i innych samorządów pogorszył Polski Ład Mateusza Morawieckiego.

Sam prezydent Miszalski ruszył na serię spotkań z mieszkańcami. Zaczął się też wycofywać z decyzji dotyczących ważnych dla miasta, a nośnych piarowo spraw. Najpierw zapowiedział korektę reguł wprowadzonej niedawno Strefy Czystego Transportu, czyli służący poprawie jakości powietrza w mieście zakaz wjazdu (chyba że za opłatą) samochodów spoza gminy niespełniających norm emisji spalin. Podobna rewizja dotknęła opłat za parkowanie, a wreszcie podwyżki cen przejazdów komunikacją publiczną – a przecież miał to być sposób na redukcję zadłużenia.

Na dodatek na Facebooku prezydent przyznał: „Poszliśmy o krok za daleko. Teraz czas na wyciągnięcie wniosków". Tyle że nawet jego sympatycy uznają tę strategię za zdumiewającą: okazanie słabości tylko bowiem zachęciło przeciwników do wzmożenia ataków.

Sytuacja nagle poważna

Wedle analityków portalu mamprawowiedzieć.pl w latach 2006–24 w Polsce doszło do 284 prób odwołania władz samorządowych w drodze referendum (gmin jest w kraju 2479). Tylko jednak 42 były ważne – w pozostałych przypadkach frekwencja okazała się niewystarczająca. Jeśli już jednak mieszkańcy w odpowiedniej liczbie pofatygowali się do urn, to zwykle głosowali za odwołaniem samorządowców: przy wiążącej frekwencji fotele straciło 41 z nich (stanowisko udało się zachować tylko prezydentowi Sopotu Jackowi Karnowskiemu w 2009 r.).

W maju ub.r. w efekcie referendum posadę musiała opuścić związana z PO prezydentka Zabrza. A jeśli referendum ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ w Krakowie przyniosłoby spodziewany przez inicjatorów rezultat, byłby to pierwszy przypadek odwołania prezydenta miasta wojewódzkiego. Co więcej, drugiego pod względem wielkości w kraju. A wreszcie uchodzącego dotąd za bastion liberalnych demokratów: kiedyś Unii Wolności, Platformy Obywatelskiej, a potem Koalicji Obywatelskiej.

Poważany w mieście politolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego Marek Bankowicz przypomniał w lokalnej „Gazecie Wyborczej", że w demokracji obowiązuje zasada nadrzędności wyborów. Ich wynik może zostać zakwestionowany w drodze referendum jedynie w sytuacjach absolutnie wyjątkowych. Ustawodawca nie określił nawet, co może być powodem przerwania kadencji władz lokalnych: czy musi dojść do konkretnych nadużyć, czy też wystarczy ogólne niezadowolenie mieszkańców. Intencja jest jednak jasna – w okresie kadencji kluczowa i wiążąca (także dla obywateli) jest decyzja wyborcza. Jej zmiany z błahych powodów podważałyby przecież sens samej demokracji. Porą na rozliczenia powinny być kolejne wybory.

Prof. Bankowicz zwrócił też uwagę na finansowy wątek sprawy: zasugerował, że powinien istnieć limit wydatków na kampanię referendalną (podobny do tego z kampanii wyborczych). Można sobie przecież wyobrazić, że ktoś z dużym kapitałem zechce w imię własnych interesów doprowadzić do zmiany władz lokalnych wbrew demokratycznemu wyrokowi.

Nie bez znaczenia jest, że wydatki miasta na referendum mogą sięgnąć 3 mln zł (tak szacuje magistrat). Przedterminowe wybory prezydenckie kosztowałyby przynajmniej (bo tylko w pierwszej turze) kolejne 3 mln.

Napięcie wzrosło też w krakowskiej Koalicji Obywatelskiej. Rzecz nie tylko w wyrazach wsparcia dla partyjnego kolegi, ale i w tym, że został on jedynym kandydatem na szefa Regionu Małopolska w zbliżających się (8 marca) wyborach wewnątrzpartyjnych. Wszyscy uznali, że wystawienie kontrkandydatów osłabiłoby Miszalskiego w walce o utrzymanie się na fotelu prezydenta Krakowa – a więc nie przysłużyłoby się też partii.

Ale taki gest jedności nie załatwia głównego problemu – postępującej słabości małopolskich struktur KO. Sceptycy mówią, że jej przejawem było już to, że ugrupowanie mające tak silne poparcie w mieście z liberalno-demokratyczną tradycją ma nieustanne kłopoty kadrowe – w tym problem z liderem i bazą kandydatów do funkcji publicznych. Nawet działacze sympatyzujący z Miszalskim przyznają, że nie jest on wzorem skuteczności i zdecydowania. A trudności z podejmowaniem decyzji – z których władze Krakowa słynęły zawsze – za jego prezydentury tylko się pogłębiły. I tak naprawdę to, a nie lista zarzutów serwowana przez komitet referendalny, może być najpoważniejszym grzechem tej prezydentury.

Winna po części jest i centrala w Warszawie, która nie przywiązywała wagi do symbolicznej choćby roli Krakowa. Co więcej, PO lekką ręką oddała wpływy w regionie koalicjantom z PSL (dowodem fakt, że Władysław Kosiniak-Kamysz był swego czasu wskazywany na prezydenta Krakowa, wojewodą małopolskim jest człowiek z PSL).

Rośnie obawa, że jeśli referendum okaże się wiążące, to Aleksander Miszalski pożegna się z funkcją prezydencką. Jeśli zaś nawet frekwencja będzie zbyt niska, to sama kampania przyda skrzydeł Łukaszowi Gibale i to on bez większych kłopotów wygra następne wybory samorządowe. Z mało ciekawym zapleczem w tle.

KRZYSZTOF BURNETKO

Mutanci

Zmienia się warta w trzech bastionach PiS. W Trybunale Konstytucyjnym będzie już siedem wolnych miejsc. W Krajowej Radzie Sądownictwa kończy kadencję 15 jej członków. Z Sądu Najwyższego odchodzi I prezes Małgorzata Manowska.

ILUSTRACJA **OBYWATEL JANEK**

eprasa.pl 6e74b318b5

sprawiedliwości

EWA SIEDLECKA

Na pierwszy rzut powstają okoliczności dla praworządności szczęśliwe, bo można zastąpić partyjnych nominatów ludźmi kompetentnymi i niezależnymi. Ale PiS zabetonował wcześniej procedury obsadzania tych stanowisk, a na ich straży stoi weto prezydenckie. W dodatku partia Kaczyńskiego nie traci czujności i aktywnie, z użyciem Trybunału Konstytucyjnego, broni zdobytych pozycji.

Obrona twierdz

PiS zaskarżył do TK procedurę głosowania w Sejmie nad kandydaturami do TK, notabene swoją własną. Termin rozprawy to 10 marca, pięcioosobowy skład bez dublera, a więc prawidłowy, treść orzeczenia łatwa do przewidzenia: procedura niekonstytucyjna, trzeba uchwalić nową. Mało prawdopodobne, by rządząca Koalicja uznała ten wyrok i zapewne go nie opublikuje, ale jeśli wybierze według zakwestionowanej procedury sędziów, prezydent nie odbierze od nich przysięgi, a prezes TK Bogdan Święczkowski nie uzna przysięgi zastępczej i nie dopuści ich do orzekania.

Kolejny kontratak PiS dotyczy Krajowej Rady Sądownictwa. W zeszłym tygodniu neoKRS pod kierownictwem Dagmary Pawełczyk-Woickiej złożyła do TK wniosek o zbadanie konstytucyjności procedury wyboru sędziowskich członków KRS. Ponieważ prezydent Karol Nawrocki zawetował zmianę przepisów o wyborach do KRS, mają się odbyć według procedury pisowskiej, z tym że Sejm w drodze przyjętej właśnie uchwały zobowiązał się, że „uwzględni w swoich decyzjach wyniki wyborów dokonanych przez polskich sędziów w wyborach powszechnych i transparentnych, przy uwzględnieniu wymogów konstytucyjnych co do składu Rady i ograniczeń wynikających z obowiązującej ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa".

NeoKRS we wniosku prosi TK o wydanie postanowienia zabezpieczającego, czyli wstrzymania procedury wyboru sędziów do KRS do czasu orzeczenia w sprawie jej wniosku. Trybunał Święczkowskiego, podobnie jak wcześniej Przyłębskiej, hojnie takie postanowienia zabezpieczające wydaje, więc zapewne zrobi to i tym razem. Sejm się do niego nie zastosuje, ale nie wiadomo, jak zareagują sędziowie, którzy podczas Zgromadzeń Ogólnych w swoich sądach mają głosować poparcie dla kandydatów. Sędziowie mogą się obawiać, że głosując, narażą się prezydentowi, od którego zależą wszelkie awanse w sądownictwie. A sam prezydent dostanie pretekst, by nie uznać KRS w nowym składzie, czego skutkiem będzie wstrzymanie nominacji do sądów.

W sprawie wyborów I prezesa Sądu Najwyższego też włączono do akcji Trybunał Święczkowskiego. A konkretnie zaangażowała go we własnej sprawie Małgorzata Manowska. Miała ochotę na drugą kadencję I prezeski SN, ale gdyby zgłosiła swoją kandydaturę, nie mogłaby zwołać i przewodniczyć Zgromadzeniu Ogólnemu sędziów SN, które wybiera kandydatów. Wtedy to prezydent – według pisowskich przepisów – wskazuje sędziego, który poprowadzi obrady. A ponieważ takiej kompetencji prezydenta nie wymienia konstytucja, to pod jego zarządzeniem musiałby złożyć kontrasygnatę premier Tusk, czego raczej nie uczyni. To w sprawie konieczności tej kontrasygnaty Manowska złożyła wniosek do TK. Ale koniec końców na rozpatrzenie go nie czekała. Może uznała, że nie ma szans na wskazanie przez prezydenta Nawrockiego? A może dostała negatywny sygnał z Trybunału? W każdym razie zrezygnowała z kandydowania na drugą kadencję. I zwołała wyborcze Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN.

Zgromadzenie odbyło się w zeszłym tygodniu, a wybory kandydatów na I prezesa SN nie miały nic wspólnego z wyłanianiem osób mających największe poparcie sędziów. „Ktokolwiek by nie został I prezesem Sądu Najwyższego w tej procedurze, doskonale wie, że stabilność jego prezesury zależy od tego, jacy politycy będą sprawować władzę" – powiedział sędzia Izby Karnej SN Włodzimierz Wróbel w „Faktach po Faktach" TVN24. Rzeczywiście, nawet dzisiaj, kiedy rządzi już kto inny, zasady wyboru nadal wymuszają wyłonienie osoby odpowiadającej PiS i prezydentowi.

Procedura została w 2017 r. skrojona przez prezydenta Dudę i PiS. Jest sprzeczna z konstytucją, bo reguluje ją częściowo zarządzenie prezydenta (Regulamin SN), co jest sprzeczne z zasadami niezależności sądów i trójpodziału władzy: przed rządami PiS Regulamin uchwalało Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN. Do wyboru kandydatów wystarczy obecność jednej trzeciej wszystkich sędziów SN. Tym razem była ich nieco ponad połowa, ale wszyscy uczestnicy to sędziowie powołani wadliwie: z udziałem neoKRS, a 27 z nich nawet bez wniosku neoKRS, bo prezydent Duda powołał ich mimo zawieszenia procedury przez NSA. Wreszcie – wbrew art. 183 ust. 3 Konstytucji RP – pisowska ustawa nie przewiduje przedstawienia prezydentowi wybranych kandydatów przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN, ale przez przewodniczącego Zgromadzenia lub inną osobę. Przydało się to w 2020 r., gdy z powodu łamania procedur starzy sędziowie, którzy wtedy stanowili większość w Zgromadzeniu, mogli głosować przeciwko takiej uchwale.

Wstydliwe wybory

Ci, których neosędziowie nazywają paleosędziami, w większości zbojkotowali wyborcze Zgromadzenie Ogólne. 29 z nich (wszystkich jest 35) podpisało oświadczenie wyjaśniające przyczyny odmowy. Najważniejsze punkty: Zgromadzenie zwołała osoba powołana na urząd I prezesa SN z naruszeniem konstytucji i ustawy o SN, a udział w nim biorą wadliwie powołani sędziowie. Także sędziowie nielegalnej w świetle wyroków TSUE i ETPCz Izby Kontroli Nadzwyczajnej.

Wybory odbyły się więc w gronie samych neosędziów, którzy stanowią dzisiaj w SN 61 proc. Zostały ukryte wstydliwie za zamkniętymi dla mediów drzwiami. Jedynym źródłem informacji dla dziennikarzy i opinii publicznej był rzecznik prasowy SN sędzia Igor Zgoliński. Przekazał, że najwięcej głosów dostali: Zbigniew Kapiński – 18, Mariusz Załucki – 13, Paweł Czubik – 9, potem byli Aleksander Stępkowski i Tomasz Demendecki – po 5. Spytaliśmy rzecznika Zgolińskiego, co mówili kandydaci, zabiegając o poparcie sali. Odpowiedział, że głównym tematem było ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ kwestionowanie przez starych sędziów prawa neosędziów do orzekania, także ważności ich orzeczeń. Pojawiły się postawy „koncyliacyjne" i „konfrontacyjne". Różniły się od siebie stosunkiem do konieczności represji: dyscyplinarnej, a także karnej (posłana przez prezydenta Nawrockiego do Sejmu ustawa przewiduje do pięciu lat więzienia za taki „negacjonizm"). Tu jastrzębiem jest Mariusz Załucki z Izby Cywilnej. Jako „koncyliacyjnego" rzecznik Zgoliński wymienił Zbigniewa Kapińskiego, prezesa Izby Karnej.

Kim są kandydaci?

Spośród wybranej piątki kandydatów tylko jeden – Zbigniew Kapiński – to sędzia z doświadczeniem i normalną drogą awansu do SN. Reszta trafiła do SN z innych zawodów prawniczych. Jednak Kapiński jako członek składu orzekającego wydał uchwałę, w której stwierdzono, że Dariusz Barski został skutecznie przywrócony ze stanu spoczynku i mianowany prokuratorem krajowym na wniosek Zbigniewa Ziobry (sprawa dotyczyła negowanej przez PiS legalności powołania obecnie urzędującego prokuratora krajowego Dariusza Korneluka). Ostatnio, bez podstawy prawnej, zakazał rejestrowania wniosków prokuratury o wyłączanie ze spraw neosędziów.

Mariusz Załucki ma tytuł profesorski i wykłada w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. W SN w Izbie Cywilnej – od 2022 r. Jest zastępcą rzecznika dyscyplinarnego i postawił zarzuty dyscyplinarne Grzegorzowi Żmijowi, neosędziemu, który po wyrokach TSUE i ETPCz zdecydował się powstrzymać od orzekania do czasu uregulowania statusu neosędziów. W wywiadzie dla portalu prawo.pl opowiedział się za sankcjami dla sędziów negujących prawo neosędziów do orzekania. Nazwał to sędziowskim terroryzmem.

Paweł Czubik ma tytuł profesorski, do 2018 r., kiedy to trafił do Izby Kontroli Nadzwyczajnej SN, był notariuszem. Jak podaje OKO.press, jest związany ze stowarzyszeniami Ordo Iuris i powstałym niedawno stowarzyszeniem Prawnicy dla Polski, którym kieruje były wiceminister sprawiedliwości i sędzia Łukasz Piebiak. Byli na prawicowym zlocie na Węgrzech w 2025 r.

Aleksander Stępkowski to profesor uczelniany na UW, współzałożyciel Ordo Iuris, były wiceminister spraw zagranicznych w rządzie PiS, od 2019 r. orzeka w Izbie Kontroli Nadzwyczajnej. Tomasz Demendecki ma habilitację, wykłada na UMCS w Lublinie, do 2018 r., gdy trafił do Izby Kontroli Nadzwyczajnej, był komornikiem. Był promotorem doktoratu Łukasza Piebiaka, znają się ze studiów.

Najwyżej na giełdzie nazwisk przyszłego I prezesa SN stoi Mariusz Załucki. Koncyliacyjność Zbigniewa Kapińskiego też może być w tej sytuacji atutem. Prezydent Duda świetnie dogadywał się z Manowską, która była jego dobrą znajomą, więc być może prezydentowi Nawrockiemu bardziej spodoba się kandydat mniej jastrzębi.

Siła prezesa

Sąd Najwyższy ma dużą władzę. Może gwarantować ludziom z PiS bezkarność: jest sądem ostatniej instancji, może więc skorygować ewentualne wyroki skazujące sądów powszechnych. Może też – co zresztą konsekwentnie robi jego Izba Odpowiedzialności Zawodowej – odmawiać uchylenia immunitetów sędziom i prokuratorom, którym prokuratura chciałaby postawić zarzuty karne za działalność za czasów rządów PiS. Może też odmawiać pociągania ich do odpowiedzialności dyscyplinarnej.

Po drugie, jeśli nie uda się obsadzić wakatów w TK, co jest prawdopodobne, Trybunał wyludni się do 2029 r., a wtedy SN może przejąć jego rolę żyranta poczynań PiS, jeśli ten wygra najbliższe wybory parlamentarne. Jeśli przegra – będzie strażnikiem nienaruszalności wprowadzonych już przez PiS zmian i jego władzy w sądownictwie. I prezes SN ma bowiem możliwość kierowania wniosków o rozstrzygnięcie zagadnień prawnych przez pełny skład SN, a więc kształtowania orzecznictwa SN i sądów powszechnych. Właśnie urzędująca do maja Małgorzata Manowska skierowała do rozstrzygnięcia zagadnienie dopuszczalności negowania prawa neosędziów do orzekania i ważności ich orzeczeń mimo istnienia dotyczących tej sprawy wyroków TSUE i ETPCz.

Władza I prezesa SN może nie jest tak absolutna jak prezesa Trybunału Konstytucyjnego, dana mu w ustawie za poprzedniej władzy, ale całkiem spora. To dzięki kompetencjom z nadanego przez prezydenta Regulaminu prezes może decydować, do której izby SN skierowana zostanie sprawa, bo „rozstrzyga spory co do właściwości izb w zakresie rozpoznania danej sprawy", a kierownik „Zespołu do spraw korespondencji kierowanej do Sądu Najwyższego podlega bezpośrednio Pierwszemu Prezesowi Sądu Najwyższego". To uprawnienie okazało się krytycznie ważne przy rozpatrywaniu odwołań PiS od zakwestionowania przez Państwową Komisję Wyborczą sprawozdań z rozliczenia kampanii wyborczej i subwencji wypłacanej partiom politycznym. Można było skierować je do neoIzby Kontroli Nadzwyczajnej albo do legalnej Izby Pracy, złożonej wówczas wyłącznie z legalnych sędziów. To samo z wnioskami prokuratury o uchylenie immunitetu sędziowskiego lub prokuratorskiego czy o ukaranie dyscyplinarne: czy trafią do neoIzby Odpowiedzialności Zawodowej, czy do legalnej Izby Karnej?

Prezeska Manowska poszerzała też swoją władzę samodzielnie, zależnie od potrzeby. Nie wstrzymała działalności Izby Dyscyplinarnej SN, „aresztowała" akta niewygodnych spraw, pod różnymi pretekstami zamykając je w swojej szafie. W związku z częścią tych nadużyć prokuratura usiłuje postawić Małgorzacie Manowskiej zarzuty, ale do tego Izba Odpowiedzialności Zawodowej musiałaby uchylić jej immunitet. Coraz bardziej widać, jak szczelne mury zostały tu zbudowane przed 2023 r.

Nie wiadomo, czy nowy I prezes SN będzie nadużywał swojej władzy, ale już ta, którą ma, wystarczy do obrony statusu neosędziów i ochrony interesów PiS. Zresztą wszyscy prezesi Izb SN są neosędziami, a to oni decydują o przydziale spraw i o tym, czy będą zmuszać starych sędziów do orzekania w składach z nowymi, a więc też o tym, czy będzie rosnąć liczba wątpliwych prawnie wyroków.

Sąd Najwyższy w blisko dwóch trzecich stanowią dziś sędziowie, którzy swoją karierę zawdzięczają poprzednim rządom. Część czuje się tym zobowiązana, część podziela poglądy prawne, którymi PiS i koalicjanci uzasadniali swoją reformę sądownictwa. Nie inaczej jest z kandydatami na I prezesa SN. I to jest polisa zabezpieczająca interesy polityków tego ugrupowania. A interesy neosędziów, interesy PiS i prezydenta – najpierw Dudy, teraz Nawrockiego – są ze sobą ściśle splecione. Podobnie jest w Trybunale Konstytucyjnym i neoKRS. Jeśli chodzi o tę ostatnią, to mimo końca kadencji będzie ona urzędować dalej, jeśli nie uda się skutecznie wybrać nowej. System został zatem nie tylko zainfekowany, ale też zmutowany. Do eliminacji mutantów nie wystarczą już interpretacje prawa i wyroki międzynarodowych trybunałów. Niezbędna staje się konstytucyjna większość.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl 6e74b318b5

Wypalić zło

Ks. prof. Andrzej Kobyliński o pedofilii w Kościele i braku wewnętrznej siły, żeby dokonać w nim autentycznej rewolucji moralnej.

JOANNA PODGÓRSKA: **– Urzędujący biskup na ławie oskarżonych. W Polsce! Precedens?**

KS. PROF. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI: – Tylko częściowo. Nie tak dawno była przecież sprawa sądowa jednego z biskupów warszawskich, który trafił na ławę oskarżonych za spowodowanie kolizji drogowej pod wpływem alkoholu i został skazany. Natomiast gdy chodzi o tuszowanie skandali obyczajowych w Kościele, to sytuacja bp. Andrzeja Jeża jest rzeczywiście bezprecedensowa. Znaczenie symboliczne ma fakt, że proces rozpoczął się w Środę Popielcową, gdy mamy w Kościele obrzęd posypania głów popiołem. Nie wiem, czy to było świadome działanie, ale dla mnie ma to wymiar głęboko symboliczny. Myślę, że w diecezji tarnowskiej wielu duchownych i świeckich oglądało relacje medialne z tego procesu z niedowierzaniem, a może nawet z przerażeniem.

Zwłaszcza że to diecezja szczególna.

Owszem, najbardziej religijna diecezja w Polsce. Mamy tam najwyższy wskaźnik praktyk religijnych. Do tego niezwykle wysoka liczba księży i zakonników. Intensywność życia religijnego w diecezji tarnowskiej jest absolutnie wyjątkowa. Można nazwać Tarnów perłą w koronie polskiego katolicyzmu. Prokuratura oskarża biskupa tarnowskiego, że zbyt późno zgłosił przypadki pedofilii swoich podwładnych, w wyniku czego część spraw się przedawniła. Myślę, że w tym procesie kluczowa będzie interpretacja dwóch pojęć: co to znaczy „niezwłocznie" i co to znaczy „informacja wiarygodna". Linia obrony jest taka, że biskup chciał się przekonać, czy informacje, które do niego dotarły, rzeczywiście były wiarygodne. W związku z tym analizował, rozmawiał, wzywał świadków.

Możliwe, że kolejni urzędujący biskupi trafią na ławę oskarżonych za krycie pedofilii?

Trudno powiedzieć. Dopiero po czasie dowiadujemy się o ofiarach i o tym, co je spotkało. Potrzebują lat, żeby sobie uświadomić krzywdę. A przepis mówiący o tym, że przypadki pedofilii należy niezwłocznie zgłaszać do prokuratury, jest stosunkowo nowy, pochodzi z 2017 r. W związku z tym można mówić ▶

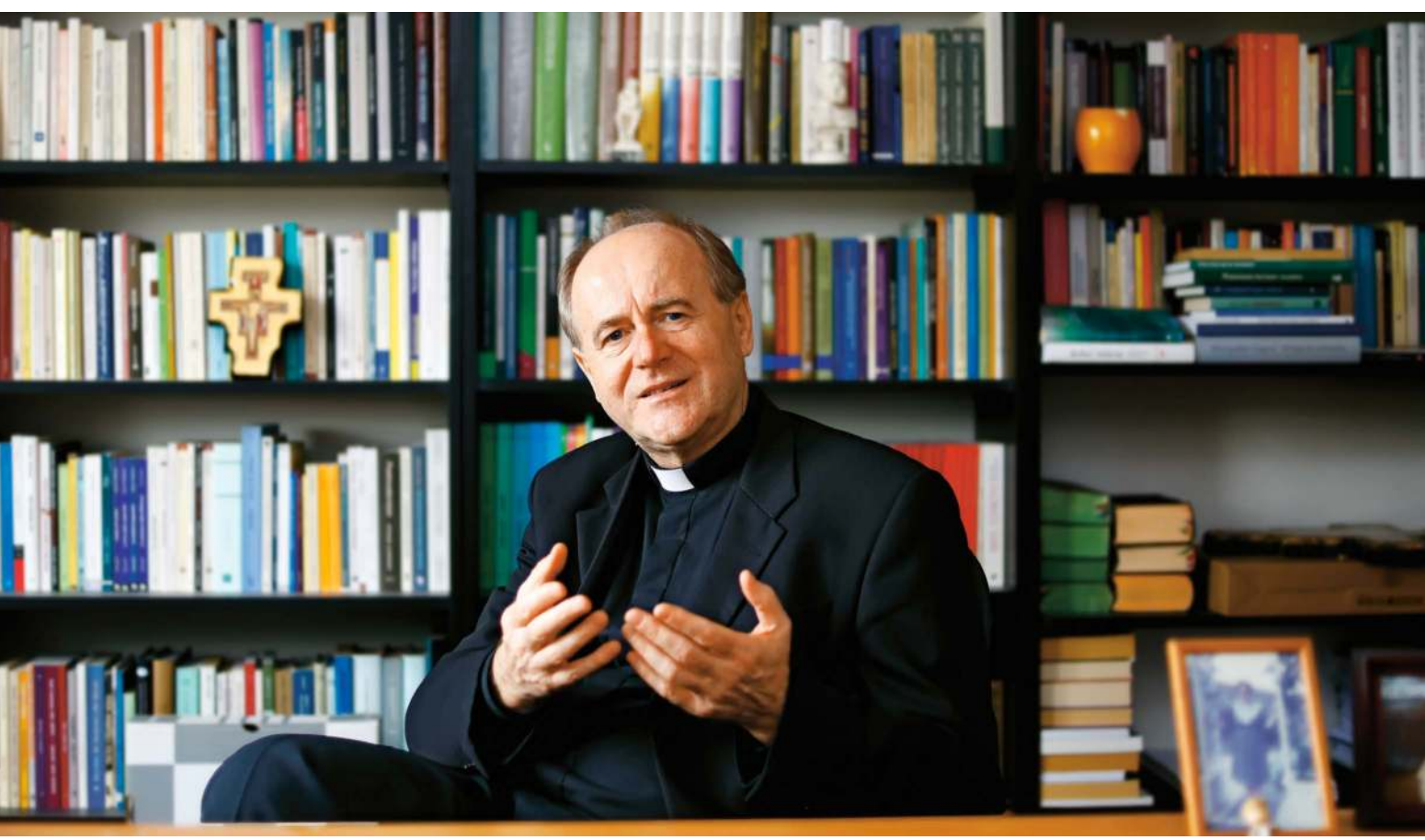

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ o dwóch wymiarach tuszowania pedofili. Pierwszy to wymiar kościelny, czyli przenoszenie z miejsca na miejsce księży oskarżonych o wykorzystywanie seksualne dzieci i młodzieży. Od 2001 r. istnieje ustalony przez Watykan obowiązek, aby takie przypadki zgłaszać do Rzymu. Głównym celem tej reformy było zerwanie omerty, czyli zmowy milczenia. Nowe prawo wprowadzono po wielu latach ostrych sporów w Watykanie, ale w Polsce zostało praktycznie wyrzucone do kosza. Biskupi dalej tuszowali pedofilię, nie wysyłając dokumentów do Rzymu; nie tylko w Polsce zresztą. To się działo na masową skalę i dopiero papież Benedykt XVI podjął działania, by to zmienić. Wielkim wstrząsem w Kościele była afera kard. Teodore'a McCarricka, który w 2018 r. został oskarżony o molestowanie nieletnich chłopców, kleryków i młodych księży. W 2019 r. kary nakładane na biskupów, którzy nie przekazują dokumentów do Watykanu, zostały drastycznie zaostrzone. To zmusiło biskupów na świecie do rzetelnego informowania Rzymu o przypadkach pedofilii klerykalnej. Natomiast gdy chodzi o wymiar prawa świeckiego, to mamy tę zmianę Kodeksu karnego z 2017 r. Po tej reformie naprawdę trzeba być szaleńcem, żeby tuszować pedofilię. W konsekwencji obecnie władze kościelne informują organy ścigania o każdym przypadku wykorzystania seksualnego małoletnich, jaki został zgłoszony w diecezji czy w zgromadzeniu zakonnym.

Na proces bp. Jeża nakłada się drugi precedens. Pierwszy raport diecezjalny dotyczący pedofilii zlecony niezależnej komisji kierowanej przez świeckich. Chodzi o dokument „Wyjaśnienie i naprawa" opisujący sprawy z diecezji sosnowieckiej. Przełom?

Nie przełom, ale krok w dobrą stronę. Udało się ustalić imiona i nazwiska kilkudziesięciu skrzywdzonych, zidentyfikować 29 sprawców. To było bardzo potrzebne, ale ja bym tego nie przeceniał. Sam biskup sosnowiecki Artur Ważny przyznał, że ten dokument to jedynie mała część większej całości, której się należy spodziewać w najbliższych latach. Prawdziwe wstrząsy są dopiero przed nami.

Sosnowiec to w porównaniu z Tarnowem drugi biegun Kościoła. Diecezja od lat wstrząsana jest seksualnymi skandalami. Podobno jej objęcia odmówiło ośmiu biskupów. Rozważano nawet „opcję atomową", czyli jej likwidację. Czy Kościół musi sięgnąć dna, by zacząć się uczciwie rozliczać?

W dużym stopniu tak. Święty Kościół grzesznych ludzi... Tego nas uczą dramatyczne historie z innych krajów. Pierwszy artykuł dotyczący pobytu rektora seminarium diecezji sosnowieckiej w klubie gejowskim ukazał się na łamach tygodnika „Przekrój" w 2010 r. Później było wiele podobnych publikacji, przez kilkanaście lat byliśmy karmieni w mediach wieloma skandalami z tej diecezji. One w większości nie dotyczyły pedofilii, ale zachowań homoseksualnych wśród duchownych. Mamy obietnicę bp. Ważnego, że raporty na ten temat także powstaną. Może w końcu ktoś powie oficjalnie, w jakich okolicznościach w 2013 r. seminarium diecezji sosnowieckiej zostało przeniesione z Krakowa do Częstochowy.

Kard. Grzegorz Ryś zapowiada powstanie podobnej komisji w Krakowie. Pojawiają się jednak głosy, że jako protegowany kard. Stanisława Dziwisza może mieć związane ręce.

W latach 2011–16 Ryś był rzeczywiście prawą ręką Dziwisza jako jego biskup pomocniczy. Natomiast co do komisji – dla mnie nie ma większego znaczenia, czy powstanie komisja narodowa, czy wiele komisji lokalnych. Jeśli patrzymy na inne kraje, to funkcjonowały w nich różne rozwiązania. W Australii czy w Stanach Zjednoczonych mieliśmy komisje narodowe, ale już np. w Irlandii były komisje lokalne, diecezjalne czy dotyczące poszczególnych zakonów. Nieważne, jaka komisja powstanie; ważne, żeby wypaliła gorącym żelazem to zło, które się nagromadziło przez dziesięciolecia. Ale będzie to bardzo trudne z dwóch powodów.

Jakich?

Po pierwsze, nie ma już dzisiaj presji z Watykanu. W agendzie Leona XIV temat pedofilii zszedł na dalszy plan. Jest o tym bardzo niewiele wypowiedzi obecnego papieża. To bardzo duża zmiana w porównaniu z pontyfikatami Ratzingera i Bergoglia. Po drugie, jest także przyczyna lokalna – obecnie w naszym kraju presja medialna i społeczna w tej sprawie właściwie przestała istnieć. Spójrzmy kilka lat wstecz: filmy braci Sekielskich, dyskusja wokół książki Frédérica Martela „Sodoma", powstanie komisji państwowej ds. pedofilii, szeroko relacjonowane międzynarodowe skandale itd. Dziś te tematy właściwie zniknęły. Ich miejsce w dużym stopniu zajęły przestępstwa pedofilskie oraz skandale obyczajowe Jeffreya Epsteina i związanych z nim polityków, książąt, bankierów, ludzi mediów.

Kwestia rzeczywiście została w pewien sposób rozwiązana czy przyschła?

Przyschła. W Kościele katolickim doszło do „zmęczenia materiału". To zrozumiałe. Martwi mnie to, że w naszym kraju w kręgach kościelnych nie nastąpiła zmiana świadomości. Dla znakomitej większości duchownych i regularnie praktykujących świeckich pedofilia klerykalna wciąż nie stanowi realnego problemu, którym należy się zająć. Od prawie 30 lat powtarzam jak mantrę: kluczowa jest zmiana świadomości biskupów, infułatów, prałatów, kanoników, proboszczów, wikariuszy, zakonników, sióstr zakonnych, parafian, członków ruchów i stowarzyszeń katolickich itp. Należy przyjąć do wiadomości, że wykorzystywanie seksualne dzieci i młodzieży to wielki dramat moralny w wymiarze globalnym. Dopiero na tym gruncie można tworzyć taką lub inną komisję.

Była szansa na ogólnopolską niezależną komisję, ale w 2025 r. w dziwnym nocnym głosowaniu Konferencja Episkopatu Polski odsunęła od jej tworzenia prymasa Wojciecha Polaka. Zastąpił go bp Sławomir Oder, postulator procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II, który świetnie wie, jak omijać rafy związane z kryciem pedofilii.

Trudno powiedzieć, ile jest nadziei na to, że z tej komisji coś wyjdzie. Ale powtarzam: to wtórne, jaka komisja powstanie i kiedy. Sprawą pierwszorzędną jest świadomość społeczna. W Polsce to nawet ważniejsze niż w innych krajach.

Dlaczego?

Ponieważ w innych państwach analogiczne komisje korzystały przede wszystkim z dokumentów znajdujących się w archiwach kościelnych, natomiast w naszym kraju takie archiwa są zasadniczo puste, gdy chodzi o sprawy obyczajowe biskupów, księży i zakonników. Dlatego głównym źródłem wiedzy dla komisji, które powstaną w naszym kraju, będą bezpośrednie relacje ofiar i świadków. Tego rodzaju zeznania będą możliwe tylko wówczas, gdy zmieni się świadomość społeczna, zrywając ostatecznie kajdany omerty. W czasach komunistycznych nie archiwizowano w diecezjach i zakonach spraw obyczajowych – i słusznie, ponieważ istniało ryzyko, że może je przejąć Służba Bezpieczeństwa. Wiemy, jak wielu było tajnych współpracowników w kuriach, w seminariach, ilu biskupów było zarejestrowanych jako tajni współpracownicy. Po transformacji ustrojowej 1989 r. to się szybko nie zmieniło. Zaczęto te sprawy archiwizować dopiero w ostatnich

eprasa.pl 6e74b318b5

latach, już po zaostrzeniu przepisów przez Watykan. Więcej informacji można odnaleźć w Instytucie Pamięci Narodowej, ale też nie za wiele. Wiemy, jaka była nieformalna umowa przy Okrągłym Stole – dokumentacja o kościelnej agenturze ma spłonąć. Ludzie gen. Czesława Kiszczaka dotrzymali słowa.

Jest jeszcze archiwum ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego.

Dla mnie to był wielki bohater, niestety mocno prześladowany przez władze kościelne w Krakowie. Najbardziej bolał go zakaz głoszenia kazań na terenie swojej archidiecezji. Został on wprowadzony w 2006 r. w kontekście pisania książki przez ks. Tadeusza na temat współpracy niektórych duchownych z SB i do jego śmierci nie został odwołany. On z tego powodu bardzo cierpiał. Mam nadzieję, że nowy arcybiskup krakowski przeprosi go za krzywdzące decyzje swoich poprzedników. Do ks. Tadeusza zgłaszało się wielu ludzi z informacjami dotyczącymi różnych diecezji. Przez lata stworzył cenne archiwum.

Wiemy, co się z nim stało?

Tak. Mam nadzieję, że te komisje, które już są czy będą powstawać, sięgną po wiedzę zgromadzoną przez ks. Isakowicza-Zaleskiego. Ale przede wszystkim będą musiały się opierać na zeznaniach ofiar i świadków. Do składania takich zeznań jest konieczne zaufanie. Trzeba je powoli, w pocie czoła zbudować. Dlatego należy zmienić społeczny wizerunek Kościoła, tak aby ludzie w nim skrzywdzeni odzyskali wiarę w tę instytucję. Zaufali, że złożona ze świeckich komisja jest na tyle wiarygodna, że warto przełamać swoją traumę, aby opowiedzieć historię własną lub innych skrzywdzonych.

Z tego, co ksiądz profesor mówi, płynie pesymistyczny wniosek, że stara strategia polskiego Kościoła, czyli przeczekać, okazała się słuszna.

Nie tyle słuszna, ile skuteczna, gdy chodzi o ochronę interesów biskupów i urzędników kurialnych. Prawie nikomu włos z głowy nie spadł. Czy ktoś jeszcze pamięta o karierach kościelnych wypromowanych przez abp. Juliusza Paetza? A nominacje kościelne, za które odpowiadali kard. Henryk Gulbinowicz i abp Józef Wesołowski? Owszem, było kilka przetrąconych karier, ale to margines. Natomiast gdy chodzi o całościowe rozliczenie, wskazanie ludzi odpowiedzialnych za politykę personalną, to wszystko dopiero przed nami. Wróćmy do Sosnowca. Raport został dobrze przyjęty, ale nie odpowiada na najpoważniejsze pytania. Jaka była rola bp. Grzegorza Kaszaka w tych skandalicznych wydarzeniach? Kto stał za jego nominacją? Książka „Sodoma" ukazała się w 2019 r. Nie słyszałem o tym, żeby ktokolwiek na świecie oskarżył w sądzie jej autora o zniesławienie. A jest tam m.in. wstrząsający wątek związany z Grzegorzem Kaszakiem; zanim został biskupem w Sosnowcu, był w Watykanie prawą ręką kard. Alfonsa Lópeza Trujilla, szeroko opisanego przez Frédérica Martela. Dlaczego nikt nie pyta bp. Kaszaka o tę wstrząsającą historię? Jak to możliwe, że rektor sosnowieckiego seminarium, którego sprawę opisano w 2010 r., jeszcze przez dwa lata zachował stanowisko, a karierę naukową na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie realizował aż do jesieni 2023 r.?

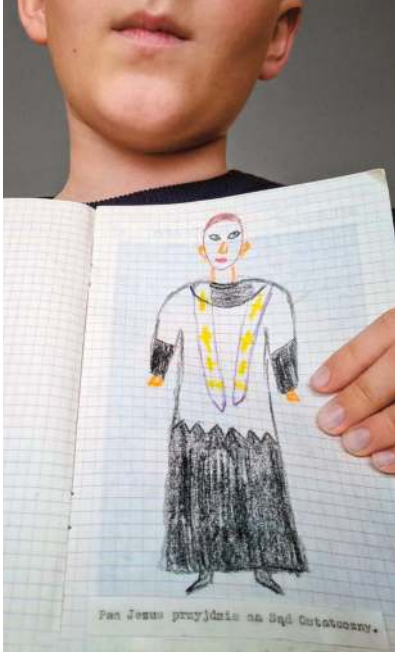

© PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Czy częścią tej strategii na przeczekanie nie jest też mniejszy opór władz diecezjalnych, gdy chodzi o odszkodowania wypłacane skrzywdzonym? Ostatnio diecezja legnicka nie odwołała się od wyroku przyznającego prawie milionowe odszkodowanie dla dwóch ofiar. Kościół płaci za ciszę?

Za przestępstwa duchownych płacą de facto emeryci i renciści. Dlaczego? Ponieważ to oni głównie utrzymują parafie i diecezje. Uważam to za głęboko niesprawiedliwe. Gdy chodzi o wypłatę odszkodowań przez diecezje i zakony, to przełomem był wyrok Sądu Najwyższego z 2020 r., który nakazał Towarzystwu Chrystusowemu wypłatę milionowego odszkodowania i dożywotniej renty dla ofiary księdza pedofila, wskazując jako podstawę prawną art. 430 Kodeksu cywilnego, który dotyczy odpowiedzialności zwierzchnika za podwładnego. Ten wyrok narzucił linię orzeczniczą dla wszystkich innych sądów w Polsce w takich sprawach.

Zawsze z ostrożnością wypowiadał się ksiądz profesor o zmianach generacyjnych w polskim Kościele, bo ci nowi to wychowankowie starych. Jednak w ostatnim czasie nastąpiło małe personalne trzęsienie ziemi. Część twardogłowych biskupów odeszła, zastępują ich bardziej liberalni. Rzeczywiście nic się nie zmieniło?

Nie chcę się wypowiadać na temat konkretnych nazwisk, bo potrzebujemy przede wszystkim zmian jakościowych. Kościół katolicki nie jest typową korporacją, zmiany personalne nie są w nim aż tak istotne. Jesteśmy na poziomie newsów: ktoś odszedł, kogoś mianowano, tu nowy biskup, tam kardynał. To medialnie ciekawe, ale niczego nie wnosi. Co z tego, że zmienimy szefa w takiej czy innej diecezji, jeśli nie podejmiemy trudnej pracy rozłożonej na dziesięciolecia, żeby zmienić mentalność duchownych i świeckich. A ja w ogóle nie słyszę, żeby to w Polsce kogoś interesowało. Nikt nie stawia pytania, jak sobie wyobrażamy zmiany długofalowe, jakościowe. Najbardziej martwi mnie brak wewnętrznej siły w Kościele, żeby dokonać autentycznej rewolucji moralnej.

Czy Kościół po ostatnich wyborach odczuł jakoś utratę parasola politycznego?

Nie sądzę. Gdy patrzę na nastroje w środowiskach kościelnych, to mamy stabilizację. Owszem, w niektórych diecezjach, zwłaszcza biedniejszych, część księży boleśnie odczuła utratę jednej godziny religii w szkołach. Funkcjonowanie parafii czy diecezji ustabilizowało się już po pandemii. Niestety w wielu regionach o jedną trzecią zmniejszyła się liczba ludzi uczestniczących w niedzielnych mszach świętych. Jednak największym wyzwaniem są pustoszejące seminaria diecezjalne i zakonne. Zaczyna brakować księży. Najbardziej prawdopodobny scenariusz na przyszłość to powolne spadanie po równi pochyłej. Likwidowane seminaria duchowne, łączenie małych parafii, mniej dzieci i młodzieży na lekcjach religii, coraz ostrzejszy konflikt między zwolennikami katolicyzmu liberalnego i przedstawicielami katolicyzmu konserwatywnego. Powolne kurczenie się polskiego katolicyzmu.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

eprasa.pl 6e74b318b5

ILUSTRACJA **MARTA RUSZKOWSKA**

Czynsze grozy

Wspólnoty mieszkaniowe zaczęły masowo powstawać w Polsce 30 lat temu. Były jak powiew wolności: małe środowiska rządzące się przejrzystymi, demokratycznymi zasadami. Dziś to tylko wspomnienie. Demokracja wynaturzona, zarząd jak dyktatura, kontroli państwa brak.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Są takie bloki, które w ciągu paru miesięcy zamieniły się w miejsca walk na nerwy.

– *U nas relacje właścicieli mieszkań z zarządem wspólnoty przypominają te, jakie ma Grenlandia z Trumpem* – mówi Marek, 50 lat, właściciel mieszkania na warszawskim Mokotowie. – *To znaczy zarząd reprezentowany przez wynajętą firmę zarządzającą, mówi lokatorom: róbcie, co każemy albo was załatwimy!*

To „załatwianie" obejmuje straszenie sądem i komornikiem. W ostateczności także sądowym przymusem sprzedaży mieszkania. Właściciele dostają pisma zatytułowane „ostateczne wezwanie do zapłaty" mailem, najczęściej w piątkowe wieczory i święta. Za co takie szykany? Za zaleganie z czynszem, który w czerwcu 2025 r. wzrósł w tej wspólnocie z dnia na dzień o ponad 100 proc. Pretekstem była zbiórka remontowa, na pilną naprawę rur, ale po zbiórce czynsz nie wrócił już nawet w pobliże poprzednich wysokości. Remont rur – mimo że taki pilny – także nie wystartował.

eprasa.pl 6e74b318b5

Dziś należy – jak utrzymuje zarząd – płacić nie 100, ale 75 proc. więcej. Czyli 64 m kw. mieszkania kosztuje kilkaset złotych więcej na miesiąc – razem ponad 1,4 tys. zł.

Z tym tylko, że zarząd wspólnoty i wynajęta firma zarządzająca budynkiem milczą, gdy poprosić ich o przedstawienie wyliczeń, według których naliczono tak horrendalną podwyżkę. Przebąkują niechętnie o ogólnej drożyźnie w Polsce i o „niezależnych kosztach". Nie pokazują także uchwały właścicieli, która by uprawniała zarząd do tak drastycznych podwyżek. – *Gdyby taką uchwałę mieli, to by pokazali* – mówi Marek, który wielokrotnie prosił o przedstawienie dokumentów. – *Wolą straszyć „ostatecznymi wezwaniami", bo liczą, że ludzie w końcu pękną ze strachu i zapłacą. I są tacy, którzy płacą. Spotykam w windzie starszych sąsiadów i oni mówią wprost: płacimy, ile każą, bo chcemy mieć spokój.*

Podwyżki czynszów we wspólnotach i spółdzielniach są faktem. To, o czym opowiada Marek, dzieje się w ciągu ostatnich kilku miesięcy w całej Polsce – od wielkich miast po małe miasteczka. Dochodzą informacje: w bloku w Gdańsku wzrosło o 17 proc. W Białymstoku protestują mieszkańcy bloku spółdzielczego. Takich historii jest mnóstwo – pokazują nowy społeczny problem.

Nie zawsze jest tak agresywnie i panicznie jak w przypadku mokotowskiej wspólnoty. Jako wysoką, ale uzasadnioną podwyżkę należy rozumieć – zdaniem ekspertów rynku nieruchomości – taką, która sięga od 8 do 20 proc. dotychczasowego czynszu. Jednak polskie prawo nie przewiduje maksymalnej granicy podwyżek, więc zarządy wspólnot i spółdzielni próbują na tym korzystać.

Tarcze

Panika finansowa wśród zarządów wspólnot i spółdzielni była do przewidzenia – jasne było, że państwowe tarcze osłonowe, utrzymujące czynsze za mieszkania na w miarę stałych poziomach, znikną. Pierwsze wyłączono już w 2024 r. Te na ciepło – uznawane za najważniejsze – skończyły się w czerwcu 2025 r. Pełne wygaszenie nastąpiło od stycznia 2026 r. I właśnie wtedy zwykli mieszkańcy, niechronieni już żadnym specjalnym prawem, znaleźli się wraz ze swoimi mieszkaniami na drapieżnym wolnym rynku. Państwo dało sygnał – umywamy ręce. To w tym momencie wspólnoty i spółdzielnie zaatakowały podwyżkami.

– *Jednej rzeczy nie zrozumiem nigdy: jak to możliwe, że mieszkanie, które jest moje, bo już raz za nie zapłaciłam po rynkowych cenach, niejako znów wróciło na wolny rynek?* – mówi Aniela, 48 lat, właścicielka mieszkania w łódzkim apartamentowcu. – *Zarząd wspólnoty, do której należę, właściwie mianował się właścicielem mojej własności, któremu muszę płacić wysoki czynsz, jeśli chcę dalej mieszkać u siebie.*

Wspólnota Anieli to wielki, dziesięcioletni blok – kilkadziesiąt mieszkań. Wprowadzona w listopadzie 2025 r. podwyżka czynszu nieznacznie przekroczyła 20 proc., ale nie ma po niej śladu w uchwałach członków wspólnoty. Zarząd milczy i nie odbiera nawet listów poleconych.

Natomiast firma zarządzająca blokiem zwodzi pytających mieszkańców – to musi skonsultować się ze swoim pionem prawnym, to powołuje się na ogólnie rosnące koszty życia. Narzeka, że rząd podniósł minimalną pensję i teraz, żeby utrzymać stan zatrudnienia w spółdzielni lub firmie administrującej wspólnotą, trzeba różnicę wziąć z kieszeni mieszkańca. Lub też – co bardzo częste przy ostatnich podwyżkach w Polsce – powołuje się na wysokie koszty obsługi obowiązującego od stycznia Krajowego Systemu e-Faktur (KSeF – w rzeczywistości darmowego). Jednak konkretów brak – to, jak opowiadają mieszkańcy, standard w kontaktach z prezesurą i zarządami.

Państwo B., Dawid i Julia, oboje po czterdziestce, jeszcze pięć lat temu mieszkali kątem u rodziców Julii w podwarszawskiej miejscowości. Kiedy urodziła się Maja, dziś osiem lat, postanowili, że odchowają dziecko na wsi przy pomocy dziadków, a potem pójdą na swoje do stolicy. Mieszkanie w spółdzielni kupili na 20-letni kredyt, ciągle spłacają. W Polsce kredyty są najdroższe w Europie – tyle wiedzą. On i ona pracują w korporacji wydawniczej, ale pieniędzy starcza na styk. Kiedy w grudniu, przed samymi świętami, przyszło pismo o podwyżce czynszu ze spółdzielni – zrozumieli, że oto wracają do rodziców na wieś. Kilkaset złotych więcej co miesiąc to dla nich nie do uniesienia. Szkoda szkoły i kolegów Mai z Warszawy, ale mus to mus. W dodatku Dawid, jako informatyk niższego szczebla, w każdej chwili zagrożony jest zwolnieniem z pracy przez sztuczną inteligencję. Pauperyzacja – mówią rozgoryczeni.

– *Napisałam list do prezesa spółdzielni, bardzo grzeczny, prosiłam o podanie podstawy aż tak wysokich czynszów, prosiłam o radę* – opowiada Julia. – *Oczywiście nie było odpowiedzi. Zadzwoniłam do sekretariatu, odebrała jakaś pani referentka, wysłuchała mnie i mówi: takie są bieżące realia kosztowe.*

Ta „referentka" dodała od siebie jeszcze jedną rzecz: nie ma obowiązku mieszkania w tej spółdzielni. Można się przeprowadzić, jak się nie podoba. Julia czytała gdzieś, że rząd zamierza jednak wprowadzić nowe „nowe działania wspierające gospodarstwa domowe". Długo na to czekała, śledziła wiadomości. Ale już przestała.

Domokracja I

Wspólnoty mieszkaniowe wprowadzono w Polsce ustawą o własności lokali z czerwca 1994 r. Pięć lat po przewrocie ustrojowym rynek mieszkaniowy był dziki – przeważały mieszkania spółdzielcze i komunalne (miejskie), ale pojawiały się pierwsze prywatne (z początku głównie wykupione od spółdzielni). Słowem kluczem tamtych czasów była „prywatyzacja". Obowiązującym hasłem propagowanym w mediach: „bierzcie życie w swoje ręce". Lokale spółdzielcze i komunalne szły pod młotek.

Prywatni właściciele pojawiali się również w nowo wybudowanych blokach. Nad takimi budynkami nie czuwała już żadna mityczna administracja spółdzielni mieszkaniowej, do której w czasach PRL szło się załatwić sprawę jak do pałacu, z bombonierką i frezjami jako daniną dla prezesa i jego sekretarek (widać to w filmach Barei). W domu pełnym prywatnych właścicieli ktoś musiał zająć się utrzymaniem „części wspólnych" (klatki schodowe, korytarze, windy) – tak właśnie pojawiły się wspólnoty mieszkaniowe. I właśnie w 1994 r., w erze zachłyśnięcia się możliwościami popeerelowskiej wolności, ustawodawca zadbał, aby wspólnota lokatorów była jak czysta emanacja demokracji – macie swoją świętą prywatną własność, to rządźcie się sami, decydujcie większością głosów. Nie przewidziano żadnych mechanizmów kontrolnych i nadzorczych ze strony instytucji państwa.

W założeniu wspólnota miała dawać mieszkańcom pełną kontrolę nad majątkiem wspólnym, transparentność, wpływ na wydatki i komfort bycia niezależnym. Ale minęło ponad 30 lat od tej ustawy, miasta zmieniły się bardzo i dziś te założycielskie cele da się realizować właściwie już jedynie we wspólnotach małych, w budynkach, gdzie sąsiedzi się znają, w zasobnych i zasiedziałych dzielnicach miast. ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ – *Nie mamy żadnych kłopotów we wspólnocie* – mówi Karolina, 55 lat, z warszawskiej Ochoty. – *Mamy zasadę pełnej przejrzystości, a wszelkie próby ominięcia przepisów są szybko wyłapywane. Ale nasza wspólnota to cztery klatki schodowe w trzypiętrowym budynku. Jeśli potrzeba, możemy skrzyknąć spotkanie w ciągu jednego dnia.*

– *Zazdroszczę, bo dla mnie to jak piękna utopia* – mówi Aniela z Łodzi, skonfrontowana z wypowiedzią Karoliny. – *Moja wspólnota to moloch, ponad 200 mieszkań. Blok ma 15 lat. Na początku znało się najbliższych sąsiadów, teraz to niemożliwe – większość mieszkań jest wynajmowanych, duża rotacja. Na stałe mieszkają głównie ludzie starsi. Taka wspólnota nie ma już za wiele wspólnego z demokratyczną przejrzystością, to raczej wielkie kapitalistyczne przedsiębiorstwo robiące po cichu swoje interesy.* Uchwał, jak mówi Aniela, nie widzi się w ogóle. Po prostu przychodzi nowy rachunek do płacenia i tyle.

Karolina pamięta z dzieciństwa boje, jakie toczyli jej rodzice z administracją robotniczej spółdzielni mieszkaniowej. W latach 80. mieszkali w bloku z wielkiej płyty w „czasie niedoborów". Blok już w momencie oddania do użytku pełen był fuszerek, bo wykonano go z materiałów złej jakości – innych wówczas nie było. Pierwsze lata lokatorstwa w wymarzonym M-3 (dwa pokoje z kuchnią) minęły rodzicom na ciągłym użeraniu się z administracją – bo tynk odpada z sufitu, bo futryny wypaczone, bo okna nieszczelne, bo grzyb na ścianie w łazience. Prezes spółdzielni rzeczywiście jawił się wtedy małej dziewczynce jak jakiś bóg – tym prawdziwszy, że niewidzialny. I te ciągłe narady rodziców przy kuchennym stole: komu „dać w łapę" (łapówka), żeby dał kontakt do kogoś, kto za kolejną łapówkę da dostęp do ucha prezesa? Dlatego Karolina bardzo sobie ceni swoją wspólnotę.

Przedsiębiorcy

Marek jest członkiem tej samej wspólnoty mieszkaniowej od prawie 20 lat. Obserwował zmieniające się zarządy i firmy administrujące, korowody oponentów i totumfackich zarządu, administratorów podchodzących do mieszkańca liberalnie i zamordystycznie. Wszyscy odchodzili w niesławie, a kolejni mieli być lekarstwem na całe zło – od teraz miało już być zawsze czyściej, sprawniej, przejrzyściej i taniej. I nigdy nie było.

Marek ma taką obserwację: styl zarządu wspólnoty skorelowany jest z aktualną atmosferą polityczną – to naprawdę ma znaczenie. Gdy minęła era skandynawskich socjalistów, którzy byli bardzo modni i inspirujący 10 lat temu, nastał czas prawicowych watażków, a potem nieobliczalnych Trumpów – stąd porównanie, że wspólnota traktuje lokatorów jak Trump Grenlandię.

Tak naprawdę, kiedy w grudniu 2025 r. Marek dostał od swojej wspólnoty „ostateczne wezwanie do zapłaty", pierwszy raz zainteresował się starą, ale wciąż obowiązującą ustawą o lokalach z 1994 r. i jej nowelizacjami. Wcześniej nie było to konieczne – po prostu zarządy w jego bloku wykonywały swoją robotę lepiej lub gorzej, jednak nie próbowały stać się najważniejszą częścią życia wspólnot. Ustawa faktycznie wydała mu się utopijna – skazuje człowieka na konieczność bycia członkiem wspólnoty, bez prawa wypisania się z niej inaczej niż przez sprzedaż mieszkania. Transparentność i – Marek przeprasza za naiwne słowo – „szczerość", które były głównym założeniem ustawodawcy 30 lat temu, właściwie nie istnieją. A najgorsze, że nie istnieje żadna kontrolująca instytucja państwa, do której może się odwołać mieszkaniec w sporze ze wspólnotą (sprawy nieruchomości są rozmyte po siedmiu ministerstwach).

Pozostaje sąd, ale tymczasem to właśnie wspólnoty straszą mieszkańców sądem, jeśli ci nie zapłacą żądanych pieniędzy.

– *W latach 90. wspólnoty mieszkaniowe miały być ostateczną odpowiedzią na skompromitowane w czasie PRL spółdzielnie* – mówi Marek. – *Tymczasem spółdzielnie przetrwały i mają się dobrze. Moi rodzice nadal mieszkają w bloku spółdzielczym, choć wykupili mieszkanie. Też ostatnio podwyższono im czynsz do ponad 1200 zł. Ich spółdzielnia, zupełnie jak moja wspólnota, także nie odpowiada na pytania, w jaki sposób została naliczona podwyżka.*

Piotr z warszawskiej Woli, właściciel mieszkania spółdzielczego, mówi, że ostatnio podniesiono mu czynsz za miejsce parkingowe (do 600 zł). Po odpowiednio długim indagowaniu ludzi prezesa udało mu się ustalić, że jedną z przyczyn wzrostu jest podatek, jaki muszą płacić przedsiębiorcy. – *Zaprotestowałem, że przecież ja nie jestem przedsiębiorcą* – opowiada Piotr – *a pani z administracji odpowiedziała bez wahania: ale my jesteśmy.*

Prawo

Podwyżki we wspólnotach i spółdzielniach są powszechne, więc także reakcja na nie wykracza poza zwykłe narzekanie lokatorów. Widać to po forach internetowych dla mieszkańców – wzburzenie to mało powiedziane. Trwa poszukiwanie winnego tak przedmiotowego traktowania lokatorów. Nie chodzi tu o same podwyżki, bo ludzie już orientują się, że Polska to kraj coraz droższy do życia. Raczej o to, że w sposób nagły i drapieżny – często bez uzasadnienia i z ominięciem demokracji – zaatakowano sedno bezpieczeństwa ludzi, czyli ich domy.

Przykłady: „wspólnota mieszkaniowa to nic innego jak sprywatyzowana spółdzielnia"; „nikt już nie panuje nad dostawcami mediów ani nad wspólnotami i spółdzielniami, nie ma żadnych mechanizmów utrzymujących podwyżki w ryzach – ani władza centralna, ani samorządy, ani UOKiK nie mają nad tym kontroli"; „to zatrudniane przez zarządy zewnętrzne firmy administrujące budynkami podnoszą koszty – często to molochy obsługujące po kilkadziesiąt budynków w mieście"; „patrzą jedynie z punktu widzenia kapitalisty, więc mają lokatorów gdzieś. Natychmiast sami kupią mieszkanie, jeśli właściciel zostanie przymuszony przez sąd do jego sprzedaży".

– *Rzeczywiście przez ostatnie podwyżki czynszów w nieruchomościach zaczęło się robić jeszcze bardziej wolnorynkowo* – przyznaje Tomasz Błeszyński, ekspert rynku nieruchomości z 30-letnim stażem. – *W teorii spółdzielnie i wspólnoty funkcjonują na bazie prawa, ale coraz częściej obserwuję samowolę zarządów, które czują się panami i władcami powierzonego im majątku.* Zdaniem Błeszyńskiego niektóre ujawniane przy okazji podwyżek przypadki to już klasyczny konflikt: bezbronny obywatel kontra wszechmocna instytucja. Prawo, którego przestrzegania nie pilnuje państwo (oprócz sądów), z czasem w takim konflikcie przestaje działać. Za dużo pieniędzy jest do ugrania na szybko, żeby kłopotać się przepisami. Oczywiście, mówi Błeszyński, koszty wspólnot i spółdzielni wzrosły, od kiedy rząd cofnął tarcze ochronne dla mieszkańców – prąd, woda, ciepło, sprzątanie, konserwacja. Za to musi zapłacić lokator. Ale kiedy dostaje zawiadomienie o podwyżce, powinien też dostać z wyprzedzeniem szczegółowe wyliczenie, za co płaci. Obecne podwyżki rażą jak żadne dotychczas – zwłaszcza że bardzo często przy jednej ulicy tego samego miasta w blokach o podobnym standardzie, w identycznych metrażowo lokalach czynsz różni się o kilkaset złotych.

eprasa.pl 6e74b318b5

Wzrosty, bo koszty

Wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe nie publikują publicznie danych o podwyżkach czynszów. Doniesienia o wysokości zmian pochodzą od mieszkańców, mediów lub portali samorządowych. Poniżej kilka przykładowych stawek:

Wspólnota Mieszkaniowa Bobrowiecka 3, Warszawa – wzrost o ponad 100 proc. z 900 zł do prawie 2000 zł za miesiąc; po trzech miesiącach zmniejszenie do 1400 zł za miesiąc (dotyczy mieszkania o powierzchni 64 m kw. + miejsce parkingowe)

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Służew nad Dolinką", Warszawa (źródło portal warszawawpigulce.pl i fakt.pl); fundusz remontowy – wzrost o 20 proc.; konserwacja domofonów – wzrost o 39 proc.

Wspólnota Mieszkaniowa w Gdańsku (niewymieniona z nazwy, źródło money.pl) – wzrost o 17 proc. (jako powód podano wzrost kosztów zarządzania budynkiem)

Spółdzielnia Mieszkaniowa Mszczonowska, Warszawa – regularne coroczne wzrosty czynszów o kilkadziesiąt złotych – obecnie ponad 1460 zł za mieszkanie własnościowe o powierzchni 61 m kw. bez miejsca parkingowego

– Powinniśmy rozumieć, kim są dla lokatorów prezes spółdzielni, zarząd wspólnoty czy firma administrująca budynkiem – to nikt inny jak nasi wynajęci pracownicy – mówi Remigiusz Kowalów, warszawski prawnik z 27-letnim doświadczeniem, specjalizujący się w prawie lokalowym. – *Jeśli więc spółdzielnia lub wspólnota wprowadza podwyżkę czynszu, to po pierwsze, może to zrobić jedynie poprzez głosowanie mieszkańców nad uchwałą, a po drugie, ma obowiązek wyliczyć w sprawozdaniu finansowym, o ile wzrosła cena za metr lokalu. Ile co kosztuje więcej i dlaczego. O tym, że ogólna drożyzna winna jest podwyżkom czynszu, można sobie mówić u fryzjera, a nie rozliczając się ze swojej działalności względem mieszkańców.*

Kowalów podkreśla, że wzrost czynszów powinien być skorelowany ze wzrostem cen i usług. Adwokat sugeruje: jeśli właściciel nie może się doprosić od zarządu dokumentów, które uzasadniają podwyżkę, powinien pozwolić, aby sprawa trafiła do sądu. W sądzie wspólnoty czy spółdzielnie będą zmuszone przedstawić dokumentację, której odmawiają lokatorowi. Tylko warunek: należy płacić dotychczasowy czynsz.

Frajerzy

Na forach wkurzonych podwyżkami mieszkańców znaleźć można spisane przez jakiegoś internautę „vademecum prezesa" spółdzielni. Można je już spokojnie odnosić także do wspólnoty mieszkaniowej. „Frajer" to mieszkaniec w oczach prezesa.

Z vademecum prezesa: „każdą sprawę, o którą występuje frajer, należy załatwiać w maksymalnie wydłużonym czasie, a jeśli tylko można, np. nie ma dużego zagrożenia sądowego, nie należy jej załatwiać w ogóle". „Udzielenie frajerowi informacji na piśmie jest ostatecznością. Dopóki się da, wszystkich informacji należy udzielać wyłącznie ustnie". „Frajerowi nigdy nie należy przedstawiać całej prawdy. Dobrze jest mówić o tej samej sprawie raz tak, za drugim razem przeciwnie. Frajer się dziwi i głupieje, bo nie wie, jak jest naprawdę". Puenta: „Poza bardzo nielicznymi wyjątkami frajer wcześniej czy później się zmęczy i zrezygnuje".

Niestety, tu nie ma się z czego śmiać, bo to prawda. W dodatku w projekcie nowelizacji ustawy o własności lokali, nad którą właśnie pracuje rząd, pojawia się pomysł, żeby uchwały wspólnot mieszkaniowych zapadały nie kwalifikowaną (ponad 50 proc. udziałowców), a zwykłą większością głosów. Oznaczałoby to w praktyce, że kolejną podwyżkę czynszów mogą przegłosować zarząd i jego najbliżsi totumfaccy – będzie się liczyła większość obecna w danym pomieszczeniu.

Ul

Aniela z Łodzi mówi, że w jej wspólnocie znów zaczął się ul. Ul jest wtedy, gdy któryś z mieszkańców zbuntuje się przeciwko obecnemu zarządowi i zaczyna budować wokół siebie grupę wsparcia. Dziwny widok: na klatkach schodowych spotkać można nagle rozmawiających ze sobą mieszkańców. W windzie ktoś rozwiesił paszkwil na obecny zarząd – sugeruje, że blokiem rządzą złodzieje. Główny komunikat ula zawsze jest taki: jak pogonimy tych złodziei, to będzie taniej. Ale potem zawsze okazuje się, że jednak drożej.

Nowy zarząd wspólnoty Marka z warszawskiego Mokotowa ukonstytuował się w 2025 r. Marek prosi nowy zarząd i administrację o pokazanie uchwały podwyżkowej – tak ważne dla mieszkańców decyzje muszą zapadać większością głosów. Dostaje istne morze papieru – w tym nawet biuletyny dotyczące sadzenia krzaków na terenie wspólnoty. Uchwały o podwyżce brak. Co nie przeszkadza wspólnocie przysyłać wciąż nowych „wezwań do zapłaty". Ostatnio z adresu mailowego *no reply*, uniemożliwiającego odpowiedź.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

© ARKADIUSZ ZIÓŁEK/EAST NEWS

eprasa.pl 6e74b318b5

Grubsza sprawa

Rozmowa z Michałem Bonarowskim, dziennikarzem, autorem niebawem ukazującej się na rynku książki o operacjach bariatrycznych, który sam zmagał się z otyłością.

Michał Bonarowski
jeszcze przed operacją bariatryczną i po

Michał Bonarowski – współpracował z kilkoma redakcjami, w tym z POLITYKĄ. W latach 2005–09 był redaktorem naczelnym głównej strony onet.pl. Od kilku lat pisze i mówi o dobrym jedzeniu i męskiej otyłości. Ambasador Fundacji na rzecz Leczenia Otyłości, rzecznik zdrowego stylu życia i leczenia otyłości kampanii społecznej „Na wagę zdrowia" Fundacji Zdrowie i Edukacja Ad Meritum.

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Pan był gruby czy puszysty?**

MICHAŁ BONAROWSKI: – Urodziłem się w 1971 r. W książeczce zdrowia po urodzeniu wpisali mi blisko pięć kilo i że jestem zdrów. Dziś taka liczba już byłaby sygnałem ostrzegawczym dla lekarzy. Kończąc podstawówkę, ważyłem już ponad 80 kg. A w liceum przekroczyłem 100. Odpowiadając na pytanie: byłem otyły od dziecka.

Utyć za późnego Gierka to był jednak wyczyn.

Mam do siebie sporo dystansu, ale jeszcze więcej dystansu mam do robienia sobie żartów z otyłości, bo często to nie jest choroba ciała, ale psychiki. Oczywiście upraszczam, może nawet nieco trywializuję, ale po samym sobie widzę, ile spraw człowiek załatwia sobie jedzeniem, ile kompleksów nim zapycha. A jednocześnie ciągle próbuje się to obrócić w żart, byle się nie skonfrontować z problemem.

Krzysztof Kowalewski zwykł był przy mnie żartować: kto położył ten namiot na fotelu, a nie, czekaj, to moja koszula. Opowiadam to, żeby spuścić trochę powietrza z rozmowy, która ma mały potencjał na lekką.

Nie bronię się przed swobodną rozmową, ale jak masz 9 mln otyłych Polaków, to trudno cokolwiek obracać w żart. A co do Gierka, to może i banany występowały głównie na redzie w Gdańsku, a nie w sklepach w Warszawie czy w Koluszkach. Ale proszę pamiętać, że chowali nas rodzice, którzy czasem sami nie dojadali, a czasem nieśli jeszcze w sobie traumę swoich rodziców, którzy widzieli, jak się umiera z głodu podczas wojny. Co jest istotne, bo temat traumy w otyłości to bardzo ważny wątek. Na dodatek w czasach mojego dzieciństwa jedzeniem ludzie okazywali sobie uczucia, bo często inaczej nie bardzo potrafili. Na sklepowych półkach było pusto, ale o dziecko się dbało. Oczywiście w myśl zasady, że im więcej, tym lepiej. Czasem bez refleksji, że taką miłością robi się więcej krzywdy niż dobrego. Tyle że minęło pół wieku, wiedza o ludzkim organizmie i mechanizmach otyłości jest ogromna, a dalej rodzice i dziadkowie popełniają te same błędy. Polskie dzieci tyją na potęgę. Chyba nie wychowują się same?

Mój przyjaciel mawia, że jedzenie to najtańsza rozrywka.

© ARCHIWUM MICHAŁA BONAROWSKIEGO, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 6e74b318b5

Na dodatek legalna, społecznie akceptowalna, wręcz nobilitująca. Sześć dań na weselu, czyli dobrze było. Kto zje sześć obiadów w jeden dzień, w tym trzy w nocy? Nikt normalny. A przez ostatnie lata tak się w Polsce bawiło. Niby Kościół mówi, że nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu to grzech, i to główny, ale Polacy, w tym wierzący, zdają się o tym nie pamiętać. No i lata 90. to żywieniowe turbodopalanie. Cała ta głęboko przetworzona żywność, te piękne reklamy. Jak pokazać, że kocha się wnuka – kupić mu cukiereczki. Jak znowu być sobą – zjeść baton. A z drugiej strony stres, zapiernicz, drapieżny kapitalizm. Ja tego wszystkiego doświadczałem na sobie, pracując, jak wielu z mojego pokolenia, w folwarcznej kulturze zapierniczu. A później zajadaliśmy te stresy, te emocje. I tak do 200 kg zabrakło mi jakieś 25 kilo.

Jeden z moich rozmówców, którzy przeszli operację bariatryczną, powiedział mi, że otrzeźwiło go, jak popuścił w majtki, bo był za gruby, żeby dojść na czas do toalety.

Ja takiej jednej sytuacji nie miałem. Ale wiele innych: bo na schody ciężko wejść, buty trudno zawiązać. A najgorsze są samoloty, bo nie dość, że ciasno, to jeszcze ta przedłużka do pasa dla ciężarnych. Jakkolwiek grubą skórę byś miał i nie wiem jak to wypierał, to w takich sytuacjach nie da się nie skonfrontować z samym sobą i swoją wagą. Tyle że jeśli chcemy uczciwie o tym wszystkim rozmawiać, to oczywiście każda osoba z otyłością musi się uderzyć we własną pierś. Ale to już dawno przestała być sprawa indywidualna. Problem jest społeczny. I tego problemu nie tylko nie da się już ignorować, ale również nie da się rozwiązać bez udziału państwa.

Jestem w stanie sobie wyobrazić, jak czytelnik mówi teraz, że nikt nikogo nie karmi na siłę.

To ja mam dla takiego czytelnika kilka cyferek. UPF, czyli Ultra-Processed Foods, a mówiąc po naszemu żywność wysokoprzetworzona, to jeden z głównych problemów dietetycznych współczesnego człowieka. Przez lata w Polsce się tego nawet nie mierzyło, bo nie bardzo było co mierzyć. Dopiero kiedy nam się poprawiło, udział UPF w diecie Polaków zaczął gwałtownie rosnąć. I dziś zjadamy ok. 200 kg UPF rocznie, czyli według szacunków ok. 30 proc....

...to dużo czy mało, bo ja nie jestem dietetykiem.

I dużo, i mało. Można powiedzieć, że mało, bo w Wielkiej Brytanii czy USA blisko połowa diety to żywność wysokoprzetworzona. Z kolei w Grecji czy Włoszech jest to poniżej 20 proc., choć to stamtąd mamy pizzę i makarony. Ale też stamtąd przyszły do nas warzywa, do których jedzenia, zwłaszcza na surowo, ciągle się nie możemy przekonać. I znowu kolejny niuans. Czy skoro na Wyspach połowa żywności jest niskiej jakości, a u nas tylko około jednej trzeciej, to oni mają dużo gorzej? Otóż niekoniecznie, bo problemem jest nie tylko dieta złej jakości, ale również fatalne nawyki. Innymi słowy, samo jedzenie marchewki nie załatwi sprawy, jeśli nie włączysz do swojego życia mądrej aktywności fizycznej. I to brzmi jak rady coacha z YouTube, ale ja to wszystko po prostu przećwiczyłem na sobie.

Ile pan dziś waży?

Poniżej 90 kg. To efekt długiego i wymagającego wielu zmian procesu. I każdy, kto jest dotknięty otyłością olbrzymią, a ja taką właśnie miałem, też będzie musiał przejść podobny proces. Chyba że godzi się z tym, że nie tylko umrze wcześniej niż jego koledzy czy koleżanki, ale przede wszystkim krócej od nich będzie się cieszył czymś, co nazywamy życiem dobrej jakości. Prawda jest taka, że liczba schorzeń, z którymi boryka się osoba otyła, jest statystycznie znacznie większa, niż gdyby tej otyłości się pozbyła.

Grubo pan straszy.

Covid był tym momentem, kiedy wiele osób otyłych zdało sobie sprawę, że to nie jest żadne straszenie, tylko realia. Wśród tych, którzy zachorowali na covid, osoby ze znaczną otyłością miały mniejsze szanse na przeżycie. Co swoją drogą jest bardzo silną motywacją do zmiany. Ja muszę się przyznać, że miałem inną motywację. Mając swoją dzisiejszą wiedzę, rzekłbym nawet, że niezbyt mądrą – mianowicie natury estetycznej.

Ale motywacja oparta na wyglądzie jest złudna. Można się na niej bardzo zawieść. Wyobraźmy sobie, że ktoś czuje się nieszczęśliwy, niekochany, odrzucony i łączy te fakty ze swoją otyłością. W wyniku, dajmy na to, operacji bariatrycznej staje się szczupły, może nawet atrakcyjny fizycznie. Ale nadal nie znajduje miłości, akceptacji, to jaką ma motywację do utrzymania wagi? To jest taki wymyślony przypadek, ale bynajmniej nie abstrakcyjny, bo właśnie skończyłem pracę nad dużą książką, w której opisuję całe spektrum problemów związanych z bariatrią, bo proszę mi wierzyć, jest to temat pełen niuansów.

Podobno wiele osób po operacji bariatrycznej po trzech, czterech latach wraca do poprzedniej wagi, a czasem nawet ją przekracza.

Zacznijmy od tego, że zabieg, którym dziś leczymy otyłość, a o którym mówimy – operacja bariatryczna – ma korzenie w operacjach żołądka stosowanych m.in. w onkologii. Była to głęboko inwazyjna chirurgia na układzie pokarmowym zaatakowanym przez komórki rakowe. Z czasem chirurdzy zauważyli, że wielu pacjentów po takich zabiegach nie tylko przeżywa, ale też – niejako przy okazji – bardzo mocno chudnie. Skoro pan lubi żartować, to wśród lekarzy jest takie powiedzenie, że medycyna jest bezradna, jeśli pacjent chce żyć.

Sama operacja wygląda, jakby chirurdzy grali na PlayStation.

Mówi się, że to zabieg, choć tak naprawdę głęboka inwazja w ciało człowieka. W wyniku operacji, dokonywanej obecnie laparoskopowo, bez tzw. otwierania człowieka, zmienia się bardzo układ pokarmowy. W uproszczeniu: albo wycina się od 80 do 90 proc. żołądka, albo omija się fragment jelita cienkiego. To wpływa zarówno na wielkość i ilość zjadanych porcji, jak i wchłanianie składników odżywczych. Dodatkowo w przypadku zmniejszenia żołądka wycinana jest ta jego część, która odpowiada za produkcję greliny.

Grelina nie ma teraz dobrego piaru.

To jeden z hormonów sterujących naszą sytością. Normalnie funkcjonująca mówi: jesteś głodny. A jak już zjesz, włącza się inny hormon – leptyna – i mówi: przerwa, już się najadłeś. Ale może działać również nieprawidłowo i wtedy ciągle dostajesz sygnał: głodny. Ja to znam, bo całe życie byłem głodny. Mogłem zjeść cztery obiady i dalej czułem głód.

Ta wiedza właściwie kasuje potoczne myślenie typu: gruby, bo ma słabą wolę i ciągle tylko by żarł.

W zasadzie wyrzuca takie myślenie do kosza. Oczywiście pod warunkiem że ktoś ma jakąkolwiek wiedzę na temat mechanizmów powstawania otyłości. Ten mechanizm ciągłego ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ poczucia głodu nauka nazwała *food noise*. I dziś najczęściej steruje się tym mechanizmem za pomocą leków, tzw. analogów GLP-1.

Mówi pan o Ozempicu?

Między innymi, ale tych leków i substancji jest i będzie więcej. Każdy z nich ma swoją specyfikę. Akurat ten wymieniony nie jest wcale w Polsce najbardziej popularny. Na dodatek, jak już ustaliliśmy, otyłość jest problemem masowym. Stąd i zyski koncernów medycznych na analogach GLP-1 są gigantyczne. To wielki i skomplikowany wątek i temat na odrębną rozmowę. Wolę mówić o bariatrii, bo ten temat jest słabiej opowiedziany w mediach, a moim zdaniem jest bardzo ważny. Początkowo nie chciałem poddawać się temu zabiegowi. Ale w pewnym momencie uznałem, że sam nie jestem już w stanie bardziej obniżyć masy swojego ciała, i zdecydowałem się na operację. Przekonały mnie liczby.

Jakie?

Ograniczanie kalorii, niejedzenie rzeczy niezdrowych, odstawienie słodyczy, niepicie alkoholu to droga do szczupłości dla 5 do 10 proc. walczących z otyłością. I to pod warunkiem że mniejszej podaży kalorii będzie towarzyszył większy wydatek energii, czyli jakaś forma aktywności fizycznej. Skąd takie niskie wartości? Bo chodzi o trwały efekt.

Ludzie wolą iść na skróty, bierzesz zastrzyk i po co się męczyć.

Farmakoterapia, w zależności od leku, może doprowadzić do utraty nawet ok. 25 proc. masy ciała. Największe spadki notuje się po chirurgii bariatrycznej, gdzie maksymalna średnia redukcja to ok. 35 proc. w ciągu pierwszego roku, dwóch lat. Nie znaczy to, że operacja jest najlepsza dla każdego. Pierwsze dwa lata po operacji są wspaniałe. Je się na łyżeczki, bo więcej się nie mieści i apetyt jest minimalny. Waga spada. Ten miesiąc miodowy z własnym głodem trwa jakieś dwa lata. A później apetyt może wracać, bo ciało ludzkie to jest genialna maszyna stworzona do przetrwania i szybkiej adaptacji. No i wtedy zaczynają się schody.

Jeden z bariatrów powiedział mi, że schody się zaczynają, bo lekarze operują żołądek, nie mózg.

Regulowanie emocji jedzeniem, w uproszczeniu: zajadanie stresu, to już dobrze zbadane i opisane mechanizmy. Często problem jest jednak jeszcze głębszy. Jestem zdania, że każdy, kto zamierza poważnie wziąć się za bary z otyłością, powinien poddać się terapii.

Z amerykańskich badań wynika, że wiele osób, zwłaszcza kobiet, które poddawały się operacjom bariatrycznym, przyznawało się do głębokich traumatycznych przeżyć w młodości. Często były to doświadczenia drastyczne: gwałty, molestowanie, przemoc rodzinna, alkoholizm.

Do swojej książki rozmawiałem z wieloma osobami i z tych rozmów wynika, że ta trauma wcale nie musiała być taka ciężka. Czasem wystarczy wymagający rodzic czy szef, poczucie bycia niewystarczająco dobrym. Człowiek jest skomplikowany. Nie ma złotych rozwiązań. Po operacji zdarza się, że rozpadają się małżeństwa, bo np. ktoś poczuł się atrakcyjny, a swojego partnera przestał postrzegać jako atrakcyjnego. Jest wiele sprzecznych emocji związanych z taką zmianą. Dlatego podkreślam, że schudnięcie dla efektu estetycznego wiąże się z pułapką oczekiwań. Korelacja depresji z otyłością to kolejny temat rzeka. Zresztą sam tego doświadczałem, nie do końca mając taką świadomość. Jestem zdania, że budowanie tej świadomości to robota dla państwa.

Państwo nie potrafiło się rozliczyć z ponad 5 mld, które zebrało w ramach podatku cukrowego (2021–23). Pieniądze miały iść na walkę z otyłością, ale poszły do budżetu Ministerstwa Zdrowia i pozapychano bieżące dziury.

To, co mówi Najwyższa Izba Kontroli, to uproszczenie, bo z pieniędzy z podatku cukrowego za rządów PiS udało się zwiększyć choćby liczbę operacji bariatrycznych. Oczywiście to ciągle kropla w morzu potrzeb, ale to nieprawda, że te pieniądze wyparowały. A ostatnio państwo przypomniało sobie, że jest już program zwalczania otyłości, przygotowany wcześniej z udziałem wielu fachowców, i nawet podjęto próbę uruchomienia Narodowej Strategii Redukcji Otyłości. Sięgnięto po agentów wpływu, jak Ewa Chodakowska, czyli ktoś zaczął na to patrzeć nieco bardziej nowocześnie. To plus. Ale czy ten program przełoży się na zdrowie Polaków?

Poprzednia władza zaczęła ważyć Polaków, ale okazało się, że w gabinetach lekarskich są wagi do 150 kg, więc wielu osób zważyć się na nich nie dało.

Dla mnie ta historia nie jest opowieścią o wagach, ale o lekarzach, którzy początkowo w sporej części mieli w nosie, że społeczeństwo zaczęło tyć. Przecież lekarz nie potrzebuje odczytu z wagi, żeby się zorientować, że z ciałem pacjenta coś jest nie tak. Ale w polskim gabinecie, jak przychodzisz z katarem, to leczymy katar. Bolą plecy – dajemy przeciwbólowe. A to, że plecy bolą, bo kręgosłup nie jest w stanie wytrzymać zbyt dużego obciążenia związanego z otyłością, to już nas mało obchodzi. To oczywiście uproszczenie, ale zwykle nie ma czasu, nie ma zainteresowania, nie ma umiejętności przekazania pacjentowi podstaw leczenia. I to jest problem, a nie przestarzałe wagi.

Państwo ponownie próbuje się zmierzyć z żywnością dla dzieci. Pierwsze podejście do tzw. ustawy sklepikowej, zwanej przez PiS programem „drożdżówka minus", dobiło notowania rządu Ewy Kopacz.

W rządzie mają chyba świadomość, że temat jest potencjalnie wybuchowy, bo dali rok producentom i sprzedawcom żywności na dostosowanie oferty do nowych, zaostrzonych przepisów, które wejdą w życie we wrześniu 2026 r. Przepisów zresztą bardzo sprytnie skonstruowanych, bo uderzających nie w konkretne produkty, np. drożdżówki czy chipsy. Rozporządzenie odnosi się m.in. wprost do maksymalnej ilości cukru, soli czy tłuszczów w produktach dopuszczonych do sprzedaży w szkołach.

Pierwsze rozporządzenie w sumie miało podobne zapisy. Skończyło się na tym, że nawet chipsów z jabłek nie można było sprzedawać w sklepikach.

Akurat chipsów z jabłek według tego rozporządzenia też nie będzie można wstawiać do szkolnych automatów, bo to produkt z bardzo wysoką zawartością cukrów.

To już się boję o notowania rządu.

Rząd wypuszcza prawie jednocześnie te nowe przepisy stołówkowe oraz program modernizacji orlików i program Sport Szkolny na lata 2026–27. Świetnie! Tyle że mało kto o tych pomysłach słyszał. Jak rząd poprawi komunikację, to i notowania mogą się poprawić. I może wreszcie uda się uruchomić profilaktykę i edukację antyotyłościową w szkołach i dla całych rodzin.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl 6e74b318b5

Domowa bimbrownia na Podlasiu

Pęd do pędzenia

W piwnicy bloku w Gorzowie Wielkopolskim wybuchł bimber. To kolejny mocny dowód, że trend w narodzie przesuwa się z konsumpcji na produkcję.

ZBIGNIEW BOREK

O godz. 4.30 zapłakał synek Ewy z klatki B. Wzięła dwulatka do swojego łóżka. Wtedy usłyszała potężny huk. Łóżkiem zatrzęsło, blok drżał, pierwsza myśl: w bloku eksplodował gaz. Oksana (klatka B, mieszkanie nr 9) pomyślała, że runęły szafki w kuchni. Potem zobaczyła rozpołowioną futrynę. Z drzwi wejściowych jej sąsiadów wyrwało zamki. – *Myślałem, że zaatakowali Ruscy* – mówi mężczyzna spod dziesiątki. Tak też sądziła Bogdana (klatka A, lokal nr 9), która przed rokiem uciekła z córką i mężem przed wojną w Ukrainie, a teraz uciekała z sąsiadami z zadymionego bloku: – *Jak nic wojna przyszła do Polszy.*

Do eksplozji doszło 4 lutego. Z czteropiętrowego bloku przy ul. Wróblewskiego 54 ewakuowano 48 osób. Niektóre uciekały w piżamach. Panował mróz, miasto podstawiło ogrzewany autobus i zapewniło schronienie w pobliskim żłobku. Jednocześnie trwała akcja gaśnicza: płonął boks w piwnicy. Do źródła ognia strażacy przedzierali się przez korytarz zawalony cegłami i rozbitymi sprzętami. Przypuszczali, że wybuch wywołała awaria instalacji gazowej. Osłupieli, gdy mierniki nie wykazały zagrożenia. – *Szukaliśmy wycieku gazu, a okazało się, że wybuchł alkohol. Wypalił się do zera, nie było go nawet czuć* – mówi mł. bryg. Arkadiusz Kaniak z Komendy Wojewódzkiej Państwowej Straży Pożarnej. Najbardziej ucierpiało mieszkanie pod dwójką w klatce A: wyrwane drzwi wejściowe, rozbite lustrzane od szafy w przedpokoju, wyłamane drzwi do salonu, uszkodzone do sypialni. – *Dobrze, że byliśmy z żoną w łóżku. Człowiek mógł zginąć we własnym przedpokoju* – mówi lokator Jerzy Majer. I dodaje: – *Nie do uwierzenia, że zawinił bimber.*

Z piwnicznego boksu zostały tylko betonowe słupki, ściany między nimi wymiotło. Fala uderzeniowa rozeszła się do dwóch połączonych piwnicą klatek schodowych. W pionie nad feralnym boksem uszkodziła niemal wszystkie drzwi i futryny. W sąsiednim pionie dodatkowo rozsadziła właz na dach. – *Szczęście w nieszczęściu, że mieszkańcy jeszcze spali. Gdyby ktoś był w piwnicy, mówilibyśmy najpewniej o ofiarach śmiertelnych. Na klatce schodowej mielibyśmy poważnie rannych* – mówi mł. bryg. Kaniak.

Kot Schrödingera

Policja zatrzymała 57-letniego Roberta D., mieszkańca bloku, w którym doszło do eksplozji. Jest pracownikiem dużej publicznej instytucji (dba w niej o sieć ▶

© PIOTR MĘCIK/FORUM

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ gazową). Zwykły miły i spokojny pan, żonaty, dorosła córka, ogródek, pies – tak widzą go sąsiedzi. Zapewniają, że nie czuli żadnych podejrzanych zapachów, ale z jego piwnicy i mieszkania policjanci wynieśli w kanistrach 300 litrów gotowego bimbru i wina. D. nie godzi się na rozmowę z reporterem, bo – jak tłumaczy jego adwokat – „jest przygaszony, wręcz załamany". – *Nie chciał nikomu zrobić krzywdy* – mówi mec. Błażej Kowalczyk.

Przed prokuratorem D. przyznał się do „produkowania i magazynowania alkoholu bez banderoli". Nie przyznał się natomiast do „sprowadzenia niebezpieczeństwa pożaru i zawalenia budynku". – *Z decyzją zaczekamy do sporządzenia opinii przez biegłego z zakresu eksplozji* – mówi adwokat. Jego klient jest więc trochę jak kot Schrödingera: nie czuje się winny wybuchu, ale też nie czuje się niewinny. Utrzymuje, że bimber pędził, lecz w mieszkaniu, a w piwnicy legalnie wyrabiał wino. Policjanci w taką wersję nie wierzą, bo w piwnicy znaleziono pozostałości sprzętu do destylacji. A poza tym wino raczej nie wybucha. – *Jeśli już to niegroźnie, najwyżej rozbija gąsior* – mówi rolnik z północno-zachodniej Polski, który w obejściu pod lasem pokątnie produkuje samogon.

Prawo, ale ogólnie na lewo

Każda eksplozja przy pędzeniu bimbru odbija się szerokim echem. W 2022 r. doszło do wybuchu w budynku gospodarczym w Suwałkach. Policjanci zabezpieczyli beczki: ponad 300 litrów gotowego alkoholu, 1800 litrów zacieru i aparaturę. Zarzuty nielegalnego wytwarzania alkoholu postawiono kobiecie i dwóm mężczyznom. W 2021 r. w Gliwicach eksplozja aparatury na parterze czteropiętrowego budynku wybiła wszystkie okna z mieszkania i poparzyła 66-letniego sprawcę. W 2018 r. w mieszkaniu na parterze bloku w Olsztynie wyrwała okna z futrynami, a 31-letni lokator trafił do szpitala z poparzeniami. Znaleziona w jego kuchni instalacja do pędzenia jeszcze cuchnęła zacierem. W 2009 r. 69-latek z Lubina próbował przepędzić baniak wina. Eksplozja wyrwała frontową ścianę salonu w dziesięciopiętrowym bloku. „Zaczęły palić mi się plecy i włosy na głowie. Wołam do żony, aby otwierała okna w pokoju, a ona na to, że nie ma okien, bo wyleciały" – opowiadał.

Bez względu na ilość sprawcy zawsze utrzymują, że pędzili na własny użytek (Robert D. nie jest wyjątkiem). W zeznaniach potrafią mocno przeszarżować. 81-latek z Huty Starej na Podkarpaciu tłumaczył, że kilkadziesiąt litrów samogonu upędził, żeby nacierać schorowane nogi i ręce – własne i żony. Szkopuł w tym, że każda produkcja alkoholu etylowego bez wpisu do rządowego rejestru jest przestępstwem. Grozi za to grzywna, ograniczenie wolności i do trzech lat odsiadki, a w przypadku „mienia znacznej wartości" – od sześciu miesięcy do pięciu lat (art. 12a ustawy z 2 marca 2001 r. o wyrobie alkoholu etylowego oraz wytwarzaniu wyrobów tytoniowych). W praktyce większość spraw kończy się grzywną lub wyrokami więzienia w zawieszeniu. Realną odsiadkę sądy orzekają, gdy produkcja bimbru ma charakter wielkiego biznesu i towarzyszy groźniejszym przestępstwom. Nawet członków tzw. gangu trucicieli skazano przed rokiem (8–12 lat więzienia) nie za to, że częstowali ofiary alkoholem z domieszką rozpuszczalnika (według sądu brakło dowodów), lecz za wyłudzanie mieszkań.

Na domiar złego panuje prawna schizofrenia: pędzenie jest zabronione, ale w internecie i na bazarach (szczególnie wschodniej Polski) każdy może kupić aparaturę – od domowej po półprzemysłową. Przyzwoity zestaw do destylacji kosztuje 1,5–2 tys. zł, sprzedawane są też drożdże gorzelnicze, stylizowane butelki czy etykiety.

Legalnie wytwarzaniem alkoholu etylowego zajmuje się 530 podmiotów – tyle jest w rejestrze, który prowadzi Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. Ile podmiotów pędzi po cichu? Tego nikt nawet nie szacuje. Wiadomo tylko, że w latach 2020–25 Krajowa Administracja Skarbowa (KAS) samodzielnie lub z policją zlikwidowała 130 bimbrowni, w których było ponad 17 tys. litrów alkoholu. – *O kradzieżach czy rozbojach dowiadujemy się od ofiar. W pędzeniu zwykle ofiar nie ma i nikt nas nie powiadamia* – tłumaczy podkarpacki policjant. – *U nas nie pędzi się chyba tylko na plebanii, ale policji to chyba nie przeszkadza* – mówi Krzysztof Maurer, jedyny legalny producent śliwowicy łąckiej. Cytowany już rolnik twierdzi, że w jego okolicy w niemal każdej dużej wsi ktoś pędzi. – *Zaopatrywałem nawet wesele krewnej oficera policji* – chełpi się.

Gdyby nie wybuchowość, skalę zjawiska trzeba by pewnie geometrycznie mnożyć. Po forach internetowych widać, że strach przed eksplozją jest jakąś tamą przed totalnym rozpasaniem. – *Produkt finalny to istny koktajl Mołotowa, ale eksplozja nie wyniknie raczej z „samego alkoholu", tylko z tego, w jakich warunkach pędzisz i czy się przykładasz* – mówi rolnik bimbrownik. Do eksplozji może dojść na każdym etapie. Podczas podgrzewania zacieru powstają łatwopalne opary etanolu. Jeśli instalacja jest nieszczelna, opary mogą się wydostać. Wystarczy iskra (papieros, przełącznik światła), by doszło do zapłonu. Zatkane przewody, źle wykonana chłodnica albo brak zaworu bezpieczeństwa mogą doprowadzić do wzrostu ciśnienia i rozerwania aparatury. Domowe, samodzielnie spawane aparaty często nie wytrzymują temperatury i ciśnienia. Ryzyko zwiększają nieszczelne łączenia, podobnie jak używanie palników gazowych lub ognia pod aparaturą. W trakcie fermentacji powstaje też dwutlenek węgla, a w niektórych warunkach śladowo inne gazy – to kolejne zagrożenia.

– *Jeśli ktoś pędzi bimber w piwnicy wielorodzinnego bloku, to zależy mu, żeby sąsiedzi nic nie wyczuli, a zacier przecież śmierdzi. Uszczelnia więc pomieszczenie, rzadko je wietrzy i nieszczęście gotowe* – mówi rolnik. Robert D. mógł się dodatkowo zabezpieczyć przed wścibskimi: do niego należała komórka, w której doszło do eksplozji, ale też sąsiadujące z obu stron. W piwnicy miał gniazdko elektryczne (bez zgody spółdzielni). Nie miał natomiast najpewniej źródła bieżącej wody, która zwykle jest chłodziwem w destylacji, co przemawiałoby na jego korzyść. Prokuratura czeka więc na opinię biegłych.

Nielegalną gorzałkę najczęściej wytwarza się w budynkach gospodarczych, garażach lub leśnych szałasach. – *W latach 80., czasach niedoboru i wysokich cen alkoholu, powszechnie pędzono w blokach. Teraz porywają się na to ostatni mohikanie, bo więzi społeczne są pozrywane, o sąsiedzkich wybrykach informuje się kogo trzeba* – mówi Andrzej Lechowski, historyk i twórca Muzeum Bimbrownictwa pod Białymstokiem.

Oprocentowani

Smakosze upatrują w bimbrze wolności, jakości i mocy, której ich zdaniem nie sposób już szukać w produkcji legalnej. Dla wielu 40 koni pod korkiem to za mało. Jak mówi jeden z degustatorów, musi kąsać. – *Nie tylko sam bimber jest elementem tradycji, ale też to, że pędzi się go nielegalnie* – mówi Lechowski.

eprasa.pl 6e74b318b5

Producenci idą z duchem czasu i oczekiwaniami klientów, oferując produkt zarówno dla poszukujących mocnych wrażeń, jak i dla tych, którzy niekoniecznie chcą się pozbyć śluzówki wypalonej przez procenty. Dla tych bardziej delikatnych powstają na bazie bimbru nalewki, regionalne trunki smakowe. Romantyczna strona bimbrownictwa ma również mroczne aspekty. Mundurowi znajdują w bimbrowniach profesjonalne linie rozlewnicze, kapslownice i designerskie etykiety, w składnikach do produkcji – odchody gryzoni, w kadziach z zacierem – kleszcze, a w samogonie alkohol do produkcji spryskiwaczy, podpałek do grilla czy preparatów biobójczych. W ostatnich kilku latach laboratoria KAS wykrywają w bimbrze alkohol izopropylowy, czyli rozpuszczalnik, który pozornie podwyższa moc produktu, to zaś sugeruje „wyrób lepszej jakości".

Argumentem jest też cena. Kopnięcie łosia czy duch puszczy, reklamowane jako podstępne i zdradzieckie (ponad 60 proc. mocy), kosztują 50–70 zł za półlitrową butelkę (z lakowanym korkiem i oryginalną etykietą), ale to trunki dla koneserów. Zwykłych śmiertelników zaopatrują producenci pokroju rolnika z północno-zachodniej Polski albo innego naszego rozmówcy, który pędzi bimber w piwnicy domu jednorodzinnego w powiatowym mieście woj. lubuskiego. Obaj wyliczają, że wyprodukowanie litra czystego bimbru o mocy 75–85 proc. kosztuje niecałe 10 zł. Z tego robią cztery 40-procentowe półlitrówki, każdą sprzedają („*tylko rodzinie, znajomym i znajomym znajomych*") za 20 zł, bo zwykła wódka w sklepie kosztuje 30. Pierwszy miesięcznie pędzi 150 litrów czystego alkoholu (12 tys. zł przychodu, 1,5 tys. kosztów, dochód: 10,5 tys. zł), drugi chce tylko wychodzić na zero po tym, co sam wypije i podaruje innym. Na wschodzie kraju jest taniej. Doświadczony bimbrownik wyprodukuje litr czystego alkoholu za kilka złotych, sprzeda pięciolitrowy baniak za mniej niż 200 zł. – *Wyjdzie z tego jakieś 15 flaszek o mocy 40 koni, jedna za ok. 13 zł. To interes życia* – wylicza mieszkaniec Białegostoku.

W wybuchu bimbru w piwnicy gorzowskiego bloku najbardziej ucierpiało mieszkanie Jerzego Majera. Na fot. **rozbite lustrzane drzwi od szafy w przedpokoju.**

Państwo też jakby mniej energicznie walczy z procederem, choć historia tej walki jest długa i momentami ociera się o krucjatę.

Lekcja geografii

Pierwsze antybimbrowe przepisy pojawiły się za Stefana Batorego, prohibicję wprowadzali zaborcy, z bimbrownictwem walczyła Armia Krajowa, a PRL wprowadziła drakońskie prawo: 15 lat więzienia za produkcję, trzy za kupno, rok za krycie bimbrownika. Nic to nie pomagało, bo zapłatę w samogonie chętnie przyjmowali pańszczyźniani chłopi, handlowaliśmy nim z hitlerowcami i sowietami, załatwialiśmy urzędowe sprawy za komuny. Czasy się zmieniają. Zmienia się również geografia zjawiska. Coraz więcej Polaków chce nie tylko pić bimber, ale i go samodzielnie wytwarzać. Zagłębiem samogonu nadal jest ściana wschodnia, zwłaszcza Podlasie, gdzie była co trzecia spośród ogółu bimbrowni zlikwidowanych w kraju w minionych pięciu latach. Jednak 19 proc. z nich działało w woj. zachodniopomorskim, dawniej nieobecnym na mapie tej przestępczości. – *W obu województwach ujawniane były niewielkie ilości bimbru, co może wskazywać, że wytwarzane były na użytek własny* – informuje st. asp. Justyna Pasieczyńska, rzeczniczka prasowa KAS. A bimbrownik z lubuskiego opowiada, że dawniej chodziło się na imprezy, żeby spróbować cudzego bimbru, a teraz każdy lubi częstować swoim.

57-letni Robert D. z Gorzowa też pewnie lubił częstować, biorąc pod uwagę skalę produkcji. Przed sądem będzie odpowiadał z wolnej stopy. Co drugi dzień ma się stawiać w komendzie policji, wpłacił 20 tys. zł kaucji i kolejne 20 tys. zł na poczet grzywien. Jeśli zostanie uznany winnym eksplozji, może pójść za kratki nawet na osiem lat.

Tydzień po wybuchu niemal wszyscy mieszkańcy z ul. Wróblewskiego wrócili już do siebie. Ekipy remontowe wymieniają drzwi do mieszkań – prawie wszystkie w bloku nr 54, choć niektóre w przytulonym do niego bloku nr 56. Trzeba wymienić drzwi wejściowe do obu bloków i do wiatrołapów (dziesięć sztuk): szyby popękały w pajęczynę, zawiasy się powyginały, futryny wypaczyły. – *W bloku 54 uszkodzeniu uległy instalacje elektryczna i wodna, światłowody i linie telewizji kablowej. Musieliśmy odbudować ścianki działowe w piwnicach i je odmalować* – wylicza Ryszard Ignatowicz, zastępca kierownika ds. technicznych w gorzowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej Górczyn.

Straty nie zostały jeszcze podliczone, ale sięgną dziesiątek tysięcy złotych. Koszt wymiany drzwi w mieszkaniach pokrywają firmy ubezpieczeniowe, pozostałe – spółdzielnia. W obu przypadkach w grę wchodzi regres, czyli roszczenie zwrotne, w którym ubezpieczyciel żąda zwrotu wypłaconego odszkodowania od sprawcy szkody. – *Najważniejsze, że konstrukcja nie została naruszona i budynek nadaje się do zamieszkania* – podkreśla Ignatowicz.

– *Spokoju to ja tu długo nie zaznam* – mówi Ewa z klatki B. Każdy szmer, każde stuknięcie stawia ją na baczność. Jerzemu Majerowi, któremu wybuch zniszczył czworo drzwi, trauma rozciągnęła się na bimber: choćby lali siłą do gardła, nie wypije.

ZBIGNIEW BOREK

© ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 6e74b318b5

Mniejszy tunel ukończony na stacji Koziny

Z tarczą i na tarczy

MARCIN PIĄTEK

Na budowie strategicznego tunelu kolejowego w Łodzi wszystko poszło nie tak. Wykonawca został wyrzucony, walczy o przetrwanie. I właśnie stracił swoją tarczę, zwaną Katarzyną.

Zamiast kontynuacji przełomowej inwestycji, mającej skrócić kolejowe połączenie z Warszawy do Wrocławia oraz połączyć łódzkie dworce w jedną spójną sieć, jest wielkie fiasko, wielkie opóźnienie i jeszcze większy znak zapytania co do dalszych losów projektu. Inwestor – PKP Polskie Linie Kolejowe – oraz wykonawca – Przedsiębiorstwo Budowy Dróg i Mostów są na wojennej ścieżce i przerzucają się oskarżeniami o niekompetencję oraz złą wolę. Znajdą one finał w sądzie.

Na początku lutego PKP PLK wypowiedziały PBDiM umowę i zamknęły wykonawcy dostęp do placu budowy, poirytowane faktem, że drążenie tzw. głównego tunelu biegnącego przez śródmieście Łodzi utknęło niemal półtora roku temu tysiąc metrów przed finiszem, czyli Dworcem Łódź Fabryczna. Umowę wypowiedziano tuż po nowelizacji ustawy o transporcie kolejowym wprowadzającej przepis o „przejęciu posiadania rzeczy ruchomej niezbędnej do realizacji inwestycji". W efekcie od wykonawcy przejęto drążącą tunel tarczę Katarzynę, która kosztowała 30 mln euro. PBDiM ma jednak autorski know-how, w jaki sposób z Katarzyną, jeśli chodzi o software i inne patenty funkcjonalne, należy się obchodzić. I nie zamierza się nim dzielić.

Przetarg na budowę pięciu tuneli kolejowych spajających dworce w Łodzi, co politycy z zadęciem nazywali „symbolicznym końcem zaborów na kolei" (miasto leżało niedaleko

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 6e74b318b5

granicy zaborów pruskiego i rosyjskiego), rozstrzygnięto w 2017 r. Na tym gładki przebieg inwestycji się zakończył. Najpierw odkryto bałagan w planach. Władze Łodzi załatwiły bowiem zmianę przebiegu głównego tunelu oraz dodatkowy przystanek w centrum i nie dokładając do inwestycji ani złotówki, snuły narrację o powstawaniu w mieście metra. Ale w PKP PLK ktoś przeoczył, że tunel poprowadzony inną trasą musi mieć też uaktualnioną listę budynków wymagających specjalnej troski, które muszą przetrwać podziemny napór tarczy o średnicy 13 m, długości stu i wadze mniej więcej 2 tys. ton. Zsynchronizowanie w papierach tego, co pod ziemią, z tym, co na powierzchni, trwało cztery lata. – *W efekcie pozwolenie na budowę wydano w grudniu 2021 r., już po terminie, jaki pierwotnie przewidziano na ukończenie projektu* – mówi dyrektor finansowania inwestycji w PBDiM Jerzy Pazura.

W tym czasie, wiosną 2019 r., upadłość ogłosił Energopol Szczecin, większościowy partner w duecie wykonawców. Na kreatywnej księgowości firmy wcześniej się nie poznano, wyprzedawanie przez nią majątku również uszło uwadze, PKP PLK przelały bankrutowi 159 mln zł zaliczki. Tak więc zanim budowa ruszyła, ciężkie miliony już rozpłynęły się w powietrzu. PBDiM mogło w teorii odstąpić od kontraktu. Ale górę wzięła ambicja. – *Mieliśmy doświadczenie z drążenia tuneli przy okazji budowy warszawskiego metra, kompletowaliśmy międzynarodowy zespół fachowców, zamówiliśmy tarczę. A zadania Energopolu podzieliliśmy między nasz zespół oraz podwykonawców* – opowiada Jerzy Pazura.

W powietrzu wisiała niepewność: czy łódzkie kamienice, wzniesione pod koniec XIX w. na fali włókienniczego boomu, przetrwają napór Katarzyny. Żydowscy fabrykanci budowali po taniości – kamienice opierają się o siebie nawzajem, nie mają wieńców, a za fundamenty służy parę warstw kamieni. W związku z kruchością miejskiej tkanki PBDiM zaproponowało zmianę koncepcji: dwa równoległe tunele wykonane przez mniejsze tarcze, o 9-metrowej średnicy, zamiast jednego większego. PKP PLK odmówiły, gdyż oznaczałoby to zmianę istotnych warunków zamówienia i otwierało drogę pokonanym w konkursie do składania protestów, a może i pozwów.

Zmianę technologii, choć akurat na innym odcinku budowy, proponował zresztą turecki Gulermak. PKP PLK odrzuciły pomysł i skreśliły ofertę ze względów proceduralnych. Państwowego inwestora nie przekonało nawet to, że Gulermak wespół z firmą Mosty-Łódź zaproponował najniższą cenę: 1,36 mld. Nieco ponad 200 mln zł mniej niż PBDiM i Energopol Szczecin. Zresztą PKP PLK zakładały kosztorys w wysokości 2 mld zł. Wyścig oferentów za podejrzanie niskimi cenami nie zapalił po stronie inwestora czerwonej lampki. Taki mamy klimat w publicznych zamówieniach.

Budowa ruszyła, i to na dwóch frontach. Tarcza Faustyna, drążąca cztery tunele jednotorowe w innej części Łodzi, szła jak burza i uporała się z zadaniem przed terminem. Inwestor się tym chwalił, dając jednocześnie do zrozumienia, że wykonawca świetnie sobie radzi. Ale „gruba Kaśka" posuwała się powoli i co rusz była zatrzymywana, gdyż na śródmiejskim odcinku wzmacniano grunt (wstrzykując do niego beton) i budynki. PBDiM wnioskowało o rozebranie niemal 40 kamienic, ale napotkało opór konserwatora zabytków, prywatnych właścicieli, jak również miasta cierpiącego na deficyt lokali komunalnych. Ostatecznie wydano zgodę na rozbiórkę tylko dwóch. – *Stan fabrykanckich kamienic jest fatalny: nieremontowane od dekad, zalewane, ze spękanymi ścianami i stropami. Tak jest na trasie tunelu, ale nie tylko, to specyfika wielu kamienic, głównie prywatnych. Na potrzeby drążenia niektóre wzmocniono, ale mieszka się w nich z duszą na ramieniu* – mówi K., inżynier niezwiązany z wykonawcą ani inwestorem, który jednak zna od środka realia inwestycji.

Na czas pracy tarczy mieszkania opróżniano z lokatorów. Prewencja była wskazana, bo we wrześniu 2024 r., gdy Katarzyna, pokonawszy łącznie ponad połowę trasy, pruła tunelowy otwór na Starym Polesiu, runęła kamienica przy Al. 1 Maja 23. Nadzór budowlany stwierdził, że to, iż do tej pory stała, to cud: jej stropy wspierały się na ścianie sąsiedniego budynku, a konstrukcja nie spełniała obecnych norm nośności i sztywności. Trzymała się na słowo honoru. Czasowa ewakuacja lokatorów z powodu budowy tunelu prawdopodobnie uratowała im życie.

Do katastrofy przyczyniła się też piwnica, z której istnienia nie zdawał sobie sprawy nawet lokator mieszkania na parterze. Pompowany w grunt beton leciał w czarną dziurę. Wrócił temat piwnic, kloak, studni oraz nitek miejskich rzeczek, na siłę wpychanych pod ziemię na fali dzikiej urbanizacji w drugiej połowie XIX w., czyli podziemnych pułapek, których na trasie tunelu jest bez liku. A na dodatek łódzkie śródmieście posadowione jest na kurzawce, czyli bagnistym gruncie, którego przebicie powoduje nagły i niekontrolowany wystrzał podziemnej wody oraz grozi osuwaniem się ziemi. Doszło do tego podczas budowy warszawskiego metra, gdy pęknięcie kurzawkowej bańki skończyło się zalaniem tunelu Wisłostrady oraz półrocznym poślizgiem w budowie.

Katastrofa okazała się punktem zwrotnym budowy tunelu. Prace stanęły i ogłoszono, że zanim Katarzyna ruszy, trzeba ponowić inwentaryzację budynków, wzmacniać najbardziej zagrożone, wstrzykiwać w grunt kolejne tysiące ton betonu. Na budowie pozorowano ruchy, bo wykonawca, choć nie mówił tego oficjalnie, uzależniał wznowienie działań od waloryzacji kontraktu podpisanego w 2017 r., przed skokiem cen materiałów wywołanym pandemią i wojną w Ukrainie. A także przed podwyżką płacy minimalnej, przed wzrostem cen prądu i kosztów spowodowanych nieprzewidzianymi przeszkodami na trasie oraz koniecznością opłacenia lokali zastępczych i hoteli dla 250 relokowanych z sąsiedztwa katastrofy mieszkańców. PKP PLK przystały tylko na waloryzację zapisaną w umowie, 10 proc. wartości kontraktu, czyli ok. 150 mln zł. PBDiM oczekiwało mniej więcej pół miliarda, bo tyle, jak twierdzi, do interesu dołożyło. Połowa pochodziła z kredytu, którym firma musiała się ratować.

Waloryzacja kontraktu wałkowana była od kilku dobrych lat. W lutym 2023 r. na posiedzeniu sejmowej komisji infrastruktury ten temat poruszał m.in. poseł Dariusz Joński, wówczas w opozycji. Mówił, że „przy tej inflacji i drożyźnie żaden wykonawca nie wykona tego zadania po kosztach z 2017 r.", dodając, że „urealnienie umowy" oznacza dodatkowe 500 mln zł dla wykonawcy. Obecni na posiedzeniu przedstawiciele Ministerstwa Infrastruktury oraz PKP PLK trochę przytakiwali, ale studzili apetyty co do wymiaru waloryzacji, jednocześnie zapewniając, że rozmowy z PBDiM trwają. Zmiana politycznego układu jesienią 2023 r. niewiele w rozmowach o dofinansowaniu PBDiM przyniosła, poza obserwacją, że najłatwiej wydaje ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ się publiczne pieniądze, nie mając na to wpływu, czyli będąc w opozycji, gdyż tym razem narrację o tym, że rządzący zarzynają polską firmę, przejęli politycy PiS.

Trwająca niemal trzy lata gra mediacyjnych pozorów skończyła się z hukiem wypowiedzeniem przez PKP PLK umowy i zaborem Katarzyny. PBDiM oskarżyło inwestora o prowadzenie mediacji w złej wierze i czekanie na wejście w życie nowelizacji ustawy o transporcie kolejowym, która pozwoliła przejąć tarczę. Dyrektor Pazura: – *Przepis, który to umożliwia, został przez prezydenta skierowany do Trybunału Konstytucyjnego* (jako naruszający prawo własności – przyp. red.), *ale do czasu rozstrzygnięcia nie mamy do tarczy dostępu.*

W upublicznionym przez PKP PLK komunikacie padły wobec wykonawcy ciężkie zarzuty, które najwyraźniej gromadził, przyglądając się, jak PBDiM nie prowadzi prac. Wśród nich: brak doświadczenia technologicznego, jeśli chodzi o drążenie tuneli, liczne błędy wykonawcze, lekceważenie sygnałów ostrzegawczych prowadzących do katastrofy, niewłaściwe użytkowanie tarczy. Wychodziło na to, że do najbardziej ryzykownej budowy w Polsce wzięła się firma, która nie ma o tym pojęcia, nie potrafi się do tego przyznać i brnie w swej niekompetencji na zgubę mienia, niepomna ciężkiej doli mieszkańców tułających się od półtora roku.

Łódź, Al. 1 Maja. Część kamienicy zawaliła się na skutek drążenia tunelu.

© LESZEK ZYCH

Ale obecny zarząd PKP PLK umywał ręce: to poprzednicy z innego politycznego rozdania wybrali takiego wykonawcę. Jerzy Pazura: – *Brak doświadczenia? Przecież wydrążyliśmy tunel metra w Warszawie i cztery mniejsze tunele kolejowe w Łodzi. Katastrofa nas zahamowała, ale mogliśmy kontynuować prace, gdyby tylko udało się porozumieć w sprawie waloryzacji. Nie możemy realizować inwestycji po stawkach sprzed niemal 10 lat. W Warszawie wzięto na to poprawkę, wykonawcy II linii metra otrzymali 50 proc. więcej, niż wynikało z kontraktu* (1,95 mld wobec uprzednich 1,3 mld – przyp. red.). *PLK pozostała przy 10 proc.*

W mailowej odpowiedzi na pytania wysłane przez POLITYKĘ Rafał Wilgusiak z PKP PLK przyznał, że PBDiM spełniło formalne wymogi przetargu, jeśli chodzi o doświadczenie, bo przecież wydrążyło tunel metra w Warszawie, ale nie sprostało „wyzwaniom geologicznym, organizacyjnym i technologicznym, jakie wystąpiły przy realizacji tunelu w Łodzi". Dodał, że liczne zastrzeżenia miały też łódzkie organy nadzoru budowlanego.

Ale sam urząd nic o tym nie wie. Z odpowiedzi przesłanej przez WINB: „w trakcie drążenia tunelu nie stwierdzono nieprawidłowości ani anomalii w pracy tarczy", „wykonawca monitorował osiadanie budynków", „metoda wzmocnienia podłoża (wstrzykiwanie betonu – przyp. red.) stanowiła skuteczną metodę stabilizacji gruntu", „zawalenie się oficyny miało charakter nagły, powstrzymanie osiadania budynku było niemożliwe". Jerzy Pazura: – *Mieliśmy 21 kontroli inspektoratu nadzoru. Wstrzymał prace raz, po katastrofie, bo taki jest wymóg prawny. Nad budową czuwał inżynier kontraktu wynajęty przez inwestora. Zastrzeżeń nam nie przekazał.*

Zmiana na tunelowym placu gry na razie najbardziej cieszy mieszkańców mających dość „wygnania" oraz upominania goniącego w piętkę PBDiM o pokrycie kosztów relokacji. Wspomniana nowelizacja oznacza dla nich początek końca tułania się po hotelach i wynajętych mieszkaniach. – *Jeśli ekspertyzy wykażą, że budynek nie nadaje się do użytkowania, zostaniemy wywłaszczeni, a PLK ma zapłacić nam za mieszkania na podstawie tzw. wartości odtworzeniowej. Jak długo może to potrwać? Mówi się, że do sierpnia* – mówi Andrzej Marciniak, właściciel mieszkania przy ul. 1 Maja 19.

Zaczynają się kalkulacje: ile dadzą za metr? Senator Krzysztof Kwiatkowski, zaangażowany w nowelizację ustawy, rzucił w jednym z wywiadów, że może to być nawet 12 tys. zł. Pytany przez POLITYKĘ, skąd wziął taką stawkę, nie odpowiedział. W kamienicy przy 1 Maja 19 własnościowych mieszkań jest ok. 40, nieco ponad 2 tys. powierzchni użytkowej. Razy „metr Kwiatkowskiego" wychodzi ponad 24 mln zł. A po sąsiedzku są jeszcze trzy „wysiedlone" kamienice. Ile budynków ostatecznie trzeba będzie zburzyć i ilu właścicieli wywłaszczyć, zanim tunel dobrnie do Dworca Łódź Fabryczna? Tego nie wie nikt, a im bliżej mety, tym bardziej rośnie ryzyko katastrof. Tunel musi się bowiem wznosić – obecnie Katarzyna utknęła na poziomie 19 m naziomu (gruntu nad tunelem), drążenie skończy się zaledwie na pięciu. Wielu inżynierów twierdzi, że biorąc pod uwagę to, jak płytko umiejscowiona jest Łódź Fabryczna, forsowanie tunelu przez miasto to szaleństwo. Rozmowy trwają. Katarzyna czeka.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 6e74b318b5

Pierwszy podział komórkowy

ADAM GRZESZAK

Równo 30 lat temu Polska weszła do świata cyfrowej telefonii mobilnej. To był początek rewolucji, która kompletnie zmieniła nasze życie prywatne i społeczne. Dzisiejsi wielcy operatorzy sieci GSM mają korzenie w tamtych barwnych czasach. I to korzenie mocno splątane.

Pierwszy telefon komórkowy GSM Orbitel 901 pojawił się w 1992 r.

© ORBITEL

W ciągu trzech dekad telefon komórkowy stał się naszym najbliższym towarzyszem, naszą pamięcią zewnętrzną. Ale także źródłem licznych schorzeń. Drżenie, dezorientacja, zaburzenia rytmu serca, paniczny lęk – to niektóre objawy ataku nomofobii (skrót od angielskiego *no mobile phone phobia*), czyli zaburzenia behawioralnego powodowanego przez utratę telefonu komórkowego, brak zasięgu czy rozładowanie baterii. Znają to dobrze fonoholicy, czyli cierpiący na uzależnienie od smartfona. Taka osoba nie wypuszcza aparatu z rąk, śpiąc, trzyma go przy łóżku, nieustannie na niego zerka, scrolluje ekran. Przymus nieustannego sprawdzania powiadomień i scrollowanie może być objawem FOMO (ang. *fear of missing out*), czyli lęku przed przegapieniem czegoś istotnego, i często jest powiązane z uzależnieniem od mediów społecznościowych.

96–97 proc. Polaków w wieku powyżej 15 lat posiada telefon komórkowy (w większości smartfon). Telefoniczne życie zaczynamy bardzo wcześnie: już w wieku 7–9 lat 63 proc. dzieci ma własny telefon, wśród 10–12-latków ponad 90 proc., a w grupie 13–15 lat praktycznie wszyscy. Dziś nasycenie polskiego społeczeństwa telefonami komórkowymi osiągnęło poziom ponad 140 proc., bo wiele osób posiada kilka urządzeń mobilnych. Aktywnych jest ponad 53 mln kart SIM. W 2024 r. każdy Polak w miesiącu przeciętnie przegadał 250 min (4,2 godz.) i wysłał 84 esemesy. Firma Priori Data zbadała średni czas użytkowania smartfona w różnych krajach świata w 2025 r. Polska znalazła się w środku stawki z czasem 3 godz. i 7 min. Polak na telefonię komórkową wydaje średnio 564 zł rocznie.

Skóra, fura i komóra

Wszystko zaczęło się w 1995 r., kiedy Ministerstwo Łączności ogłosiło przetarg na budowę cyfrowej telefonii komórkowej GSM. W 1996 r. koncesję nr 1 dostał Polkomtel z prefiksem 601 (od niego zaczynała się pierwsza pula numerów), nr 2 przypadł Polskiej Telefonii Cyfrowej (PTC) wraz z prefiksem 602. Pierwsza spółka budowała sieć Plus GSM, druga ERA GSM, a na uruchomienie działalności obie dostały rok. 16 września 1996 r. Era zaczęła komercyjną działalność, Plus dwa tygodnie później.

W tym czasie działała już w Polsce sieć komórkowa PTK Centertel, ale była to sieć analogowa, pracująca w systemie NMT (Nordic Mobile Telephone). Oferowała wyłącznie połączenia głosowe, nie zawsze dobrej jakości, za to bardzo drogie. Telefony były jeszcze droższe, choć wielkie, ciężkie, z baterią pozwalającą na półgodzinną rozmowę, szybko stały się symbolem luksusu, zwanego krótko „skóra, fura i komóra". To wówczas mafiosi zaczęli demonstracyjnie obnosić się z „cegłami", jak ze względu na wielkość, kształt i ciężar nazywano jeden z modeli centertelowskich komórek. ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ Cyfrowa transformacja telekomunikacji bezprzewodowej, czyli przejście na system GSM 2G (*Global System for Mobile Communications*), zdemokratyzowała telefonię komórkową. Telefony malały, a połączenia taniały, bo technologia cyfrowa sprawiała, że można było wydajniej wykorzystywać częstotliwości radiowe, obsługując jednocześnie dużo więcej rozmów, a wkrótce także przesyłać esemesy. Na początku lat 2000. poza esemesami pojawiły się też MMS, czyli wiadomości multimedialne. Komórki zyskiwały dodatkowe funkcje, w tym m.in. kolorowy ekran, aparat cyfrowy i dyktafon, a także technologię GPRS, pakietowej transmisji danych. Potem pojawił się system UMTS – wielka kolejna rewolucja – czyli telefonia GSM 3. generacji i komórki zyskały też dostęp do internetu, stając się kieszonkowymi komputerami.

Komórka dla każdego

Wkrótce niemal każdy mógł sobie pozwolić na telefon komórkowy, zwłaszcza że operatorzy subsydiowali aparaty i telefony oferowali w ramach abonamentu. Początkowo zainteresowani nimi byli głównie mieszkańcy miast, bo tworzenie sieci GSM rozpoczęto od miejsc, gdzie było najwięcej klientów. Z czasem przybywało anten stacji bazowych BTS (ang. Base Tranceiver Station) obsługujących łączność na obszarze konkretnej komórki, więc powiększała się strefa Polski znajdująca się w zasięgu operatorów GSM. Umowy koncesyjne określały, jaki stopień pokrycia kraju muszą osiągać w kolejnych latach.

Budowa infrastruktury wymagała jednak sporych wydatków, a także częstotliwości radiowych. Częstotliwości to dobro rzadkie i towar ściśle reglamentowany przez państwo, a także drogi. Telefonia komórkowa wykorzystywała pasma radiowe zwalniane przez wojsko, a wojskowi z oporami się ich pozbywali. – *Kiedy byłem ministrem łączności w latach 1992–93, próbowałem robić porządek z gospodarką widmem częstotliwości radiowych. Wiadomo już było, że nadchodzi epoka telefonii GSM, dla której podstawą jest częstotliwość 900 MHz. Od wojskowych wciąż jednak słyszałem, że jej nie oddadzą, bo na niej działa lotniczy system identyfikacji swój–obcy, wywodzący się z czasów Układu Warszawskiego* – wspomina Krzysztof Kilian, były minister łączności, a w latach 2008–11 wiceprezes Polkomtelu.

Era i Plus zaczynały od pasma 900 MHz, potem było 1800 MHz, ale szybko potrzeby rosły, więc wojna o częstotliwości stała się stałym elementem polskiego rynku telekomunikacyjnego, zwłaszcza że przybywało operatorów, a ci wprowadzali nowe usługi i nowe technologie. Szczególnym przełomem była rewolucja internetowa i przechodzenie sieci komórkowych na stosowaną w internecie pakietową transmisję danych. Połączenia głosowe i esemesy, do niedawna istota komórek, stawały się tylko dodatkiem, bo wszystko się zaczęło kręcić wokół mobilnego internetu. – *Media społecznościowe, bankowość internetowa i dziesiątki aplikacji, jakie pojawiały się w smartfonach, powodowały wzrost popytu, ale i wymagań co do prędkości przesyłu danych i zmniejszenia opóźnień. To z kolei zmuszało operatorów do ubiegania się o dostęp do coraz wyższych częstotliwości, w których możliwe było zaspokojenie wszystkich potrzeb. Ich zaletą była większa pojemność sieci, wyższa przepustowość, mniejsze zakłócenia, wadą zaś mniejszy zasięg komórek, co powodowało konieczność stawiania kolejnych masztów* – wyjaśnia Bogusław Kułakowski, były prezes Polskiej Telefonii Cyfrowej.

Jak to się robi?

W 1995 r., kiedy organizowano pierwszy przetarg na telefonię GSM, państwo zakładało, że operatorami zostaną spółki z przewagą polskiego kapitału. Problem był jednak taki, że w kraju nikt nie miał pojęcia, jak taką telefonię bezprzewodową budować, bo nawet z przewodową były kłopoty. Nie było też pewności, czy ludzie to kupią. Ostatecznie do przetargu stanęły trzy konsorcja, w których skład weszły zamożne polskie przedsiębiorstwa (najczęściej państwowe) jako dawcy kapitału i zachodnie firmy telekomunikacyjne jako dostawcy technologii i know-how. W przypadku Polkomtelu większościowy polski akcjonariat uskładano z ośmiu firm: KGHM, Petrochemii Płock, Polskich Sieci Elektroenergetycznych, Węglokoksu, Stalexportu, Tel-Energo, Telbanku i BIG Banku Gdańskiego. Zachodnimi wspólnikami zostali brytyjski AirTouch International (dziś Vodafone) i duński TeleDanmark Communications.

Polska Telefonia Cyfrowa miała barwniejszą historię, bo była budowana wokół Elektrimu, wówczas jednej z czołowych polskich spółek giełdowych. Ówczesnego prezesa Elektrimu Andrzeja Skowrońskiego do udziału w przetargu na sieć GSM miał namówić Jan Kulczyk, rozwijający skrzydła młody biznesmen, znany z rozmaitych przedsięwzięć prywatyzacyjnych, a także z handlu samochodami Volkswagena. Jednak prawdziwym inspiratorem był Jacek Szymoński, Polak z brytyjskim paszportem, który stworzył w Polsce system przywoławczy Polpager. Pagery to były protokomórki, mobilne urządzenia, dzięki którym można było otrzymywać (ale nie wysyłać) powiadomienia o tym, że ktoś czeka, by do niego zadzwonić.

Szymoński zdawał sobie sprawę z rewolucyjnego charakteru systemu GSM, Kulczyk miał zaś dobre kontakty w Elektrimie, a Elektrim pieniądze. I tak zaczęło się budowanie konsorcjum. Aby uskładać polską większość, dołączyły z niewielkimi udziałami BRE Bank, Kulczyk Holding, Elektrim Autoinvest, Warta oraz Polpager. Technologiczny wkład dały US West (amerykańska spółka powstała w wyniku przymusowego podziału AT&T) i niemiecki DeTeMobil, czyli spółka córka Deutsche Telekom (dziś T-Mobile). Polkomtel i PTC zobowiązały się w ciągu pięciu lat spłacać państwu koszt licencji: 676 mln dol. Trzeci uczestnik przetargu, spółka C-line (polski Ciech i włoski operator STET), odpadł.

Wojna w kanałach

Do przetargu nie mógł przystąpić PTK Centertel, bo jego dominującym akcjonariuszem była Telekomunikacja Polska, wówczas państwowy monopolista telefonii przewodowej, a Ministerstwo Łączności nie chciało dopuścić do przekształcenia TP SA w supermonopol. Dziś, w czasach rządów państwowych monopoli, takie zastrzeżenia brzmią wzruszająco naiwnie, ale dzięki dokonanej wówczas liberalizacji i prywatyzacji mamy najbardziej konkurencyjny rynek telekomunikacyjny w UE. – *Jesteśmy jednym z nielicznych krajów w UE, który ma aż czterech operatorów sieci GSM działających na własnej infrastrukturze sieciowej. To się przekłada na większą konkurencję, na której korzystają klienci* – wyjaśnia Bogusław Kułakowski.

PTK Centertel z dwuletnim opóźnieniem dołączył do dwójki operatorów, tworząc własną sieć cyfrową Idea, ale i utrzymując jeszcze długo analogową. W 2005 r. wszedł do gry ostatni realny uczestnik rynku, spółka P4 z siecią Play. Wszystkie kolejne sieci komórkowe, jakie się potem pojawiały, były już wirtualne, czyli działały pod własną marką, ale

eprasa.pl 6e74b318b5

z wykorzystaniem infrastruktury wielkiej czwórki. Zresztą główni gracze też zaczęli mnożyć własne marki. Największą karierę zrobiła prepaidowa Heyah, stworzona przez Erę w 2004 r.

Konkurencja była więc ostra i nie zawsze fair. Szczególnym wyzwaniem okazała się TP SA, która utrudniała życie operatorom jak mogła. – *Największy problem mieliśmy z kanalizacją kablową w miastach, czyli z podziemną infrastrukturą, w której ułożone były kable miedziane, a potem światłowodowe. TP SA miała je pod kontrolą i broniła jak niepodległości. Dopiero regulator zmusił ją, by współdzieliła tę infrastrukturę lub wpuściła nas do kanałów i umożliwiła ułożenie własnych kabli* – wspomina Bogusław Kułakowski. Bo telekomunikacyjna sieć bezprzewodowa tak naprawdę opiera się na przewodach. Nasza komórkowa rozmowa nie frunie drogą powietrzną aż do odbiorcy, ale dociera do najbliższej anteny BTS, a stąd dalej po kablu wędruje do stacji komórkowej, gdzie jest odbiorca. Tam zaś znów zamienia się w sygnał radiowy i dociera bezprzewodowo do jego komórki.

Stawianie anten sieci komórkowych to była kosztowna i trudna operacja. Bo choć Polacy niemal natychmiast pokochali telefony, które mogli nosić w kieszeni, to do pojawiających się w ich otoczeniu anten podchodzili nieufnie, a czasem wrogo. Panowały rozmaite obawy, zwłaszcza na wsi, że krowy przestaną dawać mleko, a kury się nieść. – *Ustawienie masztu i stacji BTS to był koszt nawet 100 tys. euro. Większym problemem była jednak lokalizacja i czas uzyskania zezwoleń. Szukaliśmy wysokich budynków lub innych konstrukcji, na których można było zainstalować anteny. Kiedyś jadąc z Warszawy do Krakowa, zwróciłem uwagę na wiejskie kościoły z wysokimi dzwonnicami, stojące przeważnie na wzniesieniach. Poprosiliśmy więc episkopat, a ten zgodził się na montaż anten na kościelnych dzwonnicach. Parafia dostawała dochód z dzierżawy, a my dobrą lokalizację i wsparcie proboszcza, który wiedział, jak przekonać parafian, że nic im nie grozi* – opowiada Bogusław Kułakowski.

Złote jaja

Inwestycja w GSM okazała się strzałem w dziesiątkę. To była kura znosząca złote jaja, choć nie wszyscy mieli cierpliwość, by się tą kurą właściwie opiekować. Część inwestorów szybko się wykruszyła, niektóre zmiany własnościowe były burzliwe, jak w Erze, gdy wyszło na jaw, że Jan Kulczyk miał opcje na akcje operatora, które mógł odkupić za cenę wyjściową, choć po kilku latach ich wartość znacznie wzrosła. Elektrim słono za ten błąd zapłacił, a pieniądze Kulczykowi się przydały, bo akurat aranżował wspólnie z France Télécom zakup od państwa TP SA.

Za sprawą Kulczyka Skowroński stracił posadę prezesa, a na jego miejsce przyszła Barbara Lundberg. Amerykanka, prowadząc szaleńczą politykę inwestycyjną, szybko doprowadziła Elektrim do bankructwa. To, że nie upadł, zawdzięczał właśnie posiadaniu pakietu kontrolnego Ery. Wierzyciele spierali się ze sobą przed sądami i w arbitrażach, licząc na przejęcie kontroli nad Erą. Po latach, gdy sprawa wyglądała na nierozwiązywalną, do akcji wkroczył Zygmunt Solorz. Przejął kontrolę nad Elektrimem i doprowadził do zakończenia sporu. Era ostatecznie trafiła w ręce Deutsche Telekom i szybko zmieniła markę na T-Mobile.

Solorz, który od dawna siedział w biznesie telekomunikacyjnym, miał m.in. Polsat Cyfrowy i spółkę Sferia, zapragnął mieć także sieć komórkową. Kupił więc od państwowych spółek Polkomtel i sieć Plus za astronomiczną cenę 18 mld zł. Ostatnio trafiła w ręce jego dzieci. W tym czasie France Télécom przejął ostatecznie TP SA i tak polska Idea zamieniła się we francuski Orange. A Play, który dołączył do peletonu jako ostatni, został wykupiony przez firmę Iliad należącą do Xaviera Niela, zwanego francuskim Elonem Muskiem, i dziś jest rynkowym liderem. Tak ostatecznie ukształtowała się wielka komórkowa czwórka, której przychody w 2024 r. wyniosły łącznie 16,5 mld zł.

Technologiczny wyścig GSM nie ma końca. Dziś inwestycje operatorów koncentrują się wokół technologii 5G, więc trwa budowa stacji na częstotliwościach 3,4–3,8 GHz. Sieć 5G zapewnia jeszcze większą szybkość transmisji, co doceniają ci, którzy na smartfonach i tabletach lubią grać albo oglądać filmy. Jednak głównym adresatem jest dziś przemysł potrzebujący bezprzewodowej łączności do procesów produkcyjnych, internetu rzeczy, autonomicznego transportu, inteligentnych miast. A już trwają prace nad systemem 6G, który ma zapewnić prędkość kosmiczną, nawet 1 terabita na sekundę. Przy takim przesyle cały sezon serialu z Netflixa można ściągnąć na smartfona w cztery sekundy. Wprowadzenie spodziewane jest w 2030 r. Tylko kto nas wówczas z fonoholizmu wyleczy?

ADAM GRZESZAK

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6e74b318b5

Jedna wojna za drugą

Dlaczego świat wkroczył w erę wojen ekonomicznych i co okaże się bronią przyszłości w wyścigu o gospodarczą dominację – opowiada Edward Fishman, były pracownik Departamentu Skarbu USA, autor książki „Punkty krytyczne".

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Jeszcze niedawno uważano, że „sankcje nie działają". Tymczasem dziś każdego dnia słyszymy o nowych amerykańskich sankcjach: na Iran, Wenezuelę, Rosję. Jak doszło do tej zmiany?**

EDWARD FISHMAN: – Zmienił się cały ekosystem. Zwróćmy uwagę, że przez niemal całą historię ludzkości, by zadać przeciwnikowi ekonomiczny cios, trzeba było użyć siły militarnej. To się zmieniło. Gdy państwa byłego bloku wschodniego, a później także Chiny, na dobre włączyły się do globalnej gospodarki opartej na dolarze, współzależności stały się na tyle mocne, że mogły zostać wykorzystane jako broń. Tak narodziły się „punkty krytyczne" (ang. *chokepoints*) – strategiczne węzły

eprasa.pl 6e74b318b5

światowe, nad którymi kontrolę sprawują Stany Zjednoczone, wykorzystując je, by nadzorować i karać swoich rywali. Do niedawna były to punkty na mapie, wąskie gardła handlu międzynarodowego, jak Kanał Sueski, cieśnina Ormuz czy Bosfor. Jednak w czasach zglobalizowanej gospodarki punktami krytycznymi stały się sieci bankowe, systemy międzynarodowych płatności, a ostatnio w coraz większym stopniu cyfrowe technologie.

W jaki sposób dolar lub systemy płatnicze mogą stać się bronią?

Dolar to fundament globalnej ekonomii. Około 60 proc. rezerw banków centralnych jest w dolarach, a to tylko wierzchołek góry lodowej. Ponad trzy czwarte kapitalizacji światowych rynków akcji i obligacji to dolary. Jeśli firma chce pożyczyć pieniądze na rynkach zagranicznych, zazwyczaj robi to w dolarach. Co jednak najważniejsze, przygniatająca większość wszystkich transakcji walutowych na świecie odbywa się w dolarach. Mówimy o rynku wartym 7 bln dol. dziennie. A skoro niemal każdy ruch pieniądza przez granice w taki czy inny sposób ociera się o system dolarowy, to rząd USA ma władzę nad dowolnym koncernem, bankiem czy instytucją finansową na świecie. Jeśli Waszyngton chce ukarać finansowo jakiś sektor irańskiej czy rosyjskiej gospodarki, grozi jej odcięciem od dolara, co równa się wykluczeniu z globalnego krwiobiegu finansowego.

Nie można tego obejść?

Można. Wiele krajów próbuje, np. Rosja, która po nałożeniu sankcji starała się rozliczać za surowce w barterze, ale jest to ogromnie nieefektywne. Moskwa i Pekin próbują też podkopać pozycję dolara, tworząc alternatywne systemy płatności, które prowadziłyby międzynarodowe rozliczenia bez polegania na amerykańskiej izbie rozliczeniowej CHIPS czy systemie SWIFT. Doświadczenie pokazuje, że Rosja i Chiny mają jednak trudności z przekonaniem swoich partnerów do korzystania z takiego systemu. Brakuje zaufania. Nawet gdyby im się udało, problem jest ten sam – możliwość odcięcia dostępu do dolara, którego nie ma czym zastąpić.

Załóżmy, że prezydent USA decyduje o odcięciu rosyjskiego banku albo irańskiej rafinerii od dolara. Jak to się odbywa?

Na pierwszy plan wysuwają się wtedy stosunkowo mało znane biura wewnątrz Departamentu Skarbu. Przede wszystkim Wydział Terroryzmu i Wywiadu Finansowego (TFI) oraz Biuro Kontroli Aktywów Zagranicznych (OFAC). Nie pracują tam generałowie ani politycy, lecz biurokraci, urzędnicy służby cywilnej, często apolityczni eksperci mający ogromną wiedzę o architekturze całego systemu finansowego. Kiedy w 2014 r., po pierwszej inwazji Rosji na Ukrainę, pracowałem w Departamencie Stanu, widziałem z bliska, jak bardzo ich wiedza jest cenna. Podczas narad w centrum operacyjnym w Białym Domu, gdy rozmowa dotyczyła dozbrojenia Ukraińców albo ogólnej strategii, każdy miał wyrobione zdanie. Gdy jednak przechodziliśmy do tematu odcięcia Rosnieftu od systemu finansowego, jego powiązań z amerykańskimi bankami i tego, jakie byłyby skutki, zapadała cisza. Wtedy się przekonałem, że rozumienie tych mechanizmów jest niezbędne w dobie rywalizacji mocarstw, w jaką wkroczyliśmy w XXI w.

Czyli ludzie z TFI czy OFAC to odpowiednik żołnierzy na froncie wojny ekonomicznej.

Można tak powiedzieć, tyle że ich polem bitwy są systemy bankowe. Ich zadaniem jest analizować powiązania kapitałowe, wyznaczyć cele i dostarczyć prezydentowi opcji do działania. Kariera tych biur zaczęła się w dobie wojny z terroryzmem. Ich zadaniem było znaleźć i ograniczyć źródła finansowania siatek terrorystycznych. Potem była Korea Północna. W tym przypadku urzędnicy z TFI nałożyli sankcje na banki, dzięki którym reżim prowadził swoje nielegalne operacje finansowe. Następne były sankcje nałożone na Iran, które odcięły Teheran od dochodów z ropy i szybko wpędziły ten kraj w ekonomiczną recesję.

Edward Fishman – były pracownik amerykańskiego Departamentu Stanu oraz Departamentu Skarbu. Członek zespołu, który przygotowywał sankcje nałożone na Iran, a później na Rosję. Jego książka „Punkty krytyczne. Amerykańskie strategie w czasie wojen handlowych" właśnie ukazała się po polsku.

Przypadek Iranu jest ciekawy, bo tutaj negocjacje toczyły się z międzynarodowymi partnerami handlowymi Teheranu, głównie bankami. Zadanie amerykańskich urzędników polegało na uświadomieniu im, że dochody z tego handlu wspierają program atomowy, co naraża bank na ryzyko finansowe w postaci dużej kary pieniężnej albo odcięcia od dolara.

Jak wyglądają takie negocjacje od kuchni?

Z grubsza przypomina to armie prawników, którzy patrzą sobie głęboko w oczy i starają się zachować kamienną twarz. Nikt nie stosuje przymusu, ale groźba wisi w powietrzu. Najczęściej pojawia się przy tzw. sankcjach wtórnych. Chodzi o sytuację, gdy chcemy zniechęcić np. malezyjski bank, przez który przechodzą rozliczenia za rosyjską ropę. Amerykańscy urzędnicy mówią: „Jeden z waszych klientów stara się ominąć sankcje i ukryć, że handluje z Rosją. Tu są odtajnione raporty wywiadu, które to potwierdzają". W takich sytuacjach zakłada się raczej dobrą wolę partnera, ale wszyscy i tak zdawali sobie sprawę, że mogą utracić dostęp do amerykańskiego systemu finansowego, nawet nie trzeba było o tym wspominać. Zazwyczaj to załatwiało sprawę. Trzeba jednak pamiętać, że sankcje to broń obosieczna. Zadaniem urzędników z OFAC czy TFI jest więc analiza tego, w jakim stopniu restrykcje uderzą rykoszetem w amerykańską gospodarkę. Najlepszym przykładem jest ropa. Zawsze towarzyszy tu obawa, że zbyt agresywne uderzenie w eksport z Rosji czy Iranu wywinduje ceny paliw na światowych rynkach, co wpędzi USA w recesję i rozwścieczy amerykańskich wyborców.

Prezydent Donald Trump regularnie straszy cłami – nie tylko amerykańskich rywali, ale ostatnio też coraz częściej sojuszników z Europy. To tylko doraźne działania czy przemyślana strategia?

Działania Trumpa wydają się chaotyczne, ale wpisują się w szerszy trend i mają swoją logikę. Każdy kolejny prezydent USA w XXI w. nakładał sankcje dwa razy częściej niż jego poprzednik. Tym, co go wyróżnia, jest fakt, że preferuje cła nad sankcje. To ryzykowne, bo choć finansowo USA są supermocarstwem, to w handlu jesteśmy dopiero na trzecim miejscu na świecie – za Chinami i Unią Europejską. Po drugie, Trump woli działać jednostronnie, co zawsze niesie ze sobą ryzyko. Po trzecie, i to jest prawdziwa nowość, ▶

© DAPHNE YOUREE/WWW.PENGUINRANDOMHOUSE.COM/EN.WIKIPEDIA.ORG

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ rozszerzył listę o sojuszników: UE, Kanadę, Indie czy Japonię.

Jak ocenia pan efekty sankcji nakładanych na Rosję? Najwidoczniej nie szkodzą rosyjskiej gospodarce na tyle, by nie miała sił wciąż toczyć wojny.

To zależy, jak zdefiniujemy cel. Jeśli było nim odstraszenie Władimira Putina od pełnoskalowej inwazji, to ponieśliśmy klęskę. Straszyliśmy Kreml sankcjami, ale Putin uznał, że nie poświęcimy własnego PKB dla obrony Ukrainy. Najlepszym dowodem jest fakt, że połowę swoich rezerw walutowych pozostawił w zachodnich bankach – gdyby wierzył w nasze groźby, wycofałby je przed wojną.

Putina nie można więc zmusić do zakończenia wojny środkami ekonomicznymi?

Moim zdaniem nie można. To wojna na wyczerpanie, a celem sankcji jest maksymalne osłabienie zdolności Rosji do walki. I w tym sensie przynoszą zamierzony skutek: rosyjska gospodarka gnije od środka, wzrost gospodarczy jest bliski zeru, inflacja rośnie, a ceny ropy na światowych rynkach sprowadzono do niskiego poziomu. Moskwa konsumuje swoje rezerwy, a poważna zapaść jest kwestią czasu. Owszem, mogliśmy działać szybciej, szczególnie w kwestii ropy. Eksport rosyjskich węglowodorów okazał się naszym punktem krytycznym i Putin doskonale o tym wiedział. Jest to jedyny sektor gospodarczy, gdzie Rosja miała przewagę nad Zachodem. Joe Biden długo zwlekał z uderzeniem w rosyjskie surowce z obawy przed inflacją w USA. Gazprombank – kluczowy dla obsługi eksportu energii – został odcięty od dolara dopiero w listopadzie 2024 r. Co ciekawe, w tej kwestii to Europa wykazała się większym zdecydowaniem, odcinając się od rosyjskiego gazu mimo ogromnych kosztów dla własnego przemysłu. USA były zaś w pewnym momencie najsłabszym ogniwem tej koalicji.

Skoro wojny handlowe to nasza nowa rzeczywistość, to gdzie jest granica albo jakie są punkty krytyczne punktów krytycznych?

Ta granica wciąż się przesuwa. Logika wojen ekonomicznych jest nieubłagana. Coraz więcej państw będzie chciało „uzbroić" swoje gospodarki tak, aby amerykańskie sankcje ich nie dotknęły. Jak wspomniałem, w przypadku Rosji idzie to opornie. W odpowiedzi na wyrzucenie ze SWIFT Moskwa stworzyła własny system komunikacji międzybankowej SPFS, ale USA zagroziły sankcjami wszystkim podmiotom, które ten system obsługują. Jest to więc ciągła gra w kotka i myszkę. Stare punkty krytyczne stopniowo tracą ważność, ale w ich miejsce pojawiają się nowe. Następnym polem bitwy są półprzewodniki i metale ziem rzadkich. Kiedy USA odcięły Chiny od najbardziej zaawansowanych procesorów, Pekin wpompował setki miliardów w budowę własnego przemysłu półprzewodnikowego. Chiny uczą się odpowiadać asymetrycznie, więc kiedy Trump nałożył na nie gigantyczne cła, Pekin uderzył w amerykańskie firmy produkujące drony i ograniczył eksport metali ziem rzadkich.

Czy sztuczna inteligencja może stać się kolejnym punktem krytycznym?

To więcej niż pewne. Jeśli nasze firmy będą działać na modelach AI stworzonych przez chiński DeepSeek, Pekin zyska ogromną przewagę. To samo dotyczy energii elektrycznej – jeśli amerykańska gospodarka będzie oparta na chińskich bateriach i minerałach ziem rzadkich, znajdziemy się w kleszczach. Pojawiają się też waluty cyfrowe, jak rosyjski stablecoin A7A5, które mają omijać system dolarowy. W tym wyścigu technologia zawsze wyprzedza regulacje. Jednak w tej chwili realnie zachwiać układem sił na świecie mogłaby tylko detronizacja dolara.

Czy to możliwe?

W najbliższej przyszłości nie, ale rywale USA działają w tym kierunku. Chińskie próby umiędzynarodowienia juana na razie spełzły na niczym. Brak niezależnych instytucji finansowych powoduje, że chińska waluta nie cieszy się zaufaniem rynków finansowych. Na horyzoncie jest cyfrowy juan, znany jako e-CNY, który jest oficjalną walutą wspieraną przez chiński bank centralny. Jednak i ona obciążona jest tymi samymi wadami – to brak transparentności działania i ryzyko związane z zależnością od autorytarnego rządu. Chiny mogą zatem rzucać dolarowi nowe wyzwania, ale nie mogą dorównać jego fundamentalnym zaletom. W rzeczywistości największe zagrożenie dla amerykańskiej supremacji gospodarczej stanowią nie Chiny, lecz nasz własny ustrój polityczny. Jego erozja, koniec niezależności FED, podporządkowanie polityki monetarnej Białemu Domowi byłyby początkiem końca dominacji dolara.

Jaki jest logiczny ciąg dalszy wojen ekonomicznych? Dokąd nas to wszystko zaprowadzi?

Wiele wskazuje na to, że zmierzamy w stronę poważnego geopolitycznego i ekonomicznego rozdrobnienia. Pytanie tylko, jaką formę ono przyjmie. Czy uformują się dwa wielkie bloki – jeden demokratyczny i drugi skupiony wokół Chin? Czy może – i tego obawiam się bardziej – czeka nas scenariusz „każdy sobie". W takim świecie liczyłaby się już tylko brutalna siła. Możemy więc jeszcze zatęsknić za erą wojen ekonomicznych, bo ich alternatywą może być powrót do tradycyjnych konfliktów na wielką skalę.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

eprasa.pl 6e74b318b5

Przeskoczyć noc

© ARNOLD JEROCKI/GETTY IMAGES

Gisèle Pelicot rok po procesie, w którym sądzono jej 51 gwałcicieli, udziela wywiadów, pozuje dla „Vogue'a". A do księgarń trafiła jej autobiograficzna opowieść „Et la joie de vivre" o... radości życia.

KINGA STRZELECKA-PILCH

Przypomnijmy: we wrześniu 2020 r. 68-letni Dominique Pelicot, mąż Gisèle, z zawodu elektryk, nagrywał wideo, kierując telefon komórkowy pod spódnice klientek supermarketu w pobliżu jego domu w Prowansji. Ochroniarz sklepu to zauważył, zabrał mu telefon, a jedna z kobiet zgłosiła sprawę na policję. Gisèle opiekowała się wtedy wnukami w Paryżu.

Pelicot został przesłuchany. Nie wyraził jednak skruchy, nie chciał zeznawać, więc funkcjonariusze zdecydowali się przeszukać jego dom. W komputerze znaleziono pliki z materiałami rejestrującymi gwałty na Gisèle (ponad 20 tys. zdjęć i filmów), także ogłoszenia zachęcające do seksu z nią na jednym z portali oraz korespondencję Dominique'a z innymi mężczyznami na osobnej karcie SIM. Odnaleziono też kilka zdjęć córki pary w erotycznej bieliźnie.

Po powrocie Gisèle do domu, w listopadzie 2020 r., małżeństwo zostało wezwane wspólnie na komisariat. Według zeznań kobiety nie była ona świadoma dokonywanych na niej gwałtów. Jak wspomina, nie lubiła nocy, uważała, że ból głowy i utrata włosów wynikają z jakiejś choroby. Materiał dowodowy w tej sprawie objął niemal 10 lat i 72 mężczyzn.

Wieloletnie przestępstwa miały miejsce w Mazan na południu Francji, dokąd para przeniosła się na emeryturę z przedmieść Paryża w 2013 r. Dom z basenem, prowansalski klimat, mili sąsiedzi i państwo Pelicot – starsze małżeństwo z wieloletnim stażem. Niczym niewyróżniający się, jowialny staruszek Dominique Pelicot okazał się jednak seksualnym maniakiem.

Jak na ironię losu w Mazan znajduje się rodzinny zamek Markiza de Sade'a, noszącego tytuł markiz de Mazan, niedaleko znajduje się też druga posiadłość de Sade'a – Château de Lacoste, w której gospodarz urządzał liczne orgie.

Nie wiadomo dokładnie, co działo się wcześniej. Podobny do tego w supermarkecie incydent miał miejsce przed laty, kiedy mieszkali w Paryżu. W 1991 r. Dominique był też przesłuchiwany w sprawie o gwałt i morderstwo. Zamordowana młoda kobieta została odurzona lekami nasennymi. W związku z procesem Pelicot jej ciało zostało ekshumowane.

Proces rozpoczął się w Awinionie we wrześniu 2024 r. Kilka dni wcześniej orzeczony został rozwód państwa Pelicot – już drugi. Para była małżeństwem dwukrotnie – pierwszy raz w latach 1973–2001, drugi od 2007 r. Dominique przyznał się ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ do winy, ale nie tłumaczył się. Linią obrony było wywołanie empatii wobec oskarżonego poprzez wskazanie jego podwójnej osobowości uformowanej przez seksualne traumy, których Pelicot doświadczył w dzieciństwie.

Przed sądem stanęło również 51 mężczyzn oskarżonych o gwałt, których obrońcy jednogłośnie obarczali winą Dominique'a. Twierdzili, że do gwałtu nie doszło, ponieważ mąż Gisèle zapewniał ich, że kobieta wyraża na to zgodę. Wielu z nich zeznawało też, że nie mieli świadomości, iż biorą udział w przestępstwie, ponieważ byli pewni, że kobieta jest przytomna. Sama Gisèle zeznawała przed sądem tylko cztery minuty, obszerniej mówiła przed procesem.

Wyrok zapadł już po czterech miesiącach, w grudniu 2024 r. Dominique Pelicot został skazany na 20 lat więzienia. Kolejnym skazanym był Romain V., który otrzymał karę 15 lat więzienia za kilkukrotny gwałt z pozytywnym testem na obecność wirusa HIV, Charly A., Jérôme V. i Dominique D. – 13 lat za sześciokrotny gwałt. Pozostałe wyroki były dużo niższe.

Po wyrokach pojawiło się wiele pytań, na które proces nie odpowiedział. Lek nasenny, który Dominique miał podawać Gisèle, jest przepisywany na receptę. W wiadomościach zabezpieczonych przez policję sprawca zwierza się, że aby doprowadzić żonę do utraty świadomości i kontroli, podawał jej 10 tabletek naraz. Skruszał je do jedzenia.

Jak to możliwe – pytało wielu komentatorów – że przez dekadę kobieta nie wyczuła typowego dla tej substancji gorzkiego smaku? Jak Dominique pozyskiwał przez lata takie ilości leków nasennych? W jaki sposób osoba w podeszłym wieku tak precyzyjnie zacierała ślady? Jak ukrywał przed nią hurtowe ilości tabletek, sprzęt do nagrywania, pliki w komputerze? Dlaczego badania lekarskie przez lata nie wykazały problemu – toksyczna substancja jest możliwa do wykrycia w takiej dawce trzy doby od zażycia. Jak jej organizm przeżył wieloletnie zatrucie. Czy nie zaalarmowały jej ślady na pościeli, ciele – siniaki i otarcia?

Teraz, po ponad roku od procesu, Pelicot wydała książkę. Jak przekonuje, jej celem jest walka ze stereotypowym wizerunkiem ofiary i powtórną wiktymizacją. Wstyd musi zmienić strony. „Czułam ten wstyd, paraliżował mnie, nie pozwalał mi iść dalej. A to nie ofiary powinny się wstydzić. To sprawca, gwałciciel powinien odczuwać wstyd i spuścić głowę. Chcę skierować do ofiar przesłanie, nie wstydźcie się pójść na komisariat. Mimo wszystko – życie jest piękne i warte przeżycia".

Książka jest jednak bardziej złożona niż to moralizatorskie przesłanie. „Et la joie de vivre" gra z czytelnikiem w niespełnianie oczekiwań z nią związanych. Pierwszą grę podejmuje okładka. Jasna i lekka, jakby niedopasowana do treści. Zerka z niej pogodnie sama Pelicot – ubrana w błękitną, nonszalancko rozpiętą koszulę. Starannie ułożone włosy, lekki makijaż, delikatna biżuteria dodają jej francuskiej elegancji. Pewnością siebie, drobną posturą, stylem, fryzurą i wiekiem przypomina Brigitte Macron.

Książki ofiar przemocy seksualnej posiadały do tej pory przeważnie podobne do siebie okładki. Kobiety nieczęsto decydowały się na ujawnienie swojej tożsamości, a jeśli już, to wyraz twarzy bohaterek był pełen powagi, odwagi, cierpienia, zdradzał przeżytą traumę – jak na przetłumaczonej na 30 języków autobiografii przetrzymywanej przez lata w piwnicy Austriaczki Nataschy Kampusch „3096 dni".

Zaraz potem nieoczekiwany tytuł – „Et la joie de vivre", dosłownie: „I radość życia". Wydawca nazwał go kluczem do zrozumienia

historii. A po otwarciu dziwi pierwszy akapit. „Stół do śniadania nakrywam zawsze dzień wcześniej. Rozkładam filiżanki, talerze, sztućce, serwetki, potem miód i słoiczki konfitury. Jakbym chciała przeskoczyć noc, której się boję, i zbudować harmonię kolejnego dnia. Zostanie tylko wyjęcie masła, włączenie czajnika, zapach kawy i podpiekanego chleba zacznie unosić się po domu. Wszystko będzie dobrze".

Książka nie została opublikowana przez tabloidowe wydawnictwo szukające taniej sensacji, a przez poważany francuski dom wydawniczy Flammarion z tradycjami sięgającymi XIX w., do którego stajni należy m.in. Michel Houellebecq.

I choć książkę Pelicot znajdziemy w dziale non-fiction, to z fikcji literackiej czerpie ona swój język. Narracja daleka jest bowiem od spowiedzi ofiary. A język jest wysmakowany nieprzypadkowo: ghostwriterką Pelicot była wytrawna francuska pisarka i dziennikarka Judith Perrignon. Jest autorką kilkunastu książek, spośród nich najbardziej doceniona jest ta poświęcona relacji Vincenta van Gogha ze swoim bratem Théo. Perrignon znana jest ze swojej empatii oraz tworzenia pogłębionych portretów psychologicznych postaci.

Szefowa wydawnictwa Flammarion określa książkę „wielką opowieścią non-fiction" – co biorąc pod uwagę klasyczne definicje gatunkowe, brzmi jak antyteza. Francuska tradycja pierwszoosobowych, autofikcyjnych i autobiograficznych – w Polsce powiedzielibyśmy: ekshibicjonistycznych – narracji jest wielowiekowa. Stąd napięcia pomiędzy rzeczywistością i światem przedstawionym nie budzą tam tylu kontrowersji. Francuzów nie szokowała noblistka Annie Ernaux pisząca jako 80-latka miniaturową opowieść o romansie dojrzałej kobiety, której historia przypomina życie pisarki („Młody mężczyzna"). Francuskie pisanie o sobie – fiction i non-fiction – nie jest (jak wciąż bywa postrzegane w Polsce) niczym złym i nie musi walczyć o swój byt jako gatunek.

We Francji rewolucja obyczajowa 1968 r. i tradycja libertyńska opóźniły akceptację dla ruchu #MeToo skierowanego przeciwko różnym formom przemocy seksualnej. Sprawy Pelicot i oskarżanego o molestowanie wielu kobiet Gérarda Depardieu bez wątpienia zmniejszyły ten dystans, jednak nie możemy mówić

eprasa.pl 6e74b318b5

Mural we francuskim Gentilly: „Niech wstydzą się sprawcy”. U góry: **jasna i optymistyczna okładka książki Pelicot.**

o przełomie: sprawy te nie wywołały lawiny kolejnych publicznych oskarżeń. We Francji w związku ze sprawą Epsteina mówi się głównie o przestępstwach fiskalnych.

W warstwie językowej i kulturowej Francja jest nadal znacznie mniej pruderyjna niż Polska, a aktywność seksualna seniorów nie dziwi. Tu dochodzimy do kolejnego stereotypu, z którym rozprawia się autorka – niewidzialnej starszej kobiety. Pelicot jako 73-latka została medialnym symbolem ofiar gwałtów. Odważnie opowiada o swoim życiu seksualnym, które było i jest dla niej istotne – dobiegając 70 lat, uprawiała seks kilka razy w miesiącu. „Rozmawialiśmy o filmowaniu naszych zabaw erotycznych, ale nie zaniepokoiło mnie to. Niektóre pary tak dodają pikanterii swojemu życiu seksualnemu”.

Jej opowieść nie jest jednoznacznie czarno-biała. Gisèle nie ukrywa, że w przeszłości miała romans, a swojego byłego męża wspomina paradoksalnie dobrze – „koleżanki pytały mnie, czy nie ma brata? Gotował, majsterkował, zajmował się domem – miał wiele zalet”. Swoje małżeństwo nazywa ogólnie „udanym”, spędzili ze sobą 50 lat. „Przez 40 lat byłam żoną dobrego mężczyzny” – podsumowuje, pomijając ostatnią dekadę.

Odwaga tej opowieści i dystans, jaki autorka ma do swojego życia, ocierają się chwilami o syndrom sztokholmski, a chwilami peszą. „Rano moja piżama była przemoczona. Nie rozumiałam tego. Myślałam, że moje starzejące się ciało ma problemy z trzymaniem moczu” – pisze wprost w książce.

Trudno zrozumieć, jak kobieta w tak trudnej sytuacji, tak świeżo po głośnym procesie, może zdobyć siły na tego rodzaju wyznania i pisać o radości życia. A jednak deklaruje szczęście i stan zakochania u boku nowego partnera Jean-Loupa.

Relacje ofiar przestępstw seksualnych są zwykle zanurzone w świecie emocji. Pelicot nie tyle odcina się od traum – choć w jej wywiadach telewizyjnych nie zobaczymy łez – ile psychologizuje, próbuje rozumieć oprawcę, połączyć rozproszone fakty w jedną opowieść o swoim życiu. Książka napisana jest przez osobę, która rozumie, co się wydarzyło – jakby przeszła wieloletni proces terapeutyczny. Lub jakby ghostwriterka nadała tej opowieści fabularną konstrukcję.

Autorka od procesu nie widziała byłego męża, a książka staje się dla niej formą komunikacji zastępczej. Zadaje mu pytania, jakby była na widzeniu, rysuje jego portret psychologiczny. Nie potępia go jednoznacznie, wspomina trudne dzieciństwo Dominique'a i nadużycia seksualne, których sam doświadczył, początek ich nastoletniego związku. Szuka odpowiedzi na pytanie, czy Pelicot może być mordercą. Opisuje też proces i swoją rodzinę.

Wcześniej zrobiła to już Caroline Peyronnet (ur. 1979 r.), córka Dominique'a i Gisèle, której zdjęcia znalazły się na dysku komputera zabezpieczonego przez policję. Założyła organizację #MendorsPas (Nie zasypiam), która działa na rzecz ofiar odurzanych w celu dokonania gwałtu. W ubiegłym roku pod pseudonimem wydała książkę „I już nigdy nie nazwę cię tatą. Dziennik córki Gisèle Pelicot”. Nie osiągnęła ona jednak takiego rozgłosu, jaki już ma książka jej matki.

Córka zerwała kontakt z matką i oskarżała ją o brak wsparcia i reakcji na jej krzywdę. Dopiero kilka tygodni temu kobiety znów zaczęły ze sobą rozmawiać. „Historia naszej rodziny to prawdziwy kataklizm. Być dzieckiem ofiary i jednocześnie dzieckiem oprawcy to potworne brzemię” – konstatuje. Wielu komentatorów dziwi się, że Gisèle Pelicot, działająca na rzecz ofiar przestępstw seksualnych, zdystansowała się od krzywdy swojej córki.

Pierwszy nakład „Et la joie de vivre” liczy 150 tys. egzemplarzy i już w tygodniu premiery znalazł się we Francji na pierwszym miejscu listy bestsellerów. Książka została przetłumaczona na 22 języki, ukazała się równocześnie w kilku krajach. Mówi się o planach jej ekranizacji.

Francuskie media przyjęły książkę pozytywnie. Lewicowy dziennik „Libération” pisze o niezwykłej medialności Pelicot. Z podziwem autorkę traktuje katolicki „La Croix”. „Le Parisien” nazywa książkę jedną z najważniejszych w roku. „Le Monde” docenia wyjście poza schemat: „Pelicot opowiada bez brawury i rozpaczania, nie prosi ani o współczucie, ani o podziw”.

„L'Obs” w tygodniu premiery umieścił na okładce zdjęcie Pelicot, a wywiad z nią przeprowadziła filozofka Manon Garcia, autorka wydanej w języku polskim w ubiegłym roku książki „Żyć z mężczyznami. Refleksje wokół sprawy Gisèle Pelicot”. Głównym tematem numeru stał się feminizm nabyty: „Nie rodzimy się feministkami, stajemy się nimi z wyboru”. W rozmowie pojawia się wielokrotnie motyw wsparcia, jakiego Gisèle udzieliły kobiety. Jedną z admiratorek Pelicot jest królowa Wielkiej Brytanii Kamila, która otrzymała od autorki książkę z dedykacją podczas oficjalnej audiencji.

Pelicot znalazła się też na okładce francuskiego „Elle” z przesłaniem „powstaję z popiołów”, a jej dużemu wywiadowi w modowym piśmie „Vogue” towarzyszy typowa sesja zdjęciowa z opisem wybranych przez stylistkę ubrań – co może dziwić, biorąc pod uwagę temat rozmowy.

Na uwagę zasługuje fakt, że sprawa rodziny Pelicot stała się nie tylko publiczna, ale też kulturotwórcza. Wokół niej powstaje wiele książek. Servane Dècle, Milo Rau przenieśli proces na deski teatru i napisali eksperymentalny „Proces Pelicot. Oratorium w 40 fragmentach”. Francuska premiera tej książki zapowiadana jest na 4 marca, ale kilka miesięcy temu w Wiedniu, Awinionie i Warszawie odbyło się czytanie performatywne jej fragmentów – „publiczność może poczuć się jak na sali sądowej”.

Wyrok zapadł, ale sprawa Pelicot trwa.

KINGA STRZELECKA-PILCH

© FREDERIC REGLAIN/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, MP

eprasa.pl 6e74b318b5

Co Grok, to prorok

Dlaczego Europa, choć nie musi, kapituluje przed amerykańskimi big techami i czym to nam grozi – wyjaśnia Marietje Schaake, badaczka cyberbezpieczeństwa i była europosłanka.

MATEUSZ MAZZINI: **– Prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę wdrażającą w Polsce unijny Akt o usługach cyfrowych (DSA). Naszemu krajowi grożą z tego tytułu kary finansowe. Zapłacimy też politycznie?**

MARIETJE SCHAAKE: – Za takie decyzje płacą zawsze obywatele. Spójrzmy na Elona Muska – jego celem jest nie tylko zniszczenie Unii Europejskiej. Jest gotów wykorzystać własne platformy internetowe i kontrolowane przez siebie algorytmy do wpływania na wyniki wyborów. A nikt nie powinien zgadzać się na obcą ingerencję we własny proces wyborczy. Dzisiaj wszyscy jesteśmy uzależnieni od tych platform i to sprawia, że nasze społeczeństwa są narażone na tego typu ingerencję. Dlatego Polacy powinni zrozumieć, że takie regulacje jak DSA są tworzone po to, żeby ich chronić, m.in. przed atakami na ich własny proces wyborczy.

Taki był cel autorów Aktu?

Tak, choć akurat Komisja Europejska mogłaby być bardziej ambitna. Jednak Ursula von der Leyen patrzy na to inaczej – wszystkie decyzje Unii rozpatruje w szerszym kontekście relacji transatlantyckich, próbuje unikać konfrontacji. Dlatego nie wystarczy przyjąć nowego prawa – trzeba mieć jeszcze wolę, aby z niego korzystać.

W polskim przypadku raczej jej brak.

Wszystko rozbija się o kwestie polityczne. Czy UE chce zachować zdolność legislacyjną, czy jest skazana na tworzenie aktów prawnych, które pozostają martwe w praktyce? Sytuacja, w której polski prezydent wetuje wprowadzenie unijnego aktu we własnym kraju, działa po prostu na szkodę wspólnoty, bo osłabia jej moc sprawczą.

Skąd ten brak woli politycznej? Nie można chyba za wszystko obwiniać Trumpa? Tym bardziej że takie regulacje łatwo zaprezentować jako ochronę obywateli w sieci.

Tak, ale jest też inny aspekt tej historii. Zgodnie z raportem Mario Draghiego o słabej konkurencyjności unijnych gospodarek jednym z rozwiązań ma być deregulacja, czyli poluzowanie niektórych zasad działalności firm. A przecież jeszcze niedawno silne regulacje były symbolem naszego modelu uprawiania polityki, odróżniały nas od Stanów Zjednoczonych czy Chin. Tymczasem w Brukseli nową normalnością stają się deregulacyjne omnibusy, czyli gigaustawy albo pakiety ustaw reformujące kilka obszarów jednocześnie.

Dam przykład. Komisja Europejska wprowadza teraz omnibusy w sektorze technologicznym, do pewnego stopnia także w ochronie danych osobowych, mówiąc, że nikt nie chce niepotrzebnych napięć (w domyśle: z USA). Chodzi o złagodzenie regulacji, które rzekomo krzywdzą nasze małe i średnie przedsiębiorstwa. Nie mam nic przeciw usuwaniu barier dla biznesu tam, gdzie rzeczywiście istnieją. Tyle tylko, że obecna fala omnibusów pojawia się w chwili, kiedy Unia znajduje się pod gigantyczną presją ze strony koncernów technologicznych próbujących doprowadzić do osłabienia DSA.

A w DSA są zapisy o transparentności działalności big techów. Nie tylko Unia ma z tym problem, wiele państw jest pod presją Donalda Trumpa i jego sojuszników z Doliny Krzemowej. Dlatego pojawia się

eprasa.pl 6e74b318b5

Akt o usługach cyfrowych

Ang. *Digital Services Act* (DSA) – rozporządzenie unijne, które ogranicza i wyznacza zasady moderacji nielegalnych treści, transparentnej reklamy i dezinformacji. Akt wszedł w życie 16 listopada 2022 r., jednak początkowo objął działalność tylko bardzo dużych platform i wyszukiwarek internetowych. Nie działa m.in. na terytorium Polski.

argument, że lepiej nie drażnić prezydenta USA. A potem sami to sobie racjonalizujemy, myląc zewnętrzną presję z własną rzekomą niekompetencją i przekonując siebie samych, że deregulację przeprowadzić powinniśmy byli już dawno.

Jaki jest więc problem z raportem Draghiego?

Draghi kazał nam myśleć o konkurencyjności, więc rzuciliśmy się na deregulację, ale nie możemy ignorować politycznej rzeczywistości. Cały dorobek prawny Unii znajduje się teraz pod ostrzałem, więc przepychanie omnibusów akurat dziś grozi wysłaniem w świat fałszywego sygnału. Nie mówiąc o tym, że dyskusja o deregulacji jedynie odciąga naszą uwagę od sedna sprawy – od tego, że w erze cyfrowej potrzebujemy cyfrowej suwerenności Europy, przez co rozumiem nie tylko regulacje, lecz także usuwanie barier na wspólnym rynku, ogólnounijne inwestycje i tworzenie własnej infrastruktury cyfrowej.

Ta suwerenność ma też wymiar społeczny. Bo czym innym jest poparcie Muska dla AfD, a czym innym to, że jego bot GrokAI pozwala mu zarabiać na treściach, które są praktycznie pornografią, czasem z udziałem nieletnich. Tu już naprawdę nie powinniśmy mieć wątpliwości, co robić.

Rozbieranie ludzi, głównie młodych kobiet, za pomocą Groka to oczywiście skandal. Ale przecież nie pierwszy. Każda platforma społecznościowa ma tu coś na sumieniu. Ich właściciele nigdy nie dbali o zdrowie psychiczne młodych. Wiedzieli, że algorytmy uzależniają, i wszystkie te kwestie ignorowali. Wciąż jest w internecie pełno ludzi, którzy namawiają dzieci do samookaleczeń, dystrybuują treści pedofilskie. A teraz Grok daje im do tego dodatkowe narzędzia, wręcz ich zachęca.

Pandemia nie powstrzymała tego procesu?

Na chwilę. Wcześniej cały internet był libertariański, dominowało przekonanie, że musimy za wszelką cenę uniknąć cenzury. Jednak w czasie pandemii w grze było ludzkie życie. Kłamstwa na temat wirusa mogły doprowadzić do czyjejś śmierci, zagrozić zdrowiu publicznemu. Właściciele platform byli pod presją publiczną i nieco zmienili zasady. Podobne znaczenie miał atak na Kapitol z 6 stycznia 2021 r. On też pokazał, że dezinformacja nie jest zjawiskiem wyłącznie internetowym, bo może mieć poważne skutki w prawdziwym, analogowym świecie.

Dziś te same platformy kolportują kłamstwa na temat zabójstw amerykańskich obywateli przez agentów ICE w Minneapolis. Co się zmieniło?

Wrócił Trump. Amerykańska administracja daje platformom społecznościowym całkowitą dowolność w zarządzaniu treściami. Nie jest więc przypadkiem, że zaczynają w nich dominować wpisy seksistowskie, mizoginistyczne. To wyjaśnia też, dlaczego cała afera wokół Groka rozbierającego kobiety nie wywołała wcale tak wielkiego oburzenia – bo w USA są teraz przywódcy, którzy nie mają z tym problemu. W Europie nie powinniśmy tego tolerować, ale robimy za mało.

Indonezja, Malezja i Filipiny zablokowały Groka. Wcześniej Brazylia nie ugięła się przed szantażem Muska, który nie chciał usunąć z platformy X kont szerzących nienawiść i wyborczą dezinformację. Dlaczego kraje Globalnego Południa nie boją się sprzeciwić Trumpowi i big techom?

Europa wciąż próbuje się przypodobać Trumpowi, choć nic z tego nie wynika. Nadszarpnęliśmy reputację Unii zbudowanej na takich wartościach jak prawa człowieka i wolności jednostki. Premier Kanady Mark Carney miał rację, mówiąc w Davos, że trzeba pojąć rzeczywistość taką, jaka naprawdę jest, nawet jeśli stała się nieprzyjemna.

Tylko czy jesteśmy jeszcze w stanie bronić takiego porządku, jeśli jego podstawą jest suwerenność państw narodowych, a ona coraz bardziej przechodzi w ręce prywatnych firm, zwłaszcza koncernów technologicznych?

To szkodliwy proces, bo demokratycznie wybrani politycy – w odróżnieniu od prezesów wielkich firm – odpowiadają przed całością społeczeństwa. Można go jednak odwrócić. Tym bardziej że jego konsekwencje nie dotyczą tylko sfery gospodarczej, ale też bezpieczeństwa narodowego, zdrowia publicznego, jakości naszej demokracji i życia codziennego. Dlatego uważam, że dyskusje o deregulacji cyfrowej tylko odwracają uwagę od realnego problemu, jakim jest brak cyfrowej suwerenności Europy. Ona powinna być traktowana tak samo jak tradycyjnie rozumiana obronność, na którą wydajemy dzisiaj miliardy bez większego problemu.

Co można z tym zrobić?

Zrezygnujmy z publicznych przetargów – możemy przecież sami decydować o tym, od kogo kupujemy uzbrojenie. Albo nasze inwestycje: europejskie fundusze inwestycyjne i emerytalne na potęgę wkładają pieniądze w amerykańską giełdę. Sami finansujemy tamtejszy boom na infrastrukturę związaną ze sztuczną inteligencją. Naszymi rękami i naszymi pieniędzmi budowany jest reżim, którego gospodarka rośnie i który stosuje imperialną, otwarcie antyeuropejską strategię działania w polityce zagranicznej. A mamy przecież narzędzia, aby to przerwać, ale tego nie robimy. ■

Marietje Schaake (ur. 1978 r.) – holenderska polityczka i badaczka, ekspertka Centrum Polityki Cybernetycznej Uniwersytetu Stanforda oraz Instytutu Sztucznej Inteligencji Zorientowanej na Człowieka. Felietonistka „Financial Timesa". W latach 2009–19 posłanka do Parlamentu Europejskiego. Autorka książki „De tech coup" (Technologiczny zamach stanu).

© MONDADORI/GETTY IMAGES

eprasa.pl 6e74b318b5

Gavin sam w domu

Trump złośliwie przekręca jego nazwisko na „Newscum" – „nowa szumowina". Kogoś takiego jak Gavin Newsom Demokraci nie mieli od czasów Clintona i Obamy.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Po roku rządów w USA „drugiego" Trumpa Europa trwa w minorowych nastrojach. Sugestie prezydenta, że w razie agresji nie może liczyć na odsiecz Ameryki, pogłębiają depresję. Dominuje narracja, że więzi transatlantyckie i cały ład globalny oparty na regułach i sojuszach odchodzą bezpowrotnie w przeszłość. Na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa sekretarz stanu Marco Rubio powiedział przecież, że „stary świat się skończył".

Szef amerykańskiej dyplomacji spotkał się z ripostą. Uczestnicy monachijskiej konferencji, mówił inny jej gość z USA, „widzą w nas kraj-niszczyciela, na którym nie można już polegać, i sądzą, że tak już pozostanie". „Nie jestem o tym przekonany – kontrował (w wywiadzie dla CNN). – Dotychczasowy porządek świata nie jest martwy, tylko uśpiony. Trump jest tymczasowy, za kilka lat odejdzie". Polemistą Rubio był demokratyczny gubernator Kalifornii Gavin Newsom. Ten sam, który wcześniej na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos wzywał europejskich przywódców, by twardo postawili się Trumpowi po jego pogróżkach wobec Grenlandii.

Po przegranych zeszłorocznych wyborach nastroje zadołowały również w Partii Demokratycznej. Lista problemów była długa – spory między centrowym establishmentem a partyjną lewicą, brak strategii i programu (poza straszeniem Trumpem jako grabarzem demokracji) i niedostatek przywódców. To ostatnie jednak przestaje być aktualne, bo w roli lidera postrzegany jest coraz wyraźniej Newsom, najbardziej prawdopodobny kandydat Demokratów do Białego Domu w wyborach w 2028 r.

Do pierwszego starcia gubernatora z prezydentem doszło na wiosnę, kiedy na ulicach Los Angeles agenci służb imigracyjnych ICE rozpoczęli polowanie na nielegalnych imigrantów. Solidaryzujący się z nimi *Angelenos* zaczęli protestować. Twierdząc, że w LA zaczęła się insurekcja, Trump wezwał 2 tys. żołnierzy stanowej Gwardii Narodowej i 700 członków piechoty morskiej, choć gubernator o to nie prosił i nie wyraził zgody. Newsom nazwał prezydenta dyktatorem i przypomniał, że użycie wojska jest nielegalne, bo o antyrządowej rebelii nie ma mowy. Ogłosił też, że agenci ICE muszą zdjąć maski, by można ich było identyfikować, co parlament Kalifornii usankcjonował jako stanowe prawo.

Federalni agenci masek nie zdjęli, aresztowania imigrantów trwają, ale twardą opozycją wobec Trumpa gubernator zyskał sławę w całym kraju. Mężczyzna przystojny, 58-letni, ale wyglądający dużo młodziej, emanujący pasją i energią, znakomity mówca. Spór wokół zamaskowanych ICE-menów uczynił z niego niekwestionowanego lidera peletonu.

Drugie, jeszcze ważniejsze zwycięstwo odniósł Newsom w batalii o zmianę granic okręgów wyborczych w wyborach do Izby Reprezentantów. Walkę tę sprowokował sam prezydent, wzywając rządzących

© SHEILA FITZGERALD/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6e74b318b5

w Teksasie Republikanów do zmiany mapy okręgów. Służy temu od dawna praktykowany w USA przez obie partie *gerrymandering*, czyli manipulowanie ich granicami tak, by zagwarantować wygraną Demokracie (przez zapewnienie w okręgu np. większości Afroamerykanów) albo Republikaninowi (przez skomasowanie w innym okręgu konserwatywnych białych wyborców). Korekt tradycyjnie dokonuje się co dziesięć lat, po spisach powszechnych. Najbliższy spis odbędzie się w 2030 r., ale teksascy Republikanie skwapliwie utworzyli nowe okręgi, w których ich kandydaci mogą być pewni wygranej w tegorocznych połówkowych wyborach do Kongresu. A prezydent zaapelował do Partii Republikańskiej, by inne sprzyjające jej stany poszły śladem Teksasu.

Partia Demokratyczna wahała się, bo ten patologiczny proceder osłabia demokrację, a dokonany bez spisu powszechnego naraża na zarzut nielegalności. Newsom jednak nie miał wątpliwości – jeśli reguły przestały się liczyć, na cios poniżej pasa trzeba odpowiedzieć tak samo. Zarządził plebiscyt w sprawie zmiany mapy wyborczej w Kalifornii, by utworzyć kilka nowych okręgów „niebieskich", czyli demokratycznych. Za poprawką do konstytucji głosowało 64 proc. wyborców. Newsom z powodzeniem przedstawił to jako referendum w sprawie Trumpa.

Wojna rozgorzała w całej Ameryce, bo kilka innych „czerwonych" stanów zaczęło zmieniać swoje mapy i zdawało się, że Republikanie wygrają tę batalię, mając pod kontrolą więcej stanowych legislatur. Jednak Kansas i Indiana nie posłuchały Trumpa i ogólny wynik może być korzystny dla Demokratów. Głównie dzięki Kalifornii, największemu ludnościowo stanowi.

Triumfator referendum Gavin Christopher Newsom urodził się w 1967 r. w San Francisco w zamożnej katolickiej rodzinie o irlandzkich korzeniach. Kiedy miał trzy lata, ojciec, prominentny prawnik, opuścił jego matkę, która pracowała na trzech etatach, by utrzymać syna i córkę. Po studiach na Uniwersytecie Santa Clara, w spółce z przyjacielem miliarderem prowadził sklep z winami, rozbudowując go w konglomerat hotelowo-gastronomiczny. Przed trzydziestką wkroczył na arenę polityki, protegowany przez burmistrza San Francisco Williego Browna. W 2004 r. wygrał wybory na burmistrza San Francisco i w tym samym roku zarządził pierwszą w USA ceremonię homoseksualnego małżeństwa. Kiedy awansował na wicegubernatora Kalifornii, zalegalizował marihuanę. Gubernatorem został w 2018 r. Po potknięciach podczas pandemii covidu omal nie odwołano go w drodze referendum, ale ocalił posadę. W 2022 r. z łatwością wygrał walkę o reelekcję.

Kalifornia jest stanem zdominowanym przez białych liberałów i przywiązane do pomocy państwa mniejszości etniczno-rasowe. Jej gospodarka, kwitnąca dzięki ekspansji sektora high-tech w Dolinie Krzemowej, zajęła ostatnio czwarte miejsce w świecie, wyprzedzając Japonię. Podobnie jednak jak w całej Ameryce zostały tu na lodzie miliony ludzi. Stan od lat boryka się z nadmierną regulacją przemysłu, zniechęcającymi biznes wysokimi podatkami, przestępczością i bezdomnością. Newsom starał się wetować najbardziej skrajne pomysły lewicowej legislatury stanowej. Przeforsował postępowe reformy w dziedzinie ochrony środowiska, zdrowia i praw pracowniczych. Nie udało mu się jednak zbudować tanich mieszkań dla ubogich ani powstrzymać ucieczki zamożnych biznesmenów. Gigantyczne pożary w ostatnich latach dały krytykom pretekst do oskarżeń, że dopuścił do osłabienia stanowej straży pożarnej.

Republikanie od dawna przyprawiają mu gębę lewaka, „przedstawiciela elit z San Francisco", jak poprzednio Kamali Harris. Newsom odżegnuje się od ideologicznych etykietek. „Nie jestem postępowcem, lecz pragmatykiem" – deklaruje w rozmowie z Politico. Systematycznie przesuwa się ku centrum, dystansując się od demokratycznej lewicy. Miasta w Kalifornii wezwał do likwidacji obskurnych obozowisk bezdomnych i nazwał „głęboko niesprawiedliwym" współzawodnictwo kobiet ze sportsmenkami po zmianie płci. A przede wszystkim wyciągnął rękę do wyborców z prawicy, zapraszając do dialogu jej prominentnych przedstawicieli, z którymi integralni progresiści nie chcą mieć nic wspólnego. Na podkaście rozmawiał z Charliem Kirkiem, zastrzelonym później przez zamachowca idolem młodzieży MAGA, i Steve'em Bannonem, wpływowym strategiem America First. Wyrażał wówczas ubolewanie, że Demokraci z elit okazują pogardę dla ludzi pracy.

Do kontaktów z prawicowymi liderami zachęciła Newsoma i pośredniczyła w spotkaniach jego pierwsza żona Kimberly Guilfoyle. Ich zawarte w 2001 r. małżeństwo, z racji urody obojga i blichtru wesela, porównywano do królewskiej pary w stylu JFK i Jacqueline. Po kilku latach się rozpadło, gdyż Kimberly, prawniczka, spędzała coraz więcej czasu w programach telewizyjnych w Nowym Jorku. Chociaż została komentatorką Fox News i narzeczoną Donalda Trumpa jr., z Gavinem utrzymuje stosunki przyjazne. W wywiadzie w Atenach, gdzie Trump mianował ją ambasadorem, wspomniała nawet, że z obecnym gubernatorem spędziła tam „cudowny miodowy miesiąc". Z synem Trumpa zdążyła się już rozstać, Newsom jest znowu żonaty, ale korzysta z politycznych sugestii byłej małżonki.

Z działaczami MAGA Newsom rozmawia w internecie, ich naturalnym środowisku. Z czołowych polityków demokratycznych nikt nie porusza się tam tak swobodnie jak on. Sam został sieciowym influencerem i swoje kampanie, jak w sprawie mapy wyborczej Kalifornii, prowadzi częściej w socialach niż tradycyjnych mediach. W sieci lubuje się w trollowaniu Trumpa, parodiując jego retorykę. Od dawna krytykował Demokratów, że zaniedbali elektroniczne środki komunikacji, oddając pole prawicy. Nie stroni od występów w telewizji, ale rozumie, że tylko przez social media trafi do młodych Amerykanów.

Wszystko to nie oznacza, że nominację na kandydata do Białego Domu Newsom ma jak w banku. Do wyborów prezydenckich daleko, a gubernator świeci trochę blaskiem filmowej gwiazdy. Złośliwi wytykają mu odmładzającą fryzurę. Jego zręczność w zjednywaniu sobie ludzi z przeciwnych obozów karykaturalnie interpretują jako gotowość do dogadzania wszystkim, w czym celował Slick Willie (Gładki Wiluś), czyli Bill Clinton. Sugerują nawet, że to oportunizm. Mentor Newsoma, Willie Brown, zapytany, w co gubernator wierzy, odpowiedział, że go o to nie pytał, bo „bał się, że on sam nie wie".

Fala antysystemowych buntów i prawicowego populizmu wywróciła do góry nogami prawa polityki. Demokraci w USA cenią teraz najbardziej skuteczność swych przywódców, a wszyscy Amerykanie – zdolność do przerzucania mostów ponad dzielącymi kraj podziałami. Gavin Newsom wykazał się takimi zdolnościami. ■

eprasa.pl 6e74b318b5

Bieg przez plotki

Fałszywe informacje żyją długo. Dlaczego tak jest i jak dziś walczą z nimi media, mówią prof. Dariusz Kuźmina i dr hab. Łukasz Szurmiński z Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW.

KATARZYNA CZARNECKA: **– Jakiego wzrostu był Napoleon?**

DARIUSZ KUŹMINA: – Typowa odpowiedź: był niski. **Właśnie. Tymczasem mierzył ok. 168 cm, czyli w owych czasach był wzrostu słusznego. „Mały kapral" to wymysł brytyjskiej propagandy. Maria Antonina nigdy nic nie mówiła o jedzeniu ciastek zamiast chleba – to zdanie napisał Jean-Jacques Rousseau, kiedy przyszła królowa Francji miała dziesięć lat. Dezinformacja od dawna ma się świetnie.**

D.K.: – Tak, można jej szukać już w staroegipskich inskrypcjach sławiących wielkie zwycięstwa, których nie było.

Tego typu treści nie są podatne na demistyfikację.

ŁUKASZ SZURMIŃSKI: – Niestety. Rytualne mordy choćby – oskarżono o nie Żydów w XII w., a legenda przetrwała do XX w. Albo „Protokoły mędrców Syjonu". Wiadomo, że zostały sfabrykowane na zamówienie carskiej ochrany, a jeszcze kilkanaście lat temu można było je kupić pod kościołem na Krakowskim Przedmieściu – i zapewne dalej są w obiegu. Kłamstwa, szczególnie te nośne, są niemal niezniszczalne. Bo ludzie chcą w nie wierzyć.

To chyba niejedyny powód?

Ł.S.: – Oczywiście. Zawsze są jakieś osoby czy instytucje, które takie treści upowszechniają, bo na ogół mają w tym jakiś interes, głównie polityczny. Dosyć oczywistym odruchem jest to, że za swoje niepowodzenia czy niedoskonałości niektórzy próbują obarczać innych. Muszą więc znaleźć kozła ofiarnego. I jeszcze jedno: skoro coś sprawdzało się w średniowieczu czy przed drugą wojną światową, to często sprawdza się i dzisiaj. Identyczną sytuację mamy przecież z postrzeganiem w Polsce Ukraińców. Pojedyncze fejki dotyczące osób, które rzekomo dopuściły się różnych przestępstw, budują i podsycają klimat niechęci.

W powolny, niemal niezauważalny sposób granice są przesuwane. I nieważne, że szybko się okazuje, że napastnikiem czy złodziejem był Polak – pierwotna informacja ma moc, bo była pierwsza (w propagandzie mówi się o efekcie zakotwiczenia), i już żyje własnym życiem. Kluczem jest tu też coś, co określamy mianem plemienności. Część osób ma niechętny stosunek do jakichś wybranych grup i jeśli dany pogląd wpisuje się w ich postrzeganie świata, to się go z uporem trzymają.

D.K.: – Także z powodu stereotypów typu „Światem rządzą Żydzi i masoni", „Ukraińcy zabierają to, co nam się należy".

Czy widać tu różnice pokoleniowe?

D.K.: – Niektórzy nasi studenci mówią, że słyszą takie opinie po raz pierwszy. Inni jednak są doskonale zorientowani.

eprasa.pl 6e74b318b5

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

W 1989 r. z mediów zniknęła nachalna propaganda PRL, w którą zresztą mało kto już wierzył. Czy dzisiejsza, często subtelna dezinformacja jest skuteczniejsza?

Ł.S.: – Punktem wyjścia do rozważań nad łopatologicznością propagandy jest zawsze pytanie, do kogo chcemy dotrzeć. Jacek Kurski w TVP przecież właśnie taką tworzył, bo budował twardy elektorat, umacniał bazę. Czy skutecznie? Tak. Jednocześnie jednak część widzów powiedziała: „Nie będę tego oglądać". Tego typu przekaz dociera do osób mniej wykształconych. Treści dezinformacyjne – które są przecież elementem propagandy – także mogą być bardzo proste. Mogą też jednak działać na zasadzie: „Podrzucamy jakąś opinię, ale ze znakiem zapytania, snujemy jakieś sugestie czy supozycje i liczymy na mechanizm samoodkrycia". A to już działa na lepiej wykształconych.

Kilka lat temu pojawiło się ciekawe badanie. Na pytanie, czy mieli do czynienia z dezinformacją, uczestnicy odpowiadali, że tak. Czy to problem? Tak – mówili. I zaraz dodawali, że nie dla nich, bo oni są w stanie odróżnić treści prawdziwe od nieprawdziwych. I to przekonanie o własnej nieomylności jest pułapką.

W 2025 r. ukazał się raport „Międzynarodowa opinia na temat globalnych zagrożeń", z którego wynika, że 85 proc. Polaków uważa za takie dezinformację. Świadomość zagrożenia nie równa się jednak umiejętności jego unikania?

Ł.S.: – Nie, chociaż na pewno zwiększa uważność.

D.K.: – Ja mam wątpliwości. Bo samo słowo ma już zabarwienie pejoratywne, więc te odpowiedzi mogą być nieco na wyrost.

Ł.S.: – Mnie się zawsze w tym kontekście przypomina, zrobione ewidentnie dla żartu, badanie, w którym padało pytanie: „Co byś zrobił, gdyby się okazało, że twój syn jest *Homo sapiens*?".

Filozof Karl Popper w 1945 r. sformułował tzw. paradoks tolerancji: ludzi nietolerancyjnych nie wolno tolerować, bo to zagraża demokracji i wolności słowa. Niedawny wywiad z Kamratami w Kanale Zero był jaskrawym przykładem działania wbrew tej tezie – określono go jako *whitewashing*, czyli legitymizowanie skrajnych poglądów, bo ich obalanie było w tym wypadku pozorne.

Ł.S.: – Jest to kłopot, ale ja bym go zniuansował. Po pierwsze, tzw. media tradycyjne, duże i poważne, radzą sobie z nim dobrze. Niezwykle rzadko pojawiają się w nich bardzo kontrowersyjne treści, bo działają w nich mechanizmy weryfikacji i redakcje nie uchylają się od odpowiedzialności za to, co wypuszczają w świat.

Nawet im zdarza się jednak używać np. klikbajtów, podgrzewania tematu. To jeszcze tylko zachęta do przeczytania artykułu czy już dezinformacja?

Ł.S.: – Klikbajty podważają zaufanie do mediów jako takich. Skoro tytuł, a czasami także lead w fundamentalny sposób nie zgadzają się z resztą treści, to w dalszej perspektywie wpływają na wiarygodność nadawcy. Zwłaszcza jeśli mówimy o mediach, które aspirują do roli opiniotwórczych. Pieniądz wynikający z klikalności może się i zgadza, ale ranga danego medium leci na łeb na szyję.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja w portalach społecznościowych: człowiek, który tam publikuje treści, jest sam sobie dziennikarzem, redaktorem, wydawcą i niczego nie musi weryfikować.

Widzę jednak, choćby na X, że użytkownicy korzystają z materiałów Konkretu24, Demagoga czy PAP i pod fejkowymi postami umieszczają komentarze. Te działania nie są idealne, ale jakieś efekty jednak przynoszą.

Mówi się o tzw. triadzie nieładu informacyjnego. Dezinformacja – oszustwo, by wyrządzić szkodę; misinformacja – fałszywa lub zmanipulowana treść powielana bez złych intencji; malinformacja – treść prawdziwa, ale wykorzystywana złośliwie. Czy edukacja powinna się zaczynać od tego typu klasyfikacji?

Ł.S.: – W webinarze dla projektu Centrum Współpracy i Dialogu UW „Nauka Sprawdza" powiedziałem, że nie ma sensu, żebyśmy koncentrowali się na opisaniu wszystkich sposobów dezinformowania. Tym niech się zajmują akademicy. Ludzie powinni znać podstawowe terminy, jednak zdecydowanie więcej trzeba mówić o języku, o narzędziach, jakie stosują oszuści, ale też o kanałach, które są wiarygodne i godne zaufania.

Czy powinno się także uczyć rozumienia mechanizmów, które czynią fałsz atrakcyjnym?

Ł.S.: – Zdecydowanie tak. Miejmy nadzieję, że doczekamy się wreszcie zajęć z edukacji medialnej na wszystkich poziomach szkolnych. Nasi studenci mówią co prawda, że mają już przesyt, bo wątek fałszywych informacji pojawia się w programie co drugiego przedmiotu. Tyle że uczelnia to jednak mikroświat, a ja mam na myśli różne grupy wiekowe. Z wiedzą na ten temat można docierać do ludzi poprzez warsztaty dla poszczególnych grup zawodowych. Doskonałym narzędziem byłyby uniwersytety trzeciego wieku. Z publikacji naukowych wynika, że właśnie osoby starsze częściej się nabierają na dezinformację.

W 2025 r. Komisja Europejska opublikowała kolejny „Digital Decade Country Report". Wynika z niego, że jedynie ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ 44,3 proc. Polaków ma podstawowe kompetencje cyfrowe, a celem Unii Europejskiej jest 80 proc. Szczególnie dotyczy m.in. seniorów.

D.K.: – U nich powodem jest przekonanie, że mediom można wierzyć. Naprawdę ważne jest to, żebyśmy się koncentrowali na edukowaniu nie tylko młodych, ale też ich rodziców i dziadków. A wszystkim warto przypominać o odpowiedzialności za słowo. I dobrze też pomyśleć o swoim kciuku, którym zarządzamy dezinformacją. Bo jeśli coś przeczytam i nie wyrażę swojej opinii, to to do mnie nie wróci. A jeśli kliknę emotikon, nawet ten wyrażający dezaprobatę, to algorytmy będą nam podrzucać podobne treści. „Stwierdzanie" kciukiem „podoba mi się", „nie podoba mi się" jest dziś zbyt emocjonalne.

Także dla mediów tradycyjnych emocje zawsze były ważne.

Ł.S.: – Widzę tu jednak paradoks: w XIX i XX w. tytuły sensacyjne były popularne, bo stanowiły tylko część rynku, na którym funkcjonowały też pisma prestiżowe. Teraz, kiedy jakościowe media podupadają, to i te tabloidowe słabiej sobie radzą. W tym sensie wszyscy stracili na rzecz portali społecznościowych.

Według IBRiS w 2025 r. zaufanie do mediów prywatnych było na poziomie 51,3 proc. Do publicznych – 35,3 proc. Serwisy społecznościowe osiągają 30,4 proc. I choć nieufność do nich deklaruje 33,5 proc. badanych, te dane nie wróżą dobrze.

Ł.S.: – Zgadzam się. Myślę, że problem polega na tym, że np. niezależnie od tego, jak krytykowane były media publiczne w III RP, to jednak wyznaczały jakiś standard. Zbrodnią poprzedniej ekipy politycznej jest całkowite zniszczenie wizerunku Telewizji Polskiej, Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej. Odbiorcy wybrali inne media i do publicznych już masowo nie wrócą.

D.K.: – Gdy pytamy studentów, co chcieliby robić po dziennikarstwie, odpowiadają, że „organizować proces wydawniczy albo realizować telewizję", ale jej nie oglądać.

Ł.S.: – Szczególnie że jest tyle treści gdzie indziej. Od kilku lat mówi się o mobinatach, czyli osobach, które oglądają treści multimedialne z portali społecznościowych wyłącznie na urządzeniach mobilnych. Tradycyjne media to oczywiście zauważyły – wszystkie redakcje w krótkich formach próbują pokazać to, co emitują czy drukują. Mnie przeraża jednak coś innego: na Instagramie czy TikToku pojawiają się tzw. autorskie przeglądy wydarzeń i dla wielu ludzi to jest jedyne źródło wiedzy o świecie.

„Studia są od tego, żeby przede wszystkim uczyć analitycznego myślenia, zadawania pytań. Dzisiaj w czasach dezinformacji to jest kluczowe zadanie, jakie stoi przed uczelniami kształcącymi tych, którzy będą pracować w mediach" – powiedział jeden z panów dla portalu Wirtualne Media. W rankingu najbardziej poważanych zawodów w 2025 r. profesor uniwersytetu znalazł się na ósmym miejscu, dziennikarz zaś na 35.

Ł.S.: – Niestety, jest w tym zawodzie sporo osób, które nie zasługują nawet na miano *media workers*. Prawdziwi dziennikarze też dokładają swoje trzy grosze na wielu różnych poziomach, zwłaszcza aktywnością w portalach społecznościowych. Po czasach PRL idea dopuszczania do zawodu wielu osób była szczytna – wedle zasady, że dobry pieniądz wyprze słaby. W Skandynawii, we Francji czy w Niemczech są jednak lepsze branżowe rozwiązania: jest prestiż, jest misja, jest jakieś zadanie publiczne i nie może być tak, że każdy, kto chce, może się podawać za dziennikarza. Dopóki media w Polsce tego nie zrozumieją, dopóty w tych rankingach dziennikarze będą coraz niżej. A już dziś są za politykami, co jest najlepszym podsumowaniem sytuacji.

A co może zrobić środowisko akademickie, aby zwalczyć dezinformację?

D.K.: – Dam przykład. Zrobiliśmy ostatnio raport o dezinformacji w pismach polonijnych. I Ministerstwo Spraw Zagranicznych poprosiło o kurs i studia podyplomowe, „żeby nasi dziennikarze z całego świata mieli większą wiedzę". Z kolei w porozumieniu z marszałkiem przygotowujemy teraz materiały szkoleniowe dla nauczycieli z całego województwa.

Ł.S.: – Prof. Anna Jupowicz-Ginalska realizuje równolegle projekt dla lokalnych liderów. Warsztaty mają uwrażliwić na dezinformację i mowę nienawiści. Taka praca u podstaw przyniesie więcej pożytku niż wielkie kampanie. Dlatego w edukacji chodzi o uświadamianie ludziom na prostych przykładach, jak dezinformacja działa, jak ją dekodować, jak weryfikować treści czy nadawcę, jak budować wzajemne zaufanie. Żeby zerkając na jakiś fake news, szybko byli w stanie stwierdzić, że nie warto mu poświęcić nawet sekundy uwagi.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA CZARNECKA

Prof. **Dariusz Kuźmina** jest historykiem. Zajmuje się m.in. znaczeniem druku w historii nowożytnej. Od 2024 r. pełni funkcję dziekana Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW.

Dr hab. **Łukasz Szurmiński** – medioznawca, wykładowca na WDIiB UW. Zajmuje się m.in. teorią i praktyką propagandy, nowymi mediami oraz polskim systemem środków społecznego przekazu

© UNIWERSYTET WARSZAWSKI (2)

pulsar nadaje z Centrum Współpracy i Dialogu UW

Seria wideokastów związanych z projektem **„Nauka sprawdza"**
Piotr Lewulis: **Dezinformacja to tona rozpędzonej blachy**
Maia Mazurkiewicz, Joanna Tyrowicz: **Prawda to moneta z dwóch metali**
Piotr Sosnowski: **Manipulacja to bakteria, na którą są antybiotyki**
Do obejrzenia na **www.projektpulsar.pl**

eprasa.pl 6e74b318b5

Orły Artemidy

Statek kosmiczny Orion i rakieta SLS w Centrum Kosmicznym im. Kennedy'ego na Florydzie. Pojawiły się problemy z wyciekiem wodoru i helu.

Czy i kiedy ludzie wrócą na Księżyc? NASA przystąpiła właśnie do drugiego, ogromnie ważnego etapu ambitnej i ryzykownej misji Artemis. Zaczyna się pechowo.

MARCIN ROTKIEWICZ

Nadano jej nazwę Artemis (po polsku Artemida), czyli imię greckiej bogini i siostry bliźniaczki Apolla, żeby nawiązać do słynnego programu księżycowego z lat 60. i 70. XX w. Ostatni raz Amerykanie stanęli na Srebrnym Globie w grudniu 1972 r. w ramach wyprawy Apollo 17, choć w planach były jeszcze trzy (o numerach 18–20). Jednak kolejne lądowania na Księżycu przestały ekscytować opinię publiczną, a Stany Zjednoczone potrzebowały pieniędzy na wojnę w Wietnamie. Dlatego w 1972 r. program Apollo zakończono.

Do tematu załogowej eksploracji Księżyca powrócono z okazji 20. rocznicy pamiętnego lądowania Apollo 11. Ówczesny prezydent George Bush ogłosił plan ponownego wysłania astronautów na Srebrny Glob, a następnie na Marsa, ale niewiele się w tej sprawie wydarzyło, Dopiero 15 lat później syn Busha George W., który też został prezydentem USA, ponownie wskazał Księżyc jako główny cel amerykańskiego programu kosmicznego – ludzie mieli na nim wylądować nie później niż w 2020 r.

Następni przywódcy USA nie wyrzucili tego pomysłu do kosza, dzięki czemu 16 listopada 2022 r. wystartowała Space Launch System (SLS), najpotężniejsza rakieta od czasów programu Apollo, realizując pierwszą misję programu Artemis. Jej główny 65-metrowy moduł napędzały cztery silniki zasilane 2,76 mln litrów ciekłego wodoru i tlenu, a wspomagały dwie boczne rakiety na paliwo stałe (projekt przejęty z promów kosmicznych). W górnej części SLS znajdował się pojazd Orion, który 11 grudnia 2022 r. powrócił na Ziemię z lotu w pobliżu Księżyca. W czasie całej misji Artemis I na jego pokładzie przebywały tylko trzy manekiny wyposażone w tysiące czujników.

Teraz (Artemis II) będzie inaczej, gdyż Orion zabierze na pokład czworo astronautów. Będą to Amerykanie Reid Wiseman, Victor Glover i Christina Koch oraz Kanadyjczyk Jeremy Hansen. Ich start miał nastąpić już w lutym, a następnie w marcu, ale pojawiły się kłopoty z rakietą. Choć od poprzedniej misji bezzałogowej minęły ponad trzy lata, NASA zmaga się z problemem wyciekającego z SLS wodoru (a ostatnio też helu). Jeśli uda się temu zaradzić, a pogoda nie pokrzyżuje planów, to najbliższe okna startowe otworzą się w kwietniu. Kłopot w tym, że każde z nich uchyla się tylko na dwie godziny.

Najdalej od Ziemi

Tak krótki czas wynika ze specyficznych wymagań misji i samego sprzętu. Rakieta SLS musi wynieść statek na wysoką orbitę okołoziemską, gdzie załoga i kontrolerzy lotu przeprowadzą niezbędne testy sprzętu. Dlatego dzień i godzina startu muszą pozwolić SLS na precyzyjne osiągnięcie tego konkretnego pułapu. Co więcej, kapsuła załogowa powinna się znaleźć w idealnym położeniu względem Ziemi i Księżyca w momencie wykonywania manewru wejścia na trajektorię ▶

© NASA/CORY S HUSTON

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ prowadzącą w pobliże Srebrnego Globu. Manewr ten wprowadzi Oriona na tor „swobodnego powrotu", co umożliwi statkowi wykorzystanie grawitacji Księżyca i lot ku Ziemi bez powtórnego odpalania silników. Kolejnym potężnym ograniczeniem są wymogi energetyczne. Skrzydła paneli słonecznych potrzebują nieustannie przetwarzać światło w prąd, by m.in. dbać o optymalną temperaturę na pokładzie. Trajektoria lotu w wybranym dniu musi zatem gwarantować, że kapsuła nie znajdzie się w cieniu na dłużej niż 90 min.

Po udanym starcie SLS wyniesie Oriona na wstępną orbitę. Mniej więcej 40 min później do akcji wkroczy górny stopień napędowy rakiety – potężny silnik, który nada dodatkowy pęd. Jego zadaniem będzie stopniowe „rozciąganie" orbity statku tak, by z kołowej stała się znacznie szersza i bardziej eliptyczna.

Zanim astronauci na dobre skierują się ku Srebrnemu Globowi, spędzą w ziemskim sąsiedztwie około dwóch dni. To czas na kluczowe, techniczne „przetarcie". Po 42 godz. od startu załoga się upewni, że statek krąży dokładnie po zaplanowanym torze – w najwyższym punkcie oddalając się od Ziemi na 2,6 tys. km, a w najniższym zbliżając na 185 km. Czteroosobowa ekipa przetestuje w tym czasie wszystkie urządzenia dbające o to, by na pokładzie dało się swobodnie oddychać i funkcjonować. Astronautów czeka również kosmiczny trening: będą manewrować w pobliżu odrzuconego i zużytego stopnia rakiety SLS, aby sprawdzić, jak ich pojazd radzi sobie ze zbliżaniem się do innych obiektów. Będzie to potrzebne podczas następnych etapów programu Artemis.

Gdy załoga i kontrola naziemna upewnią się, że wszystko działa sprawnie, Orion uruchomi na krótko swój główny silnik i rozpocznie czterodniową podróż ku Księżycowi. Łącznie pokona (licząc powrót) trasę przypominającą kształtem olbrzymią cyfrę osiem, nie wchodząc jednak na stabilną orbitę okołoksiężycową ani tym bardziej nie lądując na powierzchni. Głównym celem Artemis II jest bowiem ostateczne potwierdzenie, że Orion oraz całe zaplecze operacyjne na Ziemi są w stanie bezpiecznie utrzymać ludzi przy życiu w odległej przestrzeni kosmicznej. Dlatego kapsuła okrąży Srebrny Glob tylko raz i w momencie największego zbliżenia znajdzie się w odległości nieco ponad 7 tys. km od jego powierzchni. Zanim jednak na dobre rozpocznie powrót, poleci jeszcze tysiące kilometrów dalej za Księżyc – dzięki temu załoga znajdzie się w największej odległości od Ziemi, w jakiej przebywał człowiek w dotychczasowej historii podboju kosmosu.

Cała misja potrwa ok. 10 dni, choć planiści zostawili sobie margines czasowy, gdyby pojawiła się potrzeba przeprowadzenia dodatkowych testów. Podczas ostatniego etapu, tuż przed wejściem w ziemską atmosferę, część załogowa Oriona odrzuci niepotrzebny już moduł serwisowy. Ostatnim akordem będzie lądowanie na spadochronach w wodach Oceanu Spokojnego.

Biologiczne sobowtóry

Choć lot czworga astronautów wokół Księżyca potrwa stosunkowo krótko, to ma być kluczowym poligonem doświadczalnym dla medycyny kosmicznej. Poza niską orbitą okołoziemską, gdzie znajduje się Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, załogę czeka bowiem niewidzialne i poważne zagrożenie – promieniowanie kosmiczne o wysokiej energii.

Badacze z NASA zdają sobie sprawę, że zainstalowane osłony to za mało, żeby w pełni zneutralizować to niebezpieczeństwo, szczególnie w perspektywie przyszłych lotów na Marsa. Dlatego astronauci zabiorą ze sobą „biologiczne sobowtóry" – w ramach projektu AVATAR na pokładzie znajdą się zasilane bateriami miniaturowe urządzenia określane jako „narządy na chipie". Będą zawierać krwiotwórcze komórki macierzyste astronautów, przekształcone w spersonalizowane modele szpiku kostnego, czyli tkanki kluczowej m.in. dla układu odpornościowego. Dla każdego z członków załogi powstanie para takich chipów. Jeden poleci w kosmos zamontowany na wewnętrznej ścianie kapsuły Oriona, a jego bliźniak pozostanie na Ziemi. Po powrocie naukowcy porównają je, szukając na poziomie molekularnym śladów stresu komórkowego i uszkodzeń wywołanych promieniowaniem.

To tylko część zaplanowanych badań. Środowisko głębokiego kosmosu może rozregulować organizm na wiele sposobów, m.in. osłabiając układ odpornościowy i reaktywując uśpione patogeny (np. ten wywołujący półpasiec). Aby to monitorować, w ramach badania Immune Biomarkers przeanalizowane zostaną próbki krwi i śliny uczestników lotu, by sprawdzić, jak kosmiczne warunki wpływają na komórki, aktywność wirusów oraz poziom hormonów stresu. O ile jednak krew zostanie pobrana wyłącznie przed misją i po jej zakończeniu, o tyle próbki śliny będą gromadzone również w trakcie lotu. Ponieważ wnętrze kapsuły Oriona jest wielkości małej kawalerki i nie ma tam miejsca na chłodziarki dla próbek, astronauci będą nasączać śliną specjalne paski papieru, które po wysuszeniu trafią do „notesów".

Z kolei projekt ARCHeR skupi się na psychologii i wydajności członków załogi. Będą oni nosić nadgarstkowe monitory śledzące m.in. rytm snu i aktywności, co pozwoli ocenić, jak mała przestrzeń i specyficzne warunki misji wpływają na wydajność zespołu. Zaś Artemis II Standard Measures, czyli kompleksowy zestaw pomiarów fizjologicznych i psychologicznych, będzie wykonywany od sześciu miesięcy przed startem aż do miesiąca po powrocie. Naukowcy sprawdzą nawet, jak szybko po wodowaniu astronauci odzyskają zmysł równowagi podczas symulowanych spacerów księżycowych.

Stacja orbitalna

Jeśli lot Artemis II zakończy się sukcesem, to następnym krokiem będzie ponowne lądowanie ludzi na Księżycu, czyli misja z numerem III. Dojdzie do tego najwcześniej za dwa lata, m.in. z powodu przedłużających się prac nad lądownikiem Starship HLS (Human Landing System), który przygotowuje firma SpaceX Elona Muska. W kwietniu 2021 r. NASA podpisała z nią umowę (projekt, budowa i przetestowanie takiego pojazdu), której wartość opiewa na 2,89 mld dol. SpaceX pokonała w wyścigu o kontrakt dwóch konkurentów – Dynetics oraz konsorcjum kierowane przez Blue Origin Jeffa Bezosa. Obie złożyły najpierw formalny protest do amerykańskiego rządowego biura kontrolnego GAO, co opóźniło start prac o 95 dni. A później Blue Origin próbowało jeszcze sił w sądzie (bez powodzenia), co spowodowało kolejne wstrzymanie prac przez NASA.

Kontrakt ze SpaceX obejmuje dwa loty: bezzałogowy test lądowania na Srebrnym Globie i startu z jego powierzchni oraz właściwą misję z astronautami na pokładzie. Księżycowy lądownik to wariant największej rakiety zbudowanej przez człowieka, czyli Starshipa, który firma Muska intensywnie testuje od kilku lat. Jednak w odróżnieniu od standardowej

eprasa.pl 6e74b318b5

Załoga Oriona. Od lewej: **Kanadyjczyk Jeremy Hansen oraz Amerykanie Christina Koch, Victor Glover i Reid Wiseman. W lutym nie polecieli. Najbliższe okna startowe otworzą się w kwietniu.**

wersji HLS nie wraca do ziemskiej atmosfery, więc pozbawiony jest osłony termicznej i powierzchni sterowych. Ta oszczędność masy się przyda, gdyż logistyka misji księżycowej jest bardzo skomplikowana. Najpierw na orbitę wokół Ziemi trzeba wystrzelić „magazyn" paliwa, a następnie napełnić go płynnym tlenem i metanem za pomocą serii lotów „tankowców", czyli kolejnych wariantów Starshipa. Ile ich będzie potrzeba? Szacunki się zmieniają: Musk mówił o czterech do ośmiu, NASA ocenia ich liczbę nawet na kilkanaście. A wszystkie te loty muszą odbyć się w krótkich odstępach czasu, by zminimalizować naturalną utratę paliwa o bardzo niskiej temperaturze.

Dopiero po zatankowaniu w kosmosie Starship HLS poleci w kierunku Księżyca i wejdzie na specjalną orbitę, gdzie zaczeka na kapsułę Orion z załogą wystrzeloną za pomocą SLS. Po ich połączeniu dwóch astronautów przesiądzie się do lądownika, który zabierze ich na powierzchnię Srebrnego Globu. Spędzą tam około tygodnia, wykonując co najmniej pięć spacerów kosmicznych, po czym HLS wystartuje i wróci do Oriona.

Problem polega na tym, że ten ambitny plan systematycznie się opóźnia. Już w 2021 r. NASA ostrzegała, że harmonogram jest nierealny – duże programy lotów kosmicznych potrzebowały w ciągu ostatnich 15 lat średnio 8,5 roku od podpisania kontraktu do pierwszego startu, a SpaceX założyło zrobienie tego dwa razy szybciej. Tymczasem do września 2023 r. opóźnionych było osiem z 13 kluczowych etapów projektu, a wspomniane już biuro GAO wskazywało na „ograniczone postępy" technologii tankowania na orbicie. Kiedy zatem Starship HLS będzie w pełni gotowy do historycznej misji załogowej? Choć w styczniu 2024 r. NASA i SpaceX wspólnie ogłosiły przesunięcie misji Artemis III na termin niewcześniejszy niż wrzesień 2026 r., to w raporcie dla Kongresu GAO pisze, że bardziej prawdopodobny jest początek 2027 r., a obecnie mówi się o połowie przyszłego roku.

Kłopoty SpaceX z tym kluczowym projektem mogą zaostrzyć rywalizację ze strony innych firm, w tym Blue Origin, która mimo sporu sądowego współpracuje z NASA i ma wziąć udział w misji Artemis IV. Jej plan przewiduje, że astronauci zamieszkają i rozpoczną pracę na pierwszej w historii ludzkości stacji kosmicznej na orbicie Srebrnego Globu o nazwie Gateway. To bezprecedensowe przedsięwzięcie ma umożliwić nowe odkrycia naukowe i stanowić poligon doświadczalny przed przyszłymi załogowymi lotami na Marsa.

Wysłanie ludzi do nowej bazy będzie jednak wymagać skomplikowanej logistyki, obejmującej wielokrotne starty i precyzyjne dokowania statków w przestrzeni kosmicznej. Głównym aktorem tego spektaklu ma stać się znacznie potężniejsza wersja rakiety SLS, oznaczona jako Block 1B.

Sama stacja Gateway oczywiście nie poleci w kosmos w jednym kawałku, lecz będzie składana etapami. Mają ją wspólnie zbudować NASA, Europejska Agencja Kosmiczna (ESA) i japońska JAXA. Jej pierwsze dwa moduły – energetyczno-napędowy (PPE) i mieszkalno-logistyczny (HALO) – polecą na orbitę księżycową na pokładzie rakiety Falcon Heavy firmy SpaceX. Dopiero gdy systemy stacji zgłoszą gotowość, z Florydy wyruszy Orion z załogą, transportując kolejny element układanki: moduł mieszkalny I-Hab (International Habitation) dostarczony przez ESA i wyposażony w kluczowe systemy podtrzymywania życia przez JAXA.

Na miejscu role członków załogi zostaną starannie podzielone. Dwoje astronautów pozostanie na stacji, by aktywować nowe systemy, prowadzić badania i monitorować działania na powierzchni. Pozostała dwójka przesiądzie się do lądownika Starship, aby spędzić około tygodnia na Srebrnym Globie. Czeka ich tam praca badawcza w terenie, rozstawianie instrumentów pomiarowych oraz zbieranie próbek, które pomogą lepiej zrozumieć historię Układu Słonecznego.

Musk łaskawszy dla Księżyca

Te ambitne wizje eksploracji największego satelity Ziemi najwyraźniej podziałały na samego Muska, który jeszcze rok temu nazywał Srebrny Glob „rozpraszaczem" marsjańskich ambicji ludzkości i twardo deklarował lot „prosto na Czerwoną Planetę". Jednak w lutym zaskoczył wszystkich diametralną zmianą priorytetów. Ogłosił mianowicie, że SpaceX skupi się teraz na projektowaniu osady na Księżycu, co uważa za możliwe do osiągnięcia w niecałą dekadę. Nie oznacza to jednak rezygnacji z podboju Marsa, gdyż Musk zapowiada, że ten program wystartuje równolegle za pięć lub sześć lat, a pierwszy załogowy lot mógłby się odbyć w 2031 r. (jego deklaracje lepiej traktować z dużym dystansem, bo obiecywał też m.in. milion autonomicznych taksówek do 2020 r.).

Niezależnie od tego, czy wizje pozaziemskich osad snute przez ekscentrycznych miliarderów okażą się prorocze, czy pozostaną jedynie mrzonką, jedno wydaje się pewne – po półwieczu zapomnienia Księżyc znów staje się kluczowym miejscem kosmicznej eksploracji. Zanim jednak powstaną tam bazy wypadowe na Marsa, trzeba będzie się upewnić, czy po dekadach przerwy w ogóle jesteśmy w stanie bezpiecznie wrócić na Srebrny Glob. Misja Artemis II stanie się zatem nie tylko gigantycznym technologicznym i medycznym poligonem doświadczalnym. Brutalnie zweryfikuje prawdziwy dystans między naszymi rozbudzonymi na nowo kosmicznymi ambicjami a twardą rzeczywistością.

MARCIN ROTKIEWICZ

© NASA/AUBREY GEMIGNANI

eprasa.pl 6e74b318b5

Socjalizm obiecał kobietom równość, w praktyce utrwalił patriarchat. Jak radziły sobie w tym systemie, opowiada prof. Błażej Brzostek, autor książki „Życie codzienne kobiet w PRL”.

Kobiety PRL-u

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– O kobietach najczęściej piszą badaczki i często słyszą zarzut, że to „historia zaangażowana”, mniej solidna i nieobiektywna. Dlaczego wszedł pan na ten śliski grunt?**

BŁAŻEJ BRZOSTEK: – Każdy temat z historii niedawnej to jazda po lodzie. A temat życia kobiet jest mi bliski, odkąd 25 lat temu wydałem książkę o codzienności robotników okresu stalinizmu. Jeden rozdział poświęciłem pracownicom przemysłu i obiecałem sobie, że do nich wrócę.

Na decyzję miało też wpływ obserwowanie mamy czy babć w dzieciństwie?

Przemożny. Pamiętam schyłek PRL – czekanie na mamę stojącą w kolejce w mięsnym i rybnym, siatka z zakupami, butelka mleka rano pod drzwiami mieszkania. Ale w pracy historycznej mieszanie własnych wspomnień i emocji z materią opisu jest pułapką. Dlatego w książce trochę uciekam od lat 80. – głębiej, w PRL wczesny i dojrzały. Zwłaszcza ten wczesny pełen jest zjawisk dziś uznawanych za paradoksalne albo wypieranych.

Czyli jakich?

Wojna i okupacja zmusiły do nowych działań. Mnóstwo ludzi straciło

eprasa.pl 6e74b318b5

Od lewej: **Dzień Kobiet w zakładach Pollena w 1980 r. i w warszawskiej MO w 1972 r.** Poniżej: **sesja fotograficzna z lat 70. z okazji Dnia Kobiet.**

miejsca pracy, zajęło się handlem. To trwało i po wojnie. Kobiety były tu szczególnie ważne. Wiele z nich zostało osamotnionych, z dziećmi na utrzymaniu, bez zawodu, bo przed wojną praca zawodowa kobiet była dość rzadka. Musiały sobie jakoś radzić i uruchomiły zdumiewająco żywy sektor działalności prywatnej – w postaci kawiarenek, sodowiarni, paszteciarni, warsztatów krawieckich i fryzjerskich. Były to miejsca ważne w życiu społecznym, dające namiastkę normalności na gruzach. Lecz od 1947 r. reżim prowadził „bitwę o handel", systematycznie niszcząc tego rodzaju wolną gospodarkę. Był to cios dla tych kobiet, które właśnie zbudowały sobie życiową przystań, zabezpieczyły byt swój i dzieci, miały nadzieję na przyszłość.

Państwo wykorzystało tę kobiecą energię?

Wymusiło przejście do pracy na państwowym – w spółdzielniach i zakładach „uspołecznionych". Dla wielu kobiet, zwłaszcza ze wsi, oznaczało to awans i wyrwanie się spod kurateli ojca, dawało ochronę socjalną i regularne, choć małe pieniądze. Stąd ta odradzająca się ostatnio narracja o emancypacji w stalinizmie.

No tak, plakaty z uśmiechniętymi traktorzystkami to propaganda.

Pod jej wpływem niektóre dziewczyny na wsi marzyły o pracy traktorzystki, która kojarzyła się z maszyną, czyli atrybutem męskim, wiążącym się z wolnością. Lecz na wsi lat 50. traktory były rzadkością. Na polu pracował koń. Dlatego tamtejsza młodzież myślała nie o traktorze, lecz o ucieczce do miasta. Młode kobiety miały nadzieję na wyrwanie się z biedy, na zdobycie zawodu i wykształcenia. Państwo zdawało się temu sprzyjać. Organizowało wielkie budowy. Płaciło mało, ale w pierwszym okresie miejskiego życia bezpłatny hotel robotniczy, stołówka, jakiś kurs wieczorowy dawały zakotwiczenie i poczucie sensu.

Czy ta praca zawodowa rzeczywiście dawała kobietom samodzielność?

W jakiejś mierze tak, zwłaszcza ta wiążąca się z migracją. Lecz niemal zawsze kobieta trafiała w pracy pod nadzór mężczyzn – kierowników, majstrów, szefów organizacji partyjnej. Także w fabrykach włókienniczych zdominowanych przez robotnice. Od tej zależności nie było ucieczki. System polityczny nie pozwalał na negocjacje pracownicze, protesty i strajki. Dlatego ta „emancypacja" była nader ograniczona.

Od XIX w. kobiety niemal wszędzie zarabiały mniej niż mężczyźni. PRL obiecywał zerwanie z tą logiką. Dotrzymał słowa?

Były trzy powody nierówności płac: kobiety miały gorsze stanowiska pracy, krótsze staże i dostawały niższe dodatki, a do tego dochodziła obawa zatrudniających, że skorzystają z urlopów macierzyńskich. To przecież zakłóciłoby wykonywanie planu, a pracodawca „socjalistyczny" był poddany dyktatowi polityki, czyli rygorowi wykonania planu.

W dodatku panie starały się pracować jak najbliżej domu, by mieć czas dla dzieci.

To był kolejny powód niższych płac, bo pracowały w sklepie, kiosku Ruchu i małych niedoinwestowanych zakładach lokalnych. Różne fabryczki opakowań, odzieży roboczej, drobnej konfekcji były z punktu widzenia planistów trzeciorzędne. Często działały one w nieremontowanych budynkach z XIX w., miały stare maszyny, opłakaną higienę pracy. Mężczyźni woleli dłużej dojeżdżać, ale do zakładu „kluczowego", dającego wysokie zarobki i szanse na awans zawodowy. Kobiety kierowały się codzienną logistyką rodzinną i z tego powodu decydowały się częściej niż mężczyźni na pracę na nocnych zmianach, by mieć dzień na ugotowanie obiadu, pranie. Odsypiały w przerwach.

W edukacji nie było nocek, a i wynagrodzenia nie były zależne od płci.

Nie, ale to mężczyźni – zwłaszcza na wsiach – częściej mieli szansę zostać dyrektorami szkół, a to już wpływało na nierówność zarobków. Jednak kobiety też kierowały placówkami oświatowymi i robiły kariery w kuratoriach. Zawód nauczycielski należał do nielicznych dających im rzeczywistą możliwość awansu, dlatego był tak sfeminizowany.

Zmaskulinizowana była za to polityka.

Dzisiaj jest także. W tamtym systemie nie było wyborów na żadnym szczeblu. Do sejmu i rad narodowych było się de facto nominowanym przez partię, więc skład parlamentu był wypadkową gry sił w aparacie władzy. Z tej gry kobiety były właściwie wykluczone. W Biurze Politycznym nie było do 1980 r. ani jednej, a i potem ta jedna albo dwie miały mało do powiedzenia. Do 1956 r. nie było żadnej kobiety w rządzie, a Zofia Wasilkowska na czele resortu sprawiedliwości to epizod.

Mniej więcej wtedy zalegalizowano aborcję, bo wcześniej komuniści utrzymali sanacyjną ustawę uzgodnioną z Kościołem w 1932 r., która całkowicie ją wykluczała, i kobiety za usunięcie ciąży trafiały do więzienia.

Rzeczywiście wiosną 1956 r. pojawił się zapis, że aborcji można dokonać ze względu na trudne warunki życiowe, co było reakcją na tysiące pokątnych zabiegów, często kończących się śmiercią kobiet. Poza tym w pierwszych latach po wojnie mieliśmy do czynienia z tzw. kulturą gwałtu. Wiemy o tym z badań nad seksualnością Polaków, z których m.in. wynikało, że 10 proc. wrocławskich robotnic jako pierwsze doświadczenie seksualne wskazało gwałt. W pamiętnikach konkursowych kobiety pisały o przemocy seksualnej w małżeństwie, wykorzystywaniu w zakładach pracy. Dopiero w latach 70. w prasie pojawiły się pierwsze teksty na ten temat.

Wiele osób pamiętających tamte czasy ma obraz wiecznie krzątających się mam, bo po powrocie z pracy zajmowały się dziećmi, gotowały, sprzątały, cerowały, gdy mężowie oglądali telewizję lub czytali gazety.

Na wsiach było lepiej, ale w rodzinach robotników wykwalifikowanych przyjęte było, że on utrzymuje rodzinę, w zamian za co ma prawo do domowego komfortu i obiadu na stole. Ona czerpała poczucie wartości z faktu, że dzieci są zaopiekowane, a podłoga błyszczy. Tak mówiły kobiety socjologom ok. 1960 r. To się ▶

© ANDRZEJ WIERNICKI/EAST NEWS, WŁODZIMIERZ PNIEWSKI/REPORTER, HENRYK ROSJAK/PAP

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ zmieniało wraz z pokoleniami i córki tych kobiet już zwykle odmawiały tego rodzaju układu. Natomiast synowie tych ojców byli do niego raczej przyzwyczajeni, więc powstawały napięcia.

Zerwanie starych więzów sprawiło, że szukano nowych autorytetów. Jan Kamyczek, czyli Janina Ipohorska, w „Przekroju" uczył, jak jeść nożem i widelcem, lekarze – że karmiąc dzieci, należy szybko przechodzić na mleko w proszku, a aktorki i prezenterki – jak o siebie dbać.

Gdy masy migrują, oswajają się z miastem i zaczynają żyć zupełnie inaczej niż rodzice – porady są potrzebne. A kultura zmieniała się w PRL szybko. Pojawiały się nowe telewizyjne wzory, np. pięknie ufryzowana Edyta Wojtczak albo Irena Dziedzic. Trwała ondulacja stała się znakiem awansu, robiły ją sobie kobiety, których matki na wsi nosiły chustki na głowie i rozrzucały obornik. Trwała była dowodem na oddalenie się od świata wsi i pracy fizycznej. Z kolei różne ekscesy w stroju czy fryzurze wśród młodzieży miejskiej lat 60. oznaczały, że chciała ona czegoś więcej. Nie było w PRL rewolucji seksualnej na miarę zachodnią, bo nie było wolnego rynku i mediów, ale był nowy apetyt na życie. Trwała „wojna domowa" o długość sukienki albo pomalowane powieki.

A o bikini?

Takie kostiumy były miejskie, uchodziły wśród starszego pokolenia zwłaszcza na wsi za obrazę boską, a samo plażowanie za ostentacyjne lenistwo. Lecz miasto miało przemożną atrakcyjność, także dzięki prasie i telewizji. Narzucało wzory spędzania czasu wolnego, w tym właśnie rekreacji z opalaniem. To stało się tak ważne, że niektórzy smarowali się naftą, aby opalenizna chwyciła. Należało wyglądać jak po urlopie, bo z wczasami kojarzyła się praca miejska, na etacie. Państwo zresztą reklamowało akcje wczasowe w latach 50., choć były to na ogół wczasy jednoosobowe, gdy oczekiwano rodzinnych, aby spędzić je razem. W rodzinach robotniczych pomysł, aby żona pojechała sama, był zwykle nie do przyjęcia. Jak mogłaby się oddalić na tydzień albo dwa od męża i dzieci?

Ten tradycyjny układ podtrzymywał Kościół?

Oczywiście. Dawał zresztą wielu ludziom autentyczną podporę. Po zawierusze wojny i powojennej „rewolucji" stabilność była wartością. Instytucja spowiedzi miewała sens terapeutyczny.

Prof. **Błażej Brzostek** z Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego jest historykiem, specjalistą czasów powojennych, autorem wielu książek poświęconych temu okresowi.

Wiele kobiet nie miało komu opowiedzieć o trudnym życiu, kłopotach w domu czy przemocy małżeńskiej i spowiedź bywała jedynym sposobem wyrzucenia tego z siebie. Ksiądz zwykle odpowiadał, że trzeba nosić swój krzyż, ale przynajmniej wysłuchał. Praktyki religijne były też ważne w domu, a z badań socjologicznych KUL z lat 70. wynika, że kobiety znacznie częściej niż mężczyźni deklarowały odmawianie codziennego pacierza. Modlitwa miała znaczenie wychowawcze, podobnie jak chodzenie do kościoła, do którego dzieci też częściej prowadzane były przez kobiety. Ważny był też fenomen babci ze wsi, która przyjeżdżała do miasta opiekować się wnukami. Myślę, że kobiety te miały wpływ na wzrost emocji religijnych młodzieży w latach 70., co potężnie wzmocnił wybór Karola Wojtyły na papieża. Z ówczesnych badań wyłania się obraz młodzieży poszukującej rodzinności, ciepła, coraz krytyczniej patrzącej na peerelowską nowoczesność jako zimną i obcą.

Co nałożyło się na kryzys schyłku PRL.

Kryzys lat 70. uderzył w społeczeństwo, które przyzwyczaiło się do jakiego takiego komfortu życia. Tymczasem brakowało wszystkiego – od żyletek po mleko w proszku. Ten ostatni towar miał po prostu znaczenie egzystencjalne. Matki niemowląt uwierzyły autorytetom medycznym, że dziecko należy szybko odstawiać od piersi i przechodzić na karmienie sztuczne. I nagle brak mleka w proszku! Brak też było rzeczy, do których miejskie kobiety zaczęły się przyzwyczajać, w tym środków higieny intymnej. Oto zaczęto produkować w Polsce tampony OB. Pojawiły się w aptekach, chwyciły – i zaraz zniknęły. Bo drastycznie zadłużone państwo pchało wszystko na eksport.

Gdyby spróbować podsumować, co PRL realnie zrobił dla kobiet, a czego im odmówił?

PRL wyzwolił wielkie zmiany społeczne, nadał im początkowo dynamikę dzięki zmianom prawnym, np. prawa małżeńskiego, które stało się świeckie i elastyczne. Otworzył drogi dla migracji, rozruszał przemysł, ułatwiając osadzanie się w miastach. To wszystko miało w latach 50. pewien sens emancypacyjny. Ale nie ma emancypacji bez wolności. A wolność polega na współdecydowaniu o sprawach publicznych. I na debacie. Tego być nie mogło w państwie bez wyborów i bez wolności słowa. Dlatego ład społeczny zyskał wbrew pozorom charakter bardzo konserwatywny, oparty na małych grupach, rodzinności. To utrwaliło patriarchalne wzory do tego stopnia, że u kresu PRL wszystkim wydawało się oczywiste, że negocjujące przy Okrągłym Stole strony – władza i opozycja – to mężczyźni. Wśród kilkudziesięciu facetów były przy samym stole dwie kobiety. A przy tzw. podstoliku, który miał decydować o kształcie związków zawodowych, czyli o legalizacji Solidarności, kobiety nie było żadnej! I to jest końcowy obraz tej peerelowskiej emancypacji.

Gdy w latach 90. studiowałam w Berlinie, uderzyło mnie, że na zachodnim Freie Universität nie było żadnych profesorek, a na byłym enerdowskim Humboldcie jak najbardziej. U nas też były badaczki z naukowymi tytułami.

Tak, bo awans edukacyjny był w państwach komunistycznych bardzo szeroki i wspierany. Tylko że nie oznaczało to przyzwolenia dla wolnej myśli. A wszystkie wyższe stanowiska na uczelniach czy w akademii nauk piastowali mężczyźni. Ten układ pokazał świetnie Zanussi w „Barwach ochronnych".

Byliśmy „najweselszym barakiem za żelazną kurtyną", ale wygląda na to, że paniom chyba nie bardzo było do śmiechu?

Jeśli porównać reżim PRL z innymi, lewicowymi czy prawicowymi reżimami XX w., może wydawać się raczej lekki. Przynajmniej od połowy lat 50. Jednak ta „lekkość" miała swoją cenę. Była to gospodarka niedoboru, kierat wysiłków zaopatrzeniowych, tych wszystkich obowiązków uznawanych za kobiece. Wystania, ugotowania, obrobienia się na dzień następny. Socjolog Stefan Nowak pisał w latach 70. o „próżni społecznej", jaka istnieje między rodzinną codziennością a narodem rozumianym jako zbiór symboli. Próżnia wynikała z nikłości instytucji pośrednich – stowarzyszeń, związków, organizacji – bo te nie mogły się rozwijać w warunkach dyktatury. W tym kieracie codzienności ginęło mnóstwo energii i inwencji.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 6e74b318b5

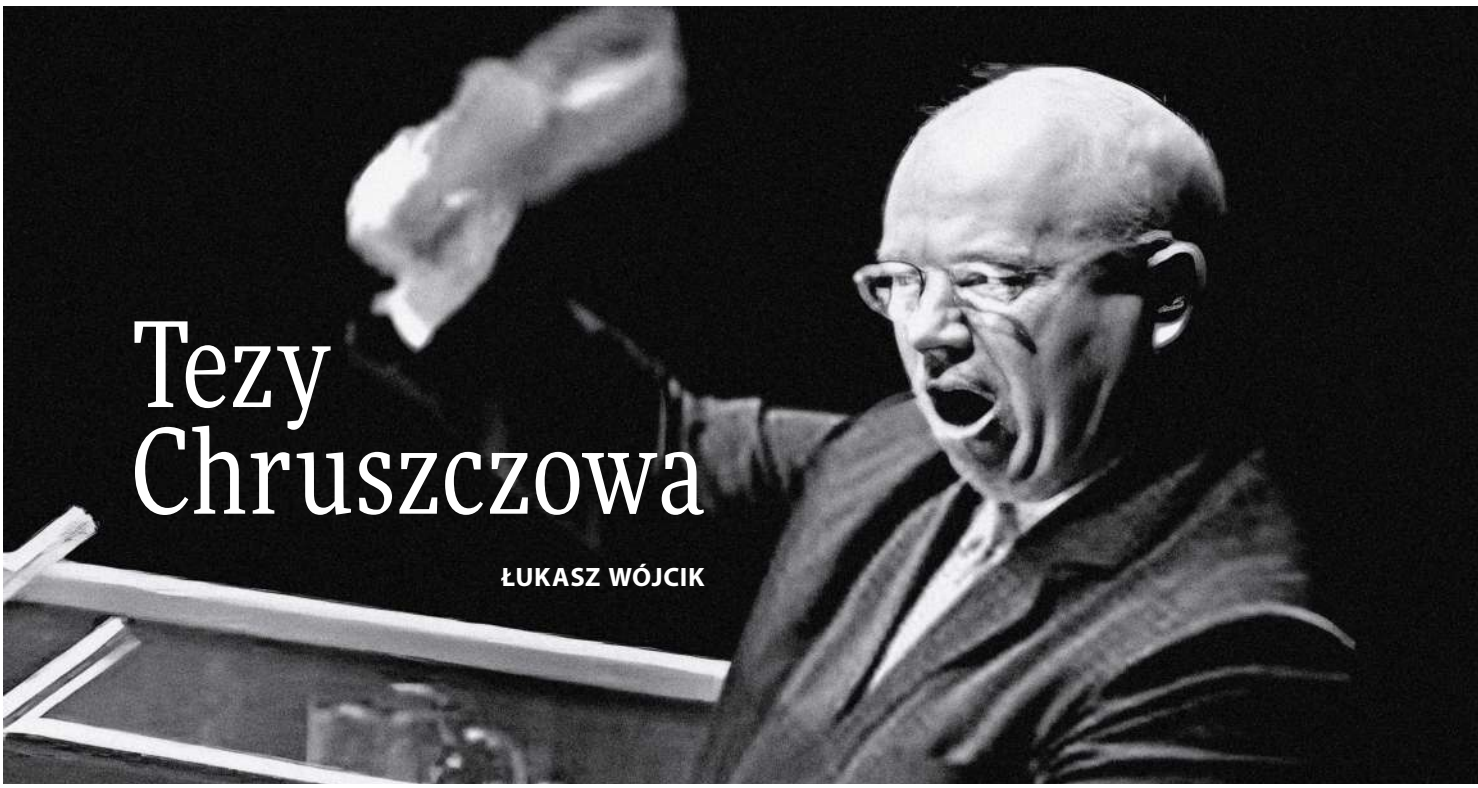

Tezy Chruszczowa

ŁUKASZ WÓJCIK

Wygłoszony 70 lat temu tajny referat to jedno z najważniejszych przemówień XX w. Czy jego autor Nikita Chruszczow chciał zostać Lutrem komunizmu?

Porównanie z tezami Marcina Lutra jest tylko trochę naciągane. Oto człowiek z wewnątrz instytucji (tu partia komunistyczna, tam – Kościół katolicki), nie mogąc dojść sprawiedliwości w ramach procedur, wychodzi z krytyką na zewnątrz. Instytucja w pierwszym odruchu uznaje go za heretyka, który zbezcześcił jej mit założycielski, ale ostatecznie w dużej części się do niego przyłącza. A potem następuje kontrreformacja.

Kukurydzą i butem

Nikita Chruszczow zaczął swój słynny referat od upomnienia: „Nie klaszczcie za każdym razem, gdy wchodzę. Zachowujcie się jak komuniści". Potem przeczytał fragmenty „Testamentu Lenina", ostatnich notatek umierającego wodza rewolucji, w których, zamiast mianować Józefa Stalina swoim następcą, Lenin ostrzegał przed jego osobistymi niedoskonałościami.

Wielokrotnie porównywał Lenina i Stalina. Ten pierwszy, jego zdaniem, stosował przemoc i „surowe metody" tylko wobec klasy wyzyskiwaczy. A Stalin używał radykalnych metod i masowych represji w czasie, gdy „rewolucja już zwyciężyła, a klasy wyzyskujące zostały zlikwidowane". I dalej: „Często wybierał drogę represji i fizycznej zagłady, nie tylko wobec rzeczywistych wrogów, ale także wobec osób, które nie popełniły żadnych przestępstw przeciwko partii i władzy radzieckiej".

Gdy Chruszczow wypowiadał te słowa, był już od trzech lat pierwszym sekretarzem (gensekiem) Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego (KC KPZR), czyli w praktyce najsilniejszą osobą w państwie. Znany był z bezpośredniego stylu i uwielbienia do kukurydzy, którą chciał sadzić w każdym zakątku ZSRR. Wielu pamięta go jako zawadiackiego staruszka, który w 1960 r. wymachiwał butem – lub uderzał nim o biurko, w zależności od wersji – na sesji ONZ, gdy krytykowano łamanie praw człowieka w ZSRR. Ale to tylko pozory.

Od końca lat 30. związany z ukraińskimi strukturami partii (do dziś jest oskarżany o to, że już jako gensek przeniósł Krym z rosyjskiej do ukraińskiej republiki radzieckiej), w czasie drugiej wojny światowej wsławił się wyjątkową brutalnością m.in. wobec radzieckich żołnierzy cofających się przed Niemcami. Doszedł do władzy po śmierci Stalina w 1953 r., usuwając po drodze konkurentów: Gieorgija Malenkowa, którego Stalin miał namaścić (ostatecznie został dyrektorem elektrowni), i szefa MSW Ławrientija Berię (stracony).

XX Zjazd KPZR, który rozpoczął się 14 lutego 1956 r., miał być finałem konsolidacji władzy przez Chruszczowa, początkowo nic nie zapowiadało jego niestandardowego zakończenia. Delegaci codziennie uczestniczyli w długich sesjach na Kremlu, zwiedzali fabryki i poznawali życie kulturalne stolicy. Słuchali przemówień, z których wiele dotyczyło triumfów radzieckiego przemysłu i rolnictwa. Ostatniego dnia, 25 lutego późnym wieczorem, zaplanowano jednak tajną sesję, zamkniętą dla dziennikarzy i gości zjazdu, która trwała prawie do rana.

Myśli za wszystkich

Wygłoszony wtedy przez Chruszczowa referat, który przeszedł do historii pod tytułem „O kulcie jednostki i jego ▶

© EAST NEWS

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ następstwach", był rezultatem pracy specjalnej komisji. A następnie kilkutygodniowych „konsultacji" z partyjną wierchuszką. Spory toczyły się o całe fragmenty i pojedyncze sformułowania. Najbliżsi współpracownicy Stalina: Wiaczesław Mołotow, Malenkow i Klimient Woroszyłow, ostrzegali Chruszczowa przed atakowaniem mitu założycielskiego. Młodsi przeciwnie – uważali, że partia straci autorytet, jeśli nie powie prawdy o terrorze i roli Stalina.

Anastas Mikojan, kiedyś bliski współpracownik Stalina, ale w 1956 r. stronnik Chruszczowa, był autorem osi referatu – rok 1934 miał zostać przedstawiony jako przełomowy moment w historii ZSRR. Według tej narracji przed 1934 r. Stalin prowadził kraj ku świetności: pierwsza pięciolatka, kolektywizacja rolnictwa, pokonanie trockistów. Potem wódz zboczył. Tysiące niewinnych komunistów poddał inwigilacji, aresztowaniom, torturom, wielu nie przeżyło.

„Duchowi marksizmu-leninizmu obce jest wywyższanie jednej osoby, przekształcanie jej w nadczłowieka posiadającego nadprzyrodzone cechy, zbliżone do cech boga. Taki człowiek rzekomo wie wszystko, widzi wszystko, myśli za wszystkich, może wszystko, jest nieomylny w swoim postępowaniu". I dalej: „Takie przekonanie o człowieku, a konkretnie o Stalinie, kultywowano wśród nas przez wiele lat. [...] Niepokoi nas stopniowy wzrost kultu Stalina – kultu, który stał się źródłem całej serii niezwykle poważnych wypaczeń zasad partyjnych, demokracji partyjnej i legalności rewolucyjnej".

Czytany z kartki tekst Chruszczow przeplatał dygresjami i złośliwościami. Drwił z Woroszyłowa, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej: „Hej, Klim, przestań kłamać. Powinieneś był to zrobić dawno temu". Woroszyłow odegrał kluczową rolę w wielkiej czystce przed drugą wojną światową. Według jednego z obecnych na sali twarz Woroszyłowa „poczerwieniała aż po cebulki włosów".

Reakcje były skrajne. Część delegatów, w tym ofiary stalinizmu, oklaskiwała Chruszczowa na stojąco. Inni krzyczeli, dwóch ponoć zemdlało, dwóch kolejnych – już po sesji – popełniło samobójstwo. Redaktor naczelny „Komsomolskiej Prawdy" Dmitrij Goriunow musiał podobno zażyć pięć tabletek nitrogliceryny, aby uspokoić serce. Siergiej Mieziencew z czasopisma „Kommunist" wrócił ze zjazdu „biały jak śnieg". Zapytany w redakcji, co takiego powiedział Chruszczow, miał trudności z mówieniem i w końcu odparł: „To, co zostało powiedziane... Bóg jeden wie, co mamy myśleć... Co będzie dalej? Co zrobimy?".

Polski wyciek

Chociaż tekst nie został przedrukowany w prasie radzieckiej, jego treść została szeroko rozpowszechniona w ramach partii. Według rosyjsko-gruzińskiego historyka Roja Miedwiediewa na marcowych spotkaniach aktywu referatu wysłuchało w sumie ok. 7 mln członków partii i 18 mln komsomolców (członków organizacji młodzieżowych). Jak opisuje Miedwiediew, na salę wchodził partyjny instruktor i zapowiadał: „Przeczytam wam tajne przemówienie Nikity Siergiejewicza Chruszczowa na XX Zjeździe".

Na sali często przebywali zarówno ludzie dotknięci represjami, jak i sprawcy. Treść odczytu różniła się od spotkania do spotkania – niektórzy instruktorzy cenzurowali najmocniejsze wątki, inni czytali słowo w słowo, jeszcze inni dorzucali własne doświadczenia z terrorem, wspomnienia z obozów, a nawet z tortur. Dostosowywali się lokalnie, np. w Gruzji, ojczyźnie Stalina, musieli przychodzić w obstawie, bo regularnie dochodziło do rękoczynów. Gruzini byli oburzeni, że Rosjanie znieważają ich bohatera narodowego. W wyniku ulicznych zamieszek zginęło kilkanaście osób, a pociągi z Tbilisi przyjeżdżały do Moskwy z powybijanymi oknami.

Pierwsze informacje o referacie wypłynęły na Zachód dzięki korespondentowi Reutersa w Moskwie, Johnowi Rettiemu. Jego radziecki kontakt, młody aktywista partyjny Kostia Orłow, opowiedział mu ze szczegółami, o czym mówił Chruszczow na zamkniętej sesji. Rettie wszystko spisał, wyjechał do Sztokholmu i stamtąd już telefonicznie przedyktował dwie depesze do centrali Reutersa w Londynie. Orłow był prawdopodobnie podstawiony przez KGB.

Pełen tekst, zdaniem biografa Chruszczowa, Williama Taubmana, wyciekł na Zachód z Polski. Moskwa rozesłała tekst do wszystkich bratnich partii, jakby wręcz prosiła o przeciek. Polski wątek ma dwie wersje. Pierwsza z nich mówi o tym, że polscy drukarze odbili więcej egzemplarzy niż pozwolono. A potem partia straciła nad nimi kontrolę. Według drugiej wersji jedna z sekretarek w KC pokazała tekst referatu swojemu narzeczonemu, zapalonemu syjoniście, który zrobił zdjęcia i przekazał je izraelskiemu wywiadowi. A ten z kolei przekazał je CIA. Efekt był taki, że już 5 czerwca 1956 r. fragmenty referatu ukazały się w „New York Timesie", a chwilę później cały tekst opublikował brytyjski „The Observer".

Zagraniczne reakcje mnożyły się z dnia na dzień. Chruszczowa ostro skrytykował Mao Zedong, który grzmiał o rewizjonizmie (być może też wziął do siebie atak na kult jednostki). Również z powodu „rewizjonizmu" ze Związkiem Radzieckim symbolicznie zerwała Albania, która przyjęła chińską opiekę.

Sam referat odegrał dużą rolę w Polsce i na Węgrzech, gdzie przywódcy buntów – odpowiednio w czerwcu w Poznaniu i w listopadzie w Budapeszcie odwoływali się do stalinowskich zbrodni ujawnionych przez Chruszczowa.

Cuchnące ciało

Po XX zjeździe w radzieckich środowiskach intelektualnych zapanowała z trudem tłumiona euforia. Zaczęły krążyć wizje upadku reżimu, dla wielu luminarzy radzieckiej kultury era większej wolności politycznej i artystycznej wydawała się nieuchronna. Wtedy też do języka politycznego wszedł termin „odwilż" jako zapowiedź końca stalinowskiej zimy, zapożyczony z tytułu powieści Ilii Erenburga.

Szczytowym momentem odwilży była jesień 1956 r. i tak jak wiele razy w historii Rosji znów kluczową rolę odegrała literatura. Przebojem sezonu była powieść Władimira Dudincewa „Nie samym chlebem" o wynalazcy samouku, który borykał się z biurokracją. Czytelnicy doszukiwali się w niej oskarżenia pod adresem stalinizmu. Podczas publicznych odczytów, na które fani wciskali się przez okna, dochodziło do politycznych demonstracji, wielokrotnie musiały interweniować siły porządkowe.

Młodsze pokolenie czytające Dudincewa było relatywnie niezależne, a po 1956 r. już dość otwarcie krytykowało władzę. Wciąż wierzyło w obietnice rewolucji 1917 r. W tym sensie uważali Chruszczowa za sojusznika, który – tak jak oni – deklarował, że chce „oczyścić rewolucję z nalotu", w czym miało się kryć odrzucenie stalinizmu i powrót do etosu rewolucji.

Szerszy aktyw zareagował niepewnością. Nie domagano się otwarcie ukarania jeszcze żyjących współudziałowców Stalina w zbrodniach. Uwaga skupiła

eprasa.pl 6e74b318b5

XX Zjazd KPZR, luty 1956 r.

się – zgodnie z komunistycznym etosem – na zagadnieniach materialnych: co zrobić ze Stalinem wszechobecnym w przestrzeni publicznej. Prasa odnotowywała spontaniczne akcje usuwania i palenia portretów Stalina. Atakowano nawet pomniki. Szybko wypłynął temat usunięcia ciała wodza z Mauzoleum Lenina.

Tajne służby, bez wyraźnych wytycznych z góry, też czuły się niepewnie. Na wszelki wypadek wzmożono kontrolę listów, których treść dość trafnie oddaje panujące zamieszanie. Historyk z Cambridge Mark B. Smith w książce „Exit Stalin" cytuje m.in. list stróża nocnego do tow. Woroszyłowa, w którym nadawca nazwał Stalina „chciwą bestią" i prosił kierownictwo partii o jak najszybsze pozbycie się jego „cuchnącego ciała" z Placu Czerwonego. W innym liście mieszkaniec Stalingradu błagał Mołotowa o osobiste zaopiekowanie się zwłokami wodza.

Smith pisze też o tych, którzy w bezpośredni sposób skorzystali na odwilży, czyli więźniach Gułagu. Niektórzy z nich, zwłaszcza wysoko postawieni przed aresztowaniem, po śmierci Stalina często wracali na ważne stanowiska, a nawet wspierali Chruszczowa w procesie destalinizacji. Ale sama likwidacja Gułagu miała jeszcze inny, przewrotny skutek. W połowie lat 50. „politycznych" więźniów było już tam niewielu, ok. 30 proc. Resztę stanowili pospolici przestępcy. Smith pisze więc o „pociągach grozy", którymi ci uwolnieni rozbitkowie społeczni wracali na zachód kraju, dopuszczając się po drodze morderstw, gwałtów i kradzieży.

Granice odwilży Chruszczowa stały się jasne, gdy już w listopadzie 1956 r. wysłał czołgi do tłumienia węgierskiego powstania. I choć pozwolił jeszcze Aleksandrowi Sołżenicynowi opublikować „Jeden dzień Iwana Denisowicza" opisujący życie w Gułagu, wkrótce znów wszystkich zmroziło. Dopiero po 1961 r. Chruszczow zezwolił na ujawnienie kolejnych zbrodni stalinowskich, ciało Stalina usunięto z Mauzoleum Lenina i pogrzebano wprost pod murami Kremla, a Stalingrad znów został Wołgogradem.

Krew na rękach

Polski historyk Andrzej Sowa zwraca uwagę na zasadniczy błąd Chruszczowa. W swoim referacie unikał on atakowania partii komunistycznej i radzieckiego ustroju za to, że pozwoliły Stalinowi na terror. Całą uwagę skupił na cechach charakteru dyktatora jako jedynej przyczynie „wypaczeń". Przekonywał, że wystarczy nie stawiać na czele partii osoby z dyktatorskimi zapędami i wszystko będzie w porządku.

Tymczasem mechanizmy prowadzące do dyktatury były „fabrycznie" wmontowane w radziecki system, z jego demokratycznym centralizmem na czele. I uniemożliwiały krytykę władz partyjnych oraz ich pokojową wymianę. Można powiedzieć, że Chruszczow zaatakował papieża Stalina, a nie rozdawanie odpustów.

Taubman, autor książki „Chruszczow. Człowiek i epoka", skupia się z kolei na tym, czego „w tym czterogodzinnym spektaklu", jak nazwał wygłoszenie referatu na XX Zjeździe, Chruszczow nie powiedział. Oskarżył Stalina o wiele zbrodni, ale zręcznie pomijał te, w które sam był zamieszany. W rzeczywistości entuzjastycznie uczestniczył w stalinowskim terrorze. A w samym referacie zdarzyło mu się napiętnować aresztowania ludzi, których sam wskazał do zamknięcia.

Chruszczow ukrywał swoją rolę w represjach. Świadczy o tym m.in. jeden z telegramów odnaleziony w archiwach Biura Politycznego KPZR przez historyka Jurija Żukowa. Chruszczow wysłał do Moskwy prośbę o zabicie lub uwięzienie ponad 30 tys. osób z Ukrainy, po tym gdy w 1938 r. został tam lokalnym gensekiem. Rok wcześniej, gdy był jeszcze szefem partii w obwodzie moskiewskim, wnioskował o rozstrzelanie prawie 9 tys. antyradzieckich „zdrajców" i zesłanie prawie 33 tys. do łagrów.

Chruszczow stracił władzę dopiero w 1964 r. – dwa lata po tym, jak doprowadził świat na skraj wojny atomowej podczas kryzysu kubańskiego. Po Chruszczowie rozpoczęła się kontrreformacja – 20-letnia era Leonida Breżniewa, w czasie której odwilż została cofnięta, a wokół nowego genseka dominowała grupa starych stalinowców. Oczywiście nie wszyscy zapomnieli o referacie Chruszczowa. Jednym z nich był Michaił Gorbaczow, który w 1956 r. studiował na Uniwersytecie Moskiewskim. Już po przejęciu władzy w 1985 r. chwalił swojego poprzednika za odwagę i proces destalinizacji.

Na grobie Chruszczowa na moskiewskim Cmentarzu Nowodziewiczym stoi pomnik wykonany z dwóch połączonych płyt – jednej z czarnego granitu, drugiej z białego marmuru. Jego autor Ernst Nieizwiestny już w latach 90. twierdził, że chciał w ten sposób podkreślić rolę zmarłego, który jego zdaniem wyprowadził ZSRR z mroków stalinizmu. Ale ten pomnik można czytać inaczej – kontrast między czernią a bielą symbolizuje dwie strony osobowości i politycznego dziedzictwa Chruszczowa. Był on bowiem, jak ujął to Jurij Żukow, „człowiekiem ludu z krwią na rękach".

Jeszcze inaczej paradoks Chruszczowa odczytał rosyjski pisarz Dmitrij Bykow. Opowiadał on anegdotę z czasów, gdy był nauczycielem. Otóż, tłumacząc uczniom, o co chodziło z XX Zjazdem KPZR, używał następującej analogii: wyobraźcie sobie Himmlera wygłaszającego antyfaszystowskie przemówienie na zjeździe nazistowskim po śmierci Hitlera.

ŁUKASZ WÓJCIK

Przy pisaniu tekstu korzystałem m.in. z cyfrowego archiwum Wilson Center.

© MONDADORI/GETTY IMAGES

eprasa.pl 6e74b318b5

Skala ocen: 1 (dno) – 6 (wybitne)

serial

Kraj dobry 4/6

Piekło kobiet, reż. Anna Maliszewska, 6 odc., HBO Max, od 6 marca

Niedawno Disney+ w „Breslau", swoim pierwszym polskim serialu, kryminale noir à la powieści Marka Krajewskiego, budował paralele między faszyzującymi się Niemcami w latach 30. XX w. a dzisiejszą Polską. Teraz do tej samej epoki i również w celu przyłożenia lustra współczesności wraca HBO Max. Akcja tym razem dzieje się w sanacyjnej Warszawie, a za historią tropienia grasującego w mieście seryjnego gwałciciela kryje się opowieść o pozbawianiu kobiet prawa do własnych ciał. Centrum wydarzeń jest pismo z ogłoszeniami matrymonialnymi „Fortuna Amandi". Poprzez zamieszczane tu anonse wabi ofiary Uczciwy Jan, ale gwałty odbywają się także w „porządnych" domach, sankcjonuje je państwo pospołu z Kościołem, a apostołkami patriarchatu nierzadko są same kobiety. Helena Wróblewska (**Agata Turkot**) jest jedną z nich. Nowoczesna w ramach, na jakie pozwala system: prowadzi auto, redaguje prowadzone przez męża (Mateusz Damięcki) pismo, ale w prawie do aborcji, postulowanym przez Boya-Żeleńskiego (Tomasz Sapryk), widzi sankcjonowanie zabójstwa. Dopiero własne doświadczenia zmienią jej podejście. Serial napisany przez Magdalenę Franczuk i Ewę Popiołek, wyreżyserowany przez Annę Maliszewską i wyprodukowany przez Ewę Puszczyńską tytułowe piekło kobiet pokazuje na wiele sposobów i – niczym w „Domu dobrym" Smarzowskiego, z którym łączy go także odtwórczyni głównej roli – z brutalnością odpowiadającą rzeczywistej przemocy. Towarzyszą jej równie dosadne odniesienia do współczesności. „Prokreacja w służbie kraju. A ciemny lud to kupi" – prawicowy polityk chwali pomysł medialnego ideologa Denara (Borys Szyc), któremu wróży karierę polityczną: „Może nawet zostanie prezydentem". W wątku obyczajowym nie brak przejmujących i świetnie zagranych scen, dużo gorzej wypada część kryminalna – tu rozwiązania fabularne bywają naiwne, a zachowaniom bohaterek i bohaterów bliżej do łzawego melodramatu.

ANETA KYZIOŁ

Droga przez chaos 4/6

Internat, według powieści Serhija Żadana, reż. Paweł Łysak, Teatr im. Jaracza w Łodzi

scena

Uznany pisarz, poeta, muzyk, dziś żołnierz i twarz ukraińskiej kultury w czasie wojny, pracę nad powieścią „Internat" rozpoczął po inwazji w 2014 r., jeżdżąc do miast odbijanych przez wojska ukraińskie z rąk rosyjskich separatystów. Rzeczywiste walki o Debalcewo stają się u Serhija Żadana scenerią apokaliptyczną, przez którą przebija się Pasza (**Sambor Czarnota**), nauczyciel języka określający się jako apolityczny: nie jest za nikim. Ale musi sprowadzić do domu siostrzeńca z tytułowego internatu znajdującego się teraz w centrum walk. I to doświadczenie go zmieni. Spektakl Pawła Łysaka jest grany na Scenie Kameralnej, przestrzeń jest ciasna, ciemna i zasnuta dymem. Poczucie oniryczności rodem z niemieckiego ekspresjonizmu potęgują powracający jak refren dwaj żołnierze z pobielonymi twarzami. Reżyser określa ich jako tricksterów – figury chaosu. Akcja może się dziać wszędzie, dotyczyć wojny prawdziwej, symbolicznej albo być metaforą czasów niepewności. Na pierwszy plan wybija się temat dorastania do odpowiedzialności za swoje wybory i za bezpieczeństwo innych, empatii, której wielu brakuje. To bardzo ważne dziś kwestie. Podczas spotkania z publicznością w Jaraczu Żadan bardzo chwalił ten zabieg uniwersalizacji swojej książki. Paradoksalnie jednak, zamiast przybliżać nam graniczne doświadczenie bohatera, może je ten pomysł oddalać, a wtedy łatwo o obojętność. AK

© AGNIESZKA JUREK-OPALIŃSKA, HAWA, KINO ŚWIAT, AMAZON, MAZOWIECKI URZĄD MARSZAŁKOWSKI

eprasa.pl 6e74b318b5

Obroża wolności 4/6

Dobry chłopiec (Good Boy), reż. Jan Komasa,
prod. Polska, Wielka Brytania, 110 min, w kinach od 6 marca

Anglojęzyczny „Dobry chłopiec" to chronologicznie pierwsza pełnometrażowa fabuła zrealizowana za granicą przez Jana Komasę (amerykańską „Rocznicę" Polak nakręcił później). Do nas ten prowokacyjny dramat o budzącym etyczne wątpliwości procesie reedukacji ulicznego ćpuna i chuligana dociera z łatką niemalże sensacji sezonu. Na wyspach pisano o szoku na miarę „Mechanicznej pomarańczy". Jednak estetycznie i fabularnie nie jest to dzieło aż tak wyrafinowane i emocjonalnie gorące. „Dobremu chłopcu" bliżej do chłodnego eksperymentu intelektualnego, ćwiczenia myślowego niż do poruszającego dogłębnie widowiska, w którym ważne są niuanse i psychologiczne relacje. Czuje się, że twórcy traktują to jak metaforę, mają do opowiadanej historii olbrzymi dystans, wydarzenia obserwowane są jakby przez grubą szybę, upośledzeni emocjonalnie bohaterowie zachowują się co najmniej dziwnie, czasami wręcz nienaturalnie, co utrudnia identyfikację z nimi. Ale może w filmie o obsesji kontroli tak to właśnie powinno wyglądać. Ważne, że „Dobry chłopiec" drażni, rodzi wiele pytań, poczynając od starego jak świat: „Czy cel uświęca środki?", po bardziej skomplikowane: o naturę zła, skuteczność systemu edukacyjnego, lewicowy fanatyzm. „Założyć komuś łańcuch na szyję, a potem poluzowywać dla jego własnego dobra, dawać mu więcej wolności, lecz nigdy tej obroży nie odczepiać. To jest clou tego filmu" – twierdzi reżyser. Lepiej się tego wyrazić nie da.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Zemsta pirata 3/6

Urwisko (The Bluff), reż. Frank E. Flowers,
prod. USA, Indie, 101 min, Prime Video

Dzieje piractwa to dla kina temat ryzykowny: bardzo widowiskowy, a jednocześnie zbyt łatwo wpadający w narracyjne koleiny, na dodatek wyjątkowo kosztowny, lecz obecnie rzadko przynoszący wymierne zyski (wyjątkiem w ostatnich dekadach była seria „Piraci z Karaibów"). Twórcy „Urwiska" przynajmniej próbowali przełamać schemat, osadzając akcję w połowie XIX w., jakieś sto lat po tzw. złotej erze piractwa – choć po prawdzie dla fabuły nie ma to większego znaczenia – główną bohaterką zaś czyniąc Ercell Bodden (**Priyanka Chopra**), która niegdyś była postrachem karaibskich mórz, a dziś dawne grzechy odpokutowuje w zaciszu wioski na Kajmanach. Przeszłość jednak się o nią upomina: okrutny kapitan Connor (**Karl Urban**) chce wyrównać z Ercell dawne porachunki, a żeby osiągnąć swój cel, jest gotów rozpętać piekło. „Urwisko" idzie ścieżką wytyczoną przed dekadą przez serial „Black Sails" (w Polsce pokazywany był pod możliwie najmniej oryginalnym tytułem „Piraci"): wizualną atrakcyjność stara się połączyć z brutalnym realizmem. Udaje się połowicznie. Film Franka Flowersa chwilami jest wciągający i bywa widowiskowy, nawet jeśli zbyt mocno polega na średniej jakości efektach specjalnych, lecz przy tym wydaje się wyprany z prawdziwych, ludzkich emocji. Efektowne pojedynki oraz jaskinie pełne pułapek, jakich nie powstydziłby się Kevin sam w domu, to cokolwiek za mało, żeby odświeżyć gatunek pirackiego kina starej przygody.

JAKUB DEMIAŃCZUK

galeria

Reanimacja, część I 4/6

Skarby wieków średnich oraz **Nad Wisłą, na Urzeczu**,
Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie,
wystawy czasowe

Chińczycy przez siedem lat potrafią zbudować nowe milionowe miasto. Tyle samo trwa remont podległego marszałkowi województwa mazowieckiego Muzeum Archeologicznego. I… potrwa jeszcze pewnie drugie tyle, bo gotowe są zaledwie dwa z czterech skrzydeł zabytkowego Arsenału. Zrezygnowanym miłośnikom wykopalisk zafundowano na pocieszenie dwie wystawy czasowe w odrestaurowanej części. Pierwsza traktuje o biżuterii z czasów średniowiecza. Od tej z brązu po srebrną i złotą. W pełnym wachlarzu zdobienia, od pierścieni i naszyjników, przez zawieszki, sprzączki, po ozdobne… minitoporki. Nie ma tu spektakularnego efektu skarbu średzkiego, ale w końcu biedne średniowieczne Mazowsze to nie bogaty Dolny Śląsk. Wystawa druga, bardziej zróżnicowana, opowiada o materialnej kulturze Urzecza, obszaru nad Wisłą, obejmującego dzisiejszą Warszawę i rejon na południe od niej. Mamy tu tzw. skarb z Wilanowa i relikty kultury świderskiej, broń, przedmioty użytku domowego, ale też wyposażenie grobu przypisywanego komesowi Magnusowi (syn angielskiego króla Harolda II) i model szkuty wiślanej sprzed ponad 500 lat. Jak na obcowanie z przeszłością przystało, ekspozycje przygotowano zgodnie ze starymi dobrymi tradycjami muzealnictwa: przejrzyście, rzetelnie, „po bożemu", bez żadnych aranżacyjnych szaleństw.

Słowiańskie kabłączki skroniowe, jedne z najcenniejszych eksponatów na wystawie „Skarby wieków średnich"

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 6e74b318b5

Krymczanie 5/6

Anastasija Lewkowa, **Imiona Krymu**, przeł. Joanna Majewska-Grabowska, Wydawnictwo KEW, Wojnowice 2026, s. 540

Książka Anastasii Lewkowej opowiada o tożsamości i historii, o krymskich Tatarach i innych Krymczanach od lat 90. XX w. do aneksji Krymu w 2014 r. Czyta się ją miejscami nie jak powieść, tylko pamiętnik pozostający blisko życia. Tymczasem Lewkowa łączy fikcję i fakty, ta opowieść jest gęsta, czasem wręcz przytłaczająca, ale przede wszystkim bogata. Oksana ma korzenie rosyjskie, w jej domu nie lubiono krymskich Tatarów, wspominano czasy radzieckie, a dziadek, jak się późno dowiedziała, był w NKWD, a potem w KGB. Tymczasem ją ciągnęło do wspólnoty krymskich Tatarów, do domu przyjaciółki. Oksana coraz mocniej wchodzi w ich kulturę i język, w traumę pamięci o deportacjach z 1944 r., ale też nie czuje się do końca „swoja". Bada zawodowo wielokulturową społeczność Krymu. I kiedy wkracza historia, cała jej praca wydaje się zaprzepaszczona. W tej powieści przy stole roztrząsa się najważniejsze kwestie polityczne i społeczne, dyskutuje się o języku rosyjskim, sile oddziaływania ruskiego miru i kultury imperialnej. W tle toczy się historia, Majdan, referendum. Agenci bezpieki zastraszają i werbują jak w ZSRR. Czy Ukraina o nas zapomniała? – pyta bohaterka. Wielkie zalety tej panoramy to bliskość życia, obfitość kolorów i smaków, miłość – bohaterka jest też rozdarta między dwoma mężczyznami. Jednak najpoważniejsze kwestie dotyczą tożsamości, przeszłości rodzinnej, kryjących zagadki, które znają tylko agenci FSB. Tożsamość jest tutaj jednak przestrzenią wyboru, nie determinuje jej przeszłość. Ta historia nie ma zakończenia, toczy się dalej.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Krzyżowcy w kosmosie 4/6

Poul Anderson, **Podniebna krucjata**, przeł. Jarosław Kotarski, Rebis, Poznań 2026, s. 184

W XIV w., gdzieś na angielskiej prowincji, ląduje statek kosmiczny Wersgorów planujących kolonizację Ziemi. Nic z tego – wierne królowi rycerstwo nie tylko bezlitośnie gromi obcych, lecz także przejmuje ich pojazd, by udać się na wojnę z Francuzami. Co prawda zamiast do Francji trafiają do innego układu planetarnego, ale zapał bojowy się przyda, by rzucić wyzwanie złowrogiemu galaktycznemu imperium. Brzmi, jakby grupa Monty Pythona próbowała po swojemu nakręcić „Gwiezdne wojny", ale Poul Anderson opublikował tę książkę w 1960 r., na długo przed pojawieniem się Pythonów, nie mówiąc już o filmach George'a Lucasa. A choć powieść ma humorystyczny potencjał, pod tą wierzchnią warstwą gatunkowego żartu kryje się zaskakująco poważna refleksja na temat wojennej ekspansji i chciwości rodzaju ludzkiego. Anderson był Amerykaninem i choć zastosował historyczny i europejski kostium, jego proza była odbiciem czasów pełnych niepokoju. Stany Zjednoczone już angażowały się (choć nie na pełną skalę) w Wietnamie, zimnowojenna rywalizacja z Sowietami wchodziła w coraz ostrzejszą fazę, widmo kolejnego globalnego konfliktu nie było już wyłącznie tematem fantastycznych powieści. „Podniebna krucjata" próbowała rozbrajać lęki tamtych czasów, jednak mimochodem wpisała się w bardzo prężny wówczas nurt antywojennej fantastyki.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Sztuka patrzenia 5/6

Laura Cumming, **Grom z jasnego nieba. Opowieść o sztuce, życiu i nagłej śmierci**, przeł. Anna Sak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 328

„Dopóki ta kobieta z Rijksmuseum/ w namalowanej ciszy i skupieniu/ mleko z dzbanka do miski/ dzień po dniu przelewa,/ nie zasługuje Świat/ na koniec świata". To oczywiście Wisława Szymborska o słynnym dziele Vermeera. Laura Cumming, córka szkockiego malarza Jamesa Cumminga, ogląda sztukę z podobną uważnością i przejęciem. I również jest to przede wszystkim sztuka holenderska, z początku intuicyjnie zachwycająca, z czasem kontemplowana, zawsze odkrywana na nowo. Cumming pisze, że obraz zmienia się razem z patrzącym, wzrok ściągają za każdym razem inne detale, emocje, nastroje. Inaczej oddziałują pocztówki, reprodukcje i malunki zgrupowane w muzeach. Ale i nie są to tylko artefakty do oglądania. Szczególnie bliski jest autorce Carel Fabritius, jeden z uczniów Rembrandta, outsider, autor tuzina zachowanych dzieł. Jedno z nich odnalazło się w Warszawie, czytelnik zapewne popędzi je zobaczyć („Wskrzeszenie Łazarza" w Muzeum Narodowym). Fabritius tak jak Rembrandt wżenił się w bogatą rodzinę, ale szybko został sam – żona i dzieci zmarły. W krótkim życiu długo doświadczał żałoby i choć szkolił się u mistrza, był twórcą osobnym, eksperymentującym, nowoczesnym. Cumming ożywia postacie i obrazy, snuje przekonujące, a przynajmniej atrakcyjne hipotezy, przybliża konteksty, ale i zadaje kłam przesądom na temat holenderskich artystów. To nieprawda, pisze, że dokumentowali tylko to, co widzieli. Na przykład Jacob van Ruisdael kapitalnie zmyślał. Cumming nie ukrywa swoich afektów, łączy sztukę z życiem i maluje słowami tak, że przed oczami zamieniają się w obrazy.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

eprasa.pl 6e74b318b5

komiksy miesiąca

Śmiesznie i strasznie

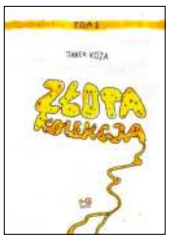

Rysunki **Janka Kozy** od lat pojawiają się na łamach POLITYKI, więc część prac z drugiego tomu **„Złotej kolekcji" (Kultura Gniewu, 5/6)** na pewno wyda się państwu znajoma. Jednak powtórna lektura rysunkowym żartom naszego autora nie szkodzi: przeciwnie, udowadnia, że to twórca wyjątkowo wyczulony na absurdy codzienności, kłamstwa serwowane przez polityków i życiowy chaos, z jakim musimy sobie na co dzień radzić. Te żarty, przyswajane w dużych ilościach, mogą wywołać niekontrolowane ataki śmiechu. Często jednak będzie to śmiech przez łzy, bo portret Polski i Polaków rysowany ręką Kozy jest może karykaturalnie koślawy, a przez to jeszcze bardziej prawdziwy.

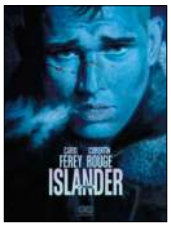

Pierwszy tom **„Islandera" (scenariusz: Caryl Férey, rysunki: Corentin Rouge, przeł. Jakub Syty, Non Stop Comics, 3/6)** zarzuca interesującą przynętę – oto Europa nieodległej przyszłości, gdy prawie wszyscy będziemy uchodźcami. Polityczny ferment i katastrofy naturalne sprawiły, że Islandia wydaje się jednym z ostatnich bezpiecznych schronień, lecz nie jest chętna do przyjmowania kolejnych fal uchodźców. Wśród uciekinierów znajduje się Liam, gotowy na wszystko, by dostać się na wyspę – i zostanie wplątany w aferę, która przerasta jego wyobrażenia. „Islander" jest świetny jako gorzka wizja upadku cywilizacji i bardzo przeciętny jako thriller, podążający narracyjnymi ścieżkami, które już dawno wytyczyły serie political fiction, jak „XIII", lub post-apokaliptyczne, jak „Snowpiercer".

Główny bohater serii **„Ta teksańska krew" (scenariusz: Chris Condon, rysunki: Jacob Phillips, przeł. Bartosz Czartoryski, KBOOM, 4/6)**, starzejący się szeryf pustynnej pipidówy, rozmyśla o nieuchronnej emeryturze, ale najpierw musi się uporać z zamieszaniem, jakie wywołuje zabójstwo lokalnego rozrabiaki oraz powrót do miasteczka – po latach nieobecności – jego brata. Amerykański komiks mainstreamowy wpada w rutynę, lecz nowy (na polskim rynku – bo w USA wystartował w 2020 r.) cykl ogrywa sprawdzone klisze bardzo sprawnie, mieszając klimat neowesternu z podszytą fatalizmem ironią niczym z filmów braci Coenów. Solidny thriller z dobrze poprowadzoną akcją, intrygującymi postaciami i przystępną oprawą graficzną pozwala z nadzieją obserwować karierę scenarzysty Chrisa Condona, dla którego był to pierwszy tak znaczący oryginalny projekt.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© KATYA MOSKALYUK, MP (7)

muzyka

Bono z gazety 3/6

U2, **Days of Ash**, Island

Krótka nowa płyta zespołu U2 zapowiada dłuższą i planowaną najpewniej na koniec roku. Zawiera sześć utworów, zebranych trochę kluczem działu zagranicznego w tygodniku opinii, z tekstami na temat zabitej w Minneapolis Renée Good, pobitej na śmierć podczas irańskich protestów nastoletniej Sariny Esmailzadeh, a wreszcie Awdaha Hathaleena, palestyńskiego konsultanta głośnego dokumentu „Nie chcemy innej ziemi", którego zamordował izraelski osadnik. Zawiera też charakterystyczne dla liryki Bono zdystansowane zaangażowanie z nawoływaniem do przerwania cyklu przemocy. Nie zawiera za to nowych odkryć muzycznych: piosenki są zgaszonymi dynamicznie rockowymi nagraniami, a produkcji, za którą odpowiedzialny jest Jacknife Lee, brakuje świeżości. Jedynym nowym odkryciem może być fakt, że U2 wspólnie z Edem Sheeranem (w utworze „Yours Eternally") brzmią dokładnie jak Coldplay. Jest to więc materiał, który oddanych fanów może ucieszyć, ale jego jednorazowość nie wróży dobrze kolejnej płycie.

BARTEK CHACIŃSKI

REKLAMA

MUZEUM WARSZAWY 90 LAT 1936—2026

ALEKSANDER MINORSKI

Fotografia to interwencja

WYSTAWA 19.03 —— 6.09.2026
Rynek Starego Miasta 32

muzeumwarszawy.pl

CENTRUM FOTOGRAFII

instytucja kultury miasto stołecznego Warszawy

Współfinansowanie

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa

Patroni medialni

POLITYKA

TVP 3 WARSZAWA

TVP I info_

tokfm

Partner edukacji Muzeum Warszawy

PGE

Na stulecie urodzin wybitnego polskiego reżysera przypominamy 10 najważniejszych i najgłośniejszych scen z jego filmów.

Kadry Wajdy

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Zmarły w 2016 r. Andrzej Wajda był – jak o nim pisaliśmy – ostatnim wielkim romantykiem polskiej kultury. Dla kina porzucił studia malarskie na ASP, ale w swoich filmach opowiadał o dylematach powojennej Polski obrazami. I takie zestawienie najbardziej pamiętnych scen z jego filmów proponujemy jako formę przypomnienia tej wyjątkowej filmografii przed obchodzoną 6 marca setną rocznicą urodzin reżysera. Prosimy pamiętać, że te obrazy z kina Wajdy to nie jest ranking najlepszych filmów mistrza, a poniższa dziesiątka ułożona jest w porządku chronologicznym.

1. Kraty z widokiem na Wisłę („Kanał", 1956 r.)

Tadeusz Janczar i Teresa Iżewska wpatrzeni w kratę u wylotu kanałów do Wisły – to symboliczny koniec powstania jako zwycięskiego mitu. Obraz Polski podziemnej dosłownie i w przenośni pozbawionej złudzeń i nadziei na przetrwanie. Czerń kanału kontra światło rzeki, do której nie ma dostępu – stało się to jedną z najsilniejszych metafor końca, politycznej i egzystencjalnej pułapki, z której nie ma wyjścia. Kanały zostały na potrzeby filmu wybudowane w Łodzi. Wypełnione wodą i specjalnym szlamem, genialnie sfilmowane przez Jerzego Lipmana i Jerzego Wójcika, przedstawiały się na tyle wiarygodnie, że amerykańscy recenzenci zachwycali się dziełem, gratulując scenarzyście surrealistycznej wyobraźni. O realizacji „Kanału" zadecydował Tadeusz Konwicki, szef literacki zespołu „Kadr", który dał opowiadanie Jerzego Stawińskiego Wajdzie i zrobił wszystko, aby ten film powstał. Polska premiera wywołała furię powstańców. Zarzucano Wajdzie, że „utytłał bohaterów w błocie i gównie". Dopiero sukces w Cannes uświadomił Polakom, że reżyser podniósł ich klęskę do rangi uniwersalnej tragedii.

2. Płonące kieliszki („Popiół i diament", 1958 r.)

Scenariusz tego nie przewidywał. Pomysł zrodził się spontanicznie w głowie Janusza Morgensterna, pełniącego funkcję drugiego reżysera. Zamiast zwykłej scenki rodzajowej picia wódeczki do śledzika powstało coś w rodzaju świeckiego obrzędu dziadów, upamiętniającego los pokolenia Kolumbów. Wajda zamienił ołtarz na lustrzany kontuar barowy, a znicze na kieliszki ze spirytusem. Tą sceną w symboliczny sposób obaj oddali hołd członkom AK walczącym na różnych frontach, przez stalinowską propagandę nazywanym zaplutym karłem reakcji.

eprasa.pl 6e74b318b5

Oraz zarysowali przyszłość żołnierzy wyklętych – w czym czuło się powiew greckiej tragedii. W 1958 r. m.in. tym poetyckim obrazem, będącym adaptacją powieści Jerzego Andrzejewskiego, Wajda przywracał pamięć bohaterów, ale i rzucał bezkompromisowe wyzwanie cenzurze. Zbigniew Cybulski nie pił alkoholu przy nagrywaniu tej sceny (zresztą zamiast spirytusu ostatecznie użyto benzyny), ale tak głęboko wszedł w rolę, że ekipa płakała na planie. Kontrowersje dotyczyły też muzyki – piosenka „Czerwone maki na Monte Cassino" była wówczas w PRL wciąż niemal zakazana, a Wajda przemycił ją jako tło dla wzmocnienia wrażenia.

3. Śmierć na wysypisku („Popiół i diament", 1958 r.)

To agonia zwierzęcia na wysypisku, zastygającego w formie embrionu, która brutalnie pointuje bezużyteczność romantycznego gestu w nowej, komunistycznej rzeczywistości. Powiewające płótna białych prześcieradeł wydają się tu jak czysta karta historii, którą Maciek Chełmicki, zastrzelony przez trzech żołnierzy nowej władzy, plami swoją krwią (co symbolizuje barwy narodowe) – bezsensownie i ostatecznie. Wajda wspominał, że szukał metafory „odrzucenia przez historię". Pomysł z długą, upodlającą śmiercią na śmietniku był szokujący dla ówczesnej publiczności, która uważała, że żołnierzowi AK należy się śmierć godna. Zachwycona natomiast była cenzura – zobaczyła w tym triumf komunistycznego porządku i potwierdzenie wizji upadku wszystkiego, co się wiązało z ruchem oporu i przedwojenną Polską. Dlatego, aby przemycić właściwy sens, doskonale zdając sobie sprawę z dwuznaczności tej sceny, reżyser do końca upierał się przy jej biologicznym brudzie. Budząca skrajne emocje, dziś należy do najczęściej cytowanych m.in. przez innych klasyków kina: Kurosawę i Scorsese.

4. Bieg wśród koni („Wszystko na sprzedaż", 1968 r.)

Wykorzystując miłość Daniela Olbrychskiego do koni, Wajda stworzył kilka niezapomnianych, wizjonerskich obrazów, symbolizujących ducha wolności z udziałem tych zwierząt. Być może chcąc zatrzeć fatalne wrażenie po „Lotnej" (1959 r.), po której oskarżono go, że ośmiesza polską kawalerię i przegraną kampanię wrześniową, zgodził się na wysuniętą przez Olbrychskiego propozycję, by nagrać dziką gonitwę za stadem koni w filmie poświęconym żałobie po śmierci Zbyszka Cybulskiego. Ponieważ „Wszystko na sprzedaż" było wielką improwizacją, w której aktorzy grali samych siebie, dzieląc się wspomnieniami, przemyśleniami i wyrzutami sumienia, Wajda bez wahania podchwycił ten pomysł. Finałowy bieg Daniela wśród koni pointuje i nadaje filmowi ogólniejszy wymiar, wyprowadzając go z mrocznej atmosfery w stronę światła. „Gdy to fotografowaliśmy, zauważyłem, że postać Daniela tworzy na ekranie takie strzępy, zamazania. On się w oczach reżysera rozpływa – mówił Wajda w wywiadzie dla miesięcznika „Kino" – już go dokładnie nie widać, tylko cień kogoś, kto ni to się rodzi, ni to ginie... i tak kończy się film, jak urwana w aparacie projekcyjnym taśma". Z kolei w „Weselu" (1972 r.) pojawia się inna magiczna scena z Olbrychskim – opłakiwania przez Pana Młodego umierającego konia. Towarzyszy temu muzyka Chopina.

5. Ja nie mam nic, ty nie masz nic... („Ziemia obiecana", 1974 r.)

„Reymont opisał ludzi, którzy tworzyli drugi obok romantycznego nurt naszej historii. Bez nich, bez ich fabryk, bez robotników, którzy tam pracowali w strasznych warunkach, nie byłoby tego, co jest dziś. Wydawało mi się, że trzeba pokazać te tradycje przemysłu – ale i przemocy, i walki robotniczej" – tłumaczył Wajda, dlaczego bierze się do „Ziemi obiecanej". Film o ludziach dążących do zdobycia pieniędzy za wszelką cenę okrzyknięto kwintesencją polskiego kapitalizmu. Polak, Niemiec i Żyd, zanim doszli do bogactw, byli tkaczami, majstrami, drobnymi kupcami, ale udało im się zbudować wielką potęgę tylko siłą charakteru. Byli drapieżni, bezwzględni, ale też pełni nieoczekiwanych pomysłów, co doskonale potrafili wyrazić grający ich aktorzy: Daniel Olbrychski, ▶

© ADAM WARZAWA/PAP, EAST NEWS (2), YOUTUBE.COM/@EDUKACJASPOJRZENIA, RENATA PAJCHEL/WFDIF

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ Andrzej Seweryn, Wojciech Pszoniak. Chemia między nimi była tak silna, że Wajda niemal nie musiał ich reżyserować. Scena, gdy stoją razem w plenerze, tryskając energią i pewnością siebie, nie mając grosza w kieszeni, stała się symbolem witalności tamtych czasów, sprytu i przyjaźni, która łamiąc bariery narodowościowe, językowe, obyczajowe, przyniosła zdumiewający sukces nie tylko Borowieckim, Baumom, Weltom, Łodzi, ale i samemu Wajdzie. Mimo absurdalnych oskarżeń o antysemityzm (co uniemożliwiło mu otrzymanie Oscara) reżyser ugruntował na światowej arenie swoją pozycję geniusza z Polski.

6. Gorąca cegła w Nowej Hucie („Człowiek z marmuru", 1976 r.)

Mateusz Birkut, młody i pełen pasji murarz w Nowej Hucie, uczestniczy w pokazowym biciu socjalistycznego rekordu w układaniu cegieł. Gdy ktoś mu podrzuca rozpaloną, gorącą cegłę, która poparzy jego dłonie, nie rozumie, dlaczego do tego doszło. W końcu domyśla się, że padł ofiarą brutalnej manipulacji w propagandowej machinie stalinowskich władz, wykorzystującej jego naiwność. Scena sygnalizuje kryzys zaufania i początek refleksji klasy robotniczej nad totalitarnym ustrojem, który w teorii miał służyć proletariuszom, tymczasem zbudował peerelowskie więzienie. „Za co nas mogą nie lubić?", „dlaczego?" – to pierwsza reakcja oszukanego bohatera. Jego pytania i późniejsze przejście na stronę opozycji skutkują utratą pracy, mieszkania, a także represjami. Dodatkowo scena ta ma wymiar humanistyczny i etyczny – pokazuje napięcie między potrzebą pracy i lojalnością wobec przyjaciela a bezwzględnymi wymogami państwa. Cegła staje się metaforą solidarności, ceny za kolaborację i (nie)moralnych wyborów jednostki w systemie opresyjnym. Fakt, że Birkut później używa również cegły, by uderzyć nią w okno Urzędu Bezpieczeństwa, ilustruje narodziny jego świadomości i niezgody na ideologiczne kłamstwo.

7. Wewnętrzne życie panien z dworu („Panny z Wilka", 1979 r.)

Sceny miłosne pojawiają się w twórczości Wajdy stosunkowo rzadko, ale ta z udziałem Daniela Olbrychskiego w roli zarządcy gospodarstwa klasztornego w Stokroci pod Warszawą, z Julcią, jedną z sióstr oczekujących go w folwarku Wilko, graną przez Annę Seniuk, wydaje się wyjątkowa. To jakby powtórzenie intymnej sytuacji sprzed 15 lat, kiedy mężczyzna, pomyliwszy pokoje, przypadkowo znalazł się w jej łóżku i oboje udawali wtedy, że śpią. „Tak to żeśmy grali", mówi w tej bardzo lirycznej scenie, prowokując do ponownego zbliżenia. Atmosferę buduje wspomnienie, Julcia kładzie głowę na jego kolanach, przez moment wydaje się, że coś się wydarzy, ale próba okazania szczerości kończy się fiaskiem. „Panny z Wilka" to poemat o przemijaniu, goryczy wypalenia, wycofaniu. O odgrzebywaniu czegoś istotnego z dzieciństwa. Ważne są tu wartości. „Te kobiety wiedzą dokładnie, czego nie wolno im przekroczyć. Ale wyrażenie tego na ekranie nie było łatwe" – notował reżyser, zanurzający się kolejny raz w melancholii i niezwykłej wyobraźni Jarosława Iwaszkiewicza.

8. Wyjście z dziećmi z getta („Korczak", 1990 r.)

Zrealizowany na czarno-białej taśmie wojenny dramat skupia się na ostatnich latach życia Janusza Korczaka, żydowskiego pisarza i opiekuna dzieci w warszawskim getcie, który dobrowolnie poszedł ze swymi wychowankami na śmierć w Treblince. Wajdowski projekt filmu o Korczaku dojrzewał całe lata 80. XX w., powstało kilka wersji scenariusza, planowano nawet wielonarodową produkcję z Richardem Dreyfusem w głównej roli. Ostatecznie Korczaka zagrał Wojciech Pszoniak, kreując w ten

eprasa.pl 6e74

sposób jedną z najbardziej przejmujących i tragicznych postaci w swoim dorobku. Słynny marsz dzieci na Umschlagplatz pozostał jedną z najbardziej wstrząsających scen w polskim kinie. Szanse na międzynarodowy triumf filmu zaprzepaściła bezzasadna krytyka francuskich recenzentów filmowych, którzy kolejny raz niesłusznie zarzucili Wajdzie antysemityzm. Tymczasem w Izraelu film był wyświetlany w szkołach.

9. Nowy wzór poloneza („Pan Tadeusz", 1999 r.)

Jedna z najbardziej ikonicznych i mitotwórczych scen nakręconych przez Andrzeja Wajdę. W poemacie Adama Mickiewicza polonez podsumowuje dzieje bohaterów, tradycji szlacheckiej, stając się znakiem trwania narodowej tożsamości oraz przekazu wartości. Z drugiej strony w XX w. znaczył w polskiej sztuce coś zupełnie innego. Nie wspólne „kochajmy się", ale niemożność działania. U Malczewskiego i Wyspiańskiego był tańcem z zaklętego kręgu, symbolem sytuacji bez wyjścia. We wcześniejszym wajdowskim „Popiele i diamencie" polonez tańczony przez pijanych uczestników balu w takt sfałszowanych dźwięków staje się karykaturą jedności narodowej. W ekranizacji „Pana Tadeusza" wręcz przeciwnie – to symbol pojednania, ocalenia tradycji oraz elegancji dawnej Polski. Ale wzięty w cudzysłów za sprawą

odniesień do tragicznej przeszłości – upadku Rzeczpospolitej, rozbiorów, paryskiej emigracji, za które odpowiedzialność ponoszą m.in. charaktery przedstawione w filmie. Być może, kończąc film barwnym korowodem, reżyser sugeruje, że ta idealna Polska istnieje już tylko w sferze marzeń i poezji. Muzyka Wojciecha Kilara stała się natychmiastowym hitem studniówek, co paradoksalnie sprowadziło tę metafizyczną scenę pod strzechy.

10. Rozstrzelanie polskich oficerów („Katyń", 2007 r.)

Wajda złamał tym filmem największe tabu polityczne Polski Ludowej. Przez ponad pół wieku nie mogło się ukazać nic, co by sugerowało, że Katyń był zbrodnią sowiecką. Finałowa, kulminacyjna sekwencja, zrealizowana z ogromnym pietyzmem historycznym i wielkim ładunkiem emocjonalnym, przywołuje duchy z przeszłości, żeby je oswoić, gdyż – jak tłumaczył mistrz – duchy nie dadzą nam spokoju, nie opuszczą nas, nie przestaną

straszyć, dopóki się nie zmaterializują. Jak powstańcy w „Kanale". Jak Maciek Chełmicki w „Popiele i diamencie". Zdjęcia do scen egzekucji kręcono m.in. na poligonie w Wesołej, który zagrał las katyński. Ekipa filmowa dokładała starań, aby odtworzyć realia na podstawie zeznań świadków i wyników ekshumacji. Wajda zrekonstruował dwa główne sposoby mordu stosowane przez NKWD: rozstrzeliwanie bezpośrednio nad dołami śmierci oraz egzekucje w piwnicach. Scena pokazuje związane ręce, płaszcze narzucane na głowę opornym, krótką modlitwę i strzał w tył głowy. Dla Wajdy było to również osobiste rozliczenie – jego ojciec, Jakub Wajda, kapitan 72. Pułku Piechoty w Radomiu, został zamordowany przez Sowietów w Charkowie, nie w Katyniu, i pogrzebany w bezimiennej mogile zbiorowej na Piatichatkach, ale mechanizm zbrodni był ten sam.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

© EAST NEWS (2), RENATA PAJCHEL/WFDIF, PIOTR BUJNOWICZ/FABRYKA OBRAZU/FORUM, MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

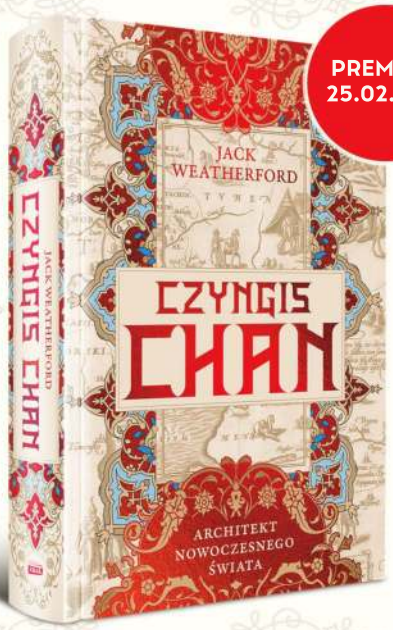

PREMIERA 25.02.2026

Z chaosu – porządek. Z wojen – postęp.

JACK WEATHERFORD
CZYNGIS CHAN
ARCHITEKT NOWOCZESNEGO ŚWIATA

„Spośród budowli o trwałym charakterze Czyngis-chan pozostawił po sobie jedynie mosty. Miał w pogardzie napotkane po drodze zamki, forty, miasta i mury obronne, wzniósł jednak więcej mostów niż jakikolwiek inny władca w historii."

eprasa.pl 6e74b318b5

Męskie Granie: Daria Zawiałow, Dawid Podsiadło i Vito Bambino w rekordowym utworze wyprodukowanym przez Żywiec

Markowe hity

Muzyka z reklam to coś, co chcąc nie chcąc, znamy wszyscy. Co jednak, jeśli za chwilę każdy usłyszy coś innego? I czy będzie jeszcze w tym miejsce dla żywego kompozytora?

KRZYSZTOF NOWAK

Coś zdarzyło się w krajowej muzyce po raz pierwszy. Dopiero w drugiej połowie stycznia 2026 r. polski nierapowy utwór osiągnął pułap 100 mln odsłuchów w serwisie Spotify. Tym osiągnięciem może się pochwalić „I Ciebie też, bardzo", czyli piosenka nagrana przez Darię Zawiałow, Dawida Podsiadłę i Vito Bambino. Najłatwiej skwitować sprawę tak: największe nazwiska wynoszą do góry algorytmy, więc we trójkę musieli w końcu przebić magiczną barierę. Warto jednak zwrócić uwagę na dwa inne powody. To tzw. utwór-wszystko pod względem muzycznym i biznesowym. Jest jednocześnie nowocześnie popowy i wystylizowany na lata 80. Jednocześnie balladowy i epicki. Jednocześnie optymistyczny i melancholijny. No i jednocześnie napisany przez artystów od serca i sprezentowany przez markę Żywiec.

Tak, choć specjalizuje się w produkcji piwa, od półtorej dekady organizuje ona koncerty z gigantami piosenki i dobrze rokującymi artystami w całej Polsce, a przy tym wypuszcza w ramach akcji Męskie Granie także nową muzykę, na czele właśnie z tzw. hymnami tej imprezy, jak „I Ciebie też, bardzo". Dla Żywca ten streamingowy sukces jest zarówno nagrodą za wytrwałość w inwestowaniu środków w promocję przez muzykę, jak i potwierdzeniem słuszności wyboru strategii marketingowej. Dla artystów to zaś bonus za współpracę przynajmniej teoretycznie podwyższonego ryzyka.

W październiku zeszłego roku z kryzysem wizerunkowym mierzył się bowiem PRO8L3M. Rapowy duet wypuścił nową wersję „Pocałuj noc" z Anitą Lipnicką, a przy okazji własne karty debetowe – w porozumieniu z Alior Bankiem – co spotkało się z ogólnopolską krytyką i oskarżeniami o „sprzedanie się". Tworzący tandem Oskar i Steez długo gasili ten pożar. Jeszcze w styczniu opublikowali zbiór informacji na temat pieniędzy i ich obiegu z partnerem merytorycznym, którym została Fundacja Instytut Edukacji Ekonomicznej im. Ludwiga von Misesa.

A może PRO8L3M miał zwyczajnie pecha? Muzyczno-markowy *content marketing* stał się już codziennością, więc rzadko oburza. Gdyby było inaczej, już w 2023 r. podniosłoby się więcej negatywnych głosów związanych z singlem „Syn okiennika". Tamten utwór braci Kacperczyk i Artura Rojka, poświęcony ojcu tych pierwszych, wspierała marka whisky Grant's. Trudno jednak w takich sytuacjach przewidzieć reakcje fanów, podobnie jak pomysły samej branży reklamowej, która nie powiedziała jeszcze na pewno ostatniego słowa.

Gonić Zachód

– *Porównanie polskiego i zagranicznego rynku reklamowego w kontekście muzyki nie jest wcale proste* – zaznacza Piotr Ćwikliński, managing director & EMEA

eprasa.pl 6e74b318b5

licensing director agencji MassiveMusic, specjalizującej się w identyfikacji dźwiękowej marek. Zależy bowiem, co porównujemy.

Według Ćwiklińskiego jesteśmy regionalnym liderem mającym jednak trudności z graniem w jednej lidze zarówno z olbrzymami z innych części świata, jak i liderami europejskimi: Niemcami, Wielką Brytanią czy Francją. Nasze budżety są niższe, ale mamy pewną przewagę konkurencyjną. Jest nią wysoka jakość – także ta muzyczna – za rozsądną cenę. Jak mówi, Polacy są kreatywni i szybcy w realizowaniu zleceń. To sprawia, że rodzime agencje reklamowe i domy produkcyjne obsługują klientów z Europy Środkowej i Wschodniej, a czasem marki tworzą u nas spoty na kontynent i świat. W samym kraju brakuje jednak świadomości, że dopracowana strategia muzyczna firmy może jej dać biznesowy sukces. Na razie cieszy się więc ze stworzenia takiej strategii dla polskiego oddziału IKEA, Audioteki czy BLIK-a.

O dokonanej już zmianie w podejściu mówi za to Piotr Jarecki, director of production music for advertising & music supervisor w Jaguarec, rozpoznawalnym butiku kreatywno-muzycznym. Firmy coraz częściej oczekują kompleksowych rozwiązań. Składają się na nie m.in. wsparcie w konsultacjach muzycznych, przygotowanie kompozycji czy clearing praw do utworów. Sam rynek jest zaś wymagający. Marki coraz częściej chcą, by piosenki były nie dopełnieniem reklam, lecz ich pełnoprawnym i jakościowym elementem. To rodzi potrzebę używania hitów i świadomego dopasowania brzmienia do charakteru działań.

Marika Koasidis, założycielka agencji kompozytorów muzyki filmowej i reklamowej Uszy-te Studio, przytacza zaś słowa Włodzimierza Szadzińskiego z Sony Music Entertainment Poland. Mówi on, że co prawda polski rynek reklamowy jest mniejszy niż niemiecki, lecz notuje stabilny wzrost 3–4 proc. rok do roku. Nie byłoby tego stałego wzrostu, gdyby nie artyści muzyczni. I nie chodzi tylko o wspominane już postaci z pierwszych stron gazet, jak Dawid Podsiadło współpracujący z Crédit Agricole czy piosenkarka Kasia Moś długo współpracująca z LINK4.

Stare w nowym

– *Podejście artystów do reklam znacząco się zmieniło* – twierdzi Paweł Leszoski, sync licensing manager & A&R we wspomnianym Jaguarec. Wśród przyczyn wymienia i ogromną konkurencję, utrudniającą wyróżnienie się na szeroką skalę, i mniejsze znaczenie sprzedaży płyt. W tych okolicznościach synchronizacja muzyki (jej sprzedaż do form wizualnych: filmów, reklam czy gier) to oczywiste źródło i tantiem, i dochodów, więc łatwiej nakłonić kogoś do współpracy niż jeszcze kilka czy kilkanaście lat temu.

Zdaniem Marianny Kosch, senior music creative w MassiveMusic, twórcy muzyki cechują się też większą świadomością własnych poczynań. Zwracają zatem uwagę na wartości marki, żeby pozostać wiarygodnymi dla odbiorców. To także wpływa na coraz większą artystyczną niechęć do robienia zachowawczej masówki. Oczywiście w autorskich projektach przodują ci mocniejsi artyści muzyki reklamowej, lecz zlecenia czy współprace nie są zarezerwowane tylko dla nich. Jak ujawnia Krzysztof Sulenta, również senior w MassiveMusic, jego firma aktywnie poszukuje nowych postaci. Liczba odsłuchów nieznanych i mniej znanych utworów zaś sprawia, że pracownicy stają się kimś w rodzaju A&R-ów, czyli ludzi odpowiadających m.in. za wyszukiwanie talentów.

Co może pomóc specjalistom w podjęciu decyzji? Roch Poliszczuk, head of sync & music publishing z Jaguarec, wskazuje na wielogatunkowość działań artysty. W przypadku odpowiednio elastycznych muzyków rozpoznawalność to miły, ale jednak dodatek, bo ostatecznie chodzi o to, by obrazek łączył się z dźwiękiem. W kwestii samych piosenek Koasidis patrzy za to na strukturę – czy utwór nada się do skracania i wydłużania, czy można wyciągnąć z niego samą melodię.

Jak sugeruje test ucha, obecnie najlepiej sprawdzają się mutacje wciąż popularnego rapu, radiowy pop i lekka muzyka elektroniczna. Działają też nieśmiertelne stare hity, tyle że w nowym anturażu – to specjalność Cleo, która hasła sieci Media Expert wykonuje na melodię piosenek „Zakręcona" Reni Jusis czy „Daddy Cool" Boney M. („Na święta ceny w dół!"). Stylistyki bywają różne, ale jedno pozostaje ▶

© YOUTUBE.COM/@OFFICIAL_DAWID_PODSIADLO

REKLAMA

Kasia Moś w reklamach LINK4 wykonywała nowe aranżacje znanych przebojów

▶ niezmienne – nawet w tej dziedzinie mamy do czynienia z wąskim kręgiem najbardziej wziętych twórców.

Cena artyzmu

– *Moja kariera w branży reklamowej zaczęła się dość specyficznie* – zaznacza Wojciech Urbański, jeden z najbardziej znanych producentów muzycznych w kraju (duet Rysy), komponujący dla filmu („Ministranci"), seriali („Infamia") i właśnie reklam (Adidas, Wedel). Jak wspomina, podczas studiów związanych z rzeźbą poznał dr. Łukasza Koselę, odpowiadającego za scenografie gal reklamowych. Zaczął mu pomagać w tworzeniu opraw dźwiękowych, a dzięki temu poznał ludzi i dostał pierwsze zlecenia. Dobrze się złożyło, bo akurat przechodził kryzys twórczy, nie wiedział, w którą stronę muzycznie iść, a reklama nie wymagała odpowiedzi na trudne pytania. Mógł robić rocka, elektronikę, rap, chwycić się czegoś klasycznego. Rozwinął skrzydła. Teraz nic go już nie dziwi w kontakcie z klientem. To zawsze uwaga za uwagą, poprawka za poprawką. Najtrudniejsze nie jest jednak schowanie dumy do kieszeni, lecz tempo działania. Nagrodą są pieniądze pomagające sfinansować ambitne projekty, choćby epicki album orkiestrowy, nagrania z chórem czy muzykę do filmów. Za projekt reklamowy dla telewizji bierze od 20 do 60 tys. zł, godząc się z tym, że osoby robiące niszowe, interesujące rzeczy mogą mniej przychylnie patrzeć na jego mainstreamowy sukces. Choć przecież chętnie podjąłby się mniej płatnych wyzwań, jeśli tylko byłyby ciekawe artystycznie.

Inny gigant Piotr „Duit" Krygier ma na koncie nie tylko tworzenie produkcji dla Sokoła czy Quebonafide, ale też trzy nagrody KTR za muzykę do krótkich filmów i reklam. Do branży trafił przez przypadek. Jego niereklamową piosenkę zauważył klient pracujący przy kampanii Coca-Coli. Poprosił go o skomponowanie utworu mniej więcej w tym stylu. Wtedy pierwszy raz ktoś mu zapłacił za kompozycję i produkcję muzyki. Zadowolony zamawiający wrócił jeszcze kilkakrotnie, a o Krygierze zaczęło się mówić w środowisku.

Stabilność finansowa, szybki i raczej nietrudny pieniądz, a także rozwój, za który płaci klient – tak Duit postrzega reklamę opłacającą jego niezależność w innych dziedzinach muzycznych. A problemy? Ma wrażenie, że często jest na końcu łańcucha – prawie nikt nie pyta go o kierunek, decyzje zapadają gdzie indziej. Wtedy przypomina sobie, że pracuje w usługach. Zauważa, że zbyt dużo w tej branży coverów. Ale to wynika z badań.

Urbański ma jednak bardziej zasadnicze wątpliwości co do przyszłości muzyki w reklamach. Z roku na rok zarobki spadają. Na rynku zostało więc od kilku do kilkunastu mocnych nazwisk. Podkopują branżę zarówno stocki, czyli bazy z utworami, jak i sztuczna inteligencja. Ta druga już powoli wypiera żywych artystów z reklamy.

Pisanie ze wspomaganiem

Wojtek Hazanowicz, założyciel firmy Muzaic, to klasycznie wykształcony muzyk. Pomysł na start-up chodził mu po głowie kilka lat, a jego realizacja zaczęła się w 2022 r. Polak zadawał sobie pytania: czy da się stworzyć generator muzyki umiejący odpowiadać na ludzkie emocje? A jeśli tak, to czy może być użyty w wielu miejscach, w których muzyka pomaga ludziom? Po ponad trzech latach ma odpowiedzi. Co prawda nie jest w stanie określić procentowo, ile muzyki produkuje na użytek reklam, ale ma klientów z 70 krajów. Jego wzorcowy użytkownik to zaś twórca codziennych reklamówek i biznesowego kontentu wideo. A to już bardzo duża część zamówień.

Hazanowicz zauważa, że nie mówimy o modelu AI naruszającym prawa artystów, by tworzyć coś nowego. To autorskie rozwiązanie, w którego centrum jest człowiek. Podkreśla, że współpracuje z czołówką polskich muzyków sesyjnych, u których zamawia ekskluzywny materiał. Dopiero potem korzystają z tego algorytmy wspierane badaniami rozwojowymi nad wpływem dźwięków na ciało, nastrój i emocje. Do tego dobrze płaci. W ciągu roku chce wydać milion złotych na produkowane w Polsce nagrania, a także startuje z mechanizmem tantiem wypłacanych od każdego wygenerowanego soundtracku. Mimo zaawansowania technologicznego Muzaic według swojego twórcy jest nie tylko nowocześniejsze, ale i tańsze niż muzyczne stocki. A przy tym oszczędza zamawiającym czas, który straciliby na wyszukiwanie utworów, przesłuchanie ich i edycję.

– *Zdarza się to może raz na 20 lat* – twierdzi założyciel, zapytany, czy muzyka reklamowa może być sztuką. Zaznacza jednak, że wraz z zespołem nie tworzy sztuki i nie konkuruje z artystami. Są reprezentantami nowego rynku usług muzycznych, w których dotychczasowe mechanizmy po prostu się nie sprawdzają. W jego ocenie nie możemy konsumować jeszcze więcej wideo, a ich liczba i tak rośnie. Twórcy reklam będą zatem musieli generować bardziej spersonalizowane treści.

O co chodzi? Jego marka może zrobić 200 wersji tej samej reklamy pod 200 różnych grup odbiorców, a wszystko to w 10 długościach i formatach. I nie w dwa miesiące, lecz w dwie minuty. Polska jest więc w awangardzie innowacji. Pytanie tylko, czy przez takie podejście nie stracimy na kreatywności.

KRZYSZTOF NOWAK

© MATERIAŁY PRASOWE LINK4

eprasa.pl 6e74b318b5

ORLEN Mecenasem Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie

ORLEN nawiązał współpracę z Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie, obejmując rolę Mecenasa tej wyjątkowej instytucji. Partnerstwo otwiera przestrzeń dla wspólnych działań edukacyjnych i popularyzujących naukę oraz postać jednej z najwybitniejszych uczonych w historii. Celem współpracy jest przypominanie dorobku polskiej noblistki, a także inspirowanie kolejnych pokoleń do zainteresowania się światem nauki.

Nawiązanie partnerstwa promuje projekt muralowy z wizerunkiem Marii Skłodowskiej–Curie zrealizowany w sześciu polskich miastach: Warszawie, Płocku, Poznaniu, Krakowie, Łodzi i we Wrocławiu. Murale zostały wykonane w technologii fluorescencyjnej. Po zmroku zaczynają subtelnie świecić, przywołując skojarzenia z laboratorium uczonej i jej badaniami nad promieniotwórczością.

Forma murali łączy świat nauki ze sztuką uliczną, czyniąc historię Marii Skłodowskiej-Curie częścią codziennego krajobrazu miast. To nowoczesny sposób opowiadania o nauce, bez konieczności przekraczania progów muzeum czy sal wykładowych. Sztuka obecna w przestrzeni publicznej staje się naturalnym punktem kontaktu z historią i wiedzą, dostępnym dla każdego przechodnia.

Współpraca ORLEN z Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie obejmuje również działania edukacyjne, skierowane do dzieci i młodzieży. Ich celem jest popularyzacja nauk ścisłych, w szczególności chemii i fizyki, oraz zachęcanie młodych ludzi – zwłaszcza dziewcząt – do rozwijania zainteresowań naukowych. Partnerstwo biznesu z instytucją kultury umożliwia tworzenie projektów, które w przystępny sposób łączą eksperckią wiedzę muzeum z szerokim zasięgiem i możliwościami komunikacyjnymi marki.

Inicjatywa ORLEN i Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie to przykład współpracy, w której sztuka, nauka i nowoczesna technologia spotykają się w jednym projekcie. Murale nie są jedynie dekoracją, lecz nośnikiem idei i zaproszeniem do odkrywania historii jednej z najważniejszych postaci światowej nauki. Dzięki nim opowieść o polskiej noblistce staje się bliższa, bardziej dostępna i widoczna – dosłownie i symbolicznie – w świetle miejskich ulic.

fot: Krzysztof Szlęzak

Fajnie czasami włożyć kij w mrowisko i zobaczyć, co się wydarzy – mówi reżyserka Emi Buchwald, laureatka Paszportu POLITYKI w kategorii film.

Te duchy gdzieś są

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– W wywiadach film „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" nazywa pani „love story o rodzeństwie". Można pomyśleć, że to komedia romantyczna.**

EMI BUCHWALD: – Wątki komediowe na pewno tam są, romantyczne też. Ale zawsze dodaję, że mój film to dramedy z elementami metafizycznymi. Mówiąc „komediodramat", ma się na myśli bardziej komedię niż dramat. A dramedy jest bardziej dramatem. Szanuję komedie, lubię pisać zabawne dialogi, ciągnie mnie jednak w stronę eksperymentu. Opowiadanie o bliskich więziach między braćmi i siostrami może wydawać się nietypowe. Bohaterowie filmu – czworo rodzeństwa po wkroczeniu w wiek dorosły – pozostają w relacjach ukształtowanych w dzieciństwie. Jakkolwiek wydawałoby się to skomplikowane, to przyjęłam założenie, że opowiadam o ludziach dobrych. W ich głowach pomaganie sobie nawzajem jest jedynym możliwym działaniem.

Ciężko im wyznaczyć granicę między wsparciem a toksyczną nadopiekuńczością.

Na ekranie ta granica zostaje zachwiana. Sama mam pięcioro rodzeństwa. Punktem wyjścia moich dotychczasowych filmów było zazwyczaj jakieś kształtujące doświadczenie. W „Nie ma duchów..." wracam do sytuacji, kiedy w naszych relacjach nastąpiło przesilenie. W filmie osobą buntującą się jest Franek. To on wprowadza zamieszanie i chaos, odsuwa się od reszty, bo potrzebuje odrębności, żeby poukładać sobie różne rzeczy w głowie. Dopiero gdy inni to zaakceptują, są w stanie spotkać się ponownie razem. Nie do końca wierzę w stuprocentową przemianę bohaterów, chociaż w klasycznym scenariopisarstwie stanowi ona podstawową zasadę: na początku ktoś jest jakiś, ale pod wpływem doświadczenia się zmienia. Ludzie nie są tak prości. Życie jest bardziej skomplikowane, szczególnie w relacjach.

Symbioza rodzinna to rzadki przypadek, częstszym doświadczeniem bywa odepchnięcie, lęk.

Niewykluczone. Ja wierzę we wspólnotowość i dlatego robię filmy. Praca na planie to działanie zespołowe. Moja rodzina żyła poza miastem, odcięta od wielu bodźców. Stworzyliśmy specyficzną komórkę społeczną opartą na intensywnych więziach, które cały czas trwają. Ewoluują, czasem inspirując. Mój poprzedni krótkometrażowy film „Piękna łąka kwietna" opowiadał o architekcie krajobrazu, który szuka ukojenia w naturze, a znajduje chaos. Łąka kwietna jest dzika, a on dostrzega w niej oazę spokoju. Więc może moi bohaterowie podążają za czymś nieuchwytnym, pięknym, co istnieje tylko w marzeniach.

Ma pani pięcioro rodzeństwa, czyli jest was sześcioro. A w filmie, który jest w dużej mierze autobiograficzny, bohaterów jest czworo.

Robiąc film inspirowany moimi rodzinnymi doświadczeniami, nie mogę opowiadać jeden do jednego. Mogłoby się to stać hermetyczne i dystansujące. Wychodząc od inspiracji konkretnymi, dobrze mi znanymi osobami, muszę to jakoś przetworzyć. Chcę robić kino autorskie, czyli tworzyć własny język opowiadania, niezależnie od tego, czy będę czerpać ze swojego życia, czy nie. Poza tym zrobiłam bardzo tani debiut z małą liczbą dni zdjęciowych. Skupienie się na więcej niż czworgu postaci w pierwszej, dodatkowo tak kameralnej, pełnometrażowej fabule byłoby dosyć ryzykowne. Musiałam pewne rzeczy skondensować.

Artystką w pani filmie jest dziewczyna o imieniu Jana. Eksperymentuje z dźwiękami, urządza wystawy, happeningi – to jest właśnie to przekształcenie, maska, pod którą się pani ukrywa?

Pewnie w jakiś sposób jestem w każdej z postaci. Jednak biorąc pod uwagę zainteresowanie sztuką, w jakimś sensie identyfikuję się z Janą. Podobnie jak ona mam pomysł na to, co chcę robić, jest we mnie dużo spokoju, mimo że czasami wchodzę w „tryb Emila", bohatera „Pięknej łąki kwietnej", charakteryzujący się impulsywnym, radykalnym działaniem. Z drugiej strony nie tylko mnie interesuje tworzenie. Mój starszy brat Kuba jest artystą grafikiem i wykładowcą Akademii Sztuk Pięknych. Odpowiada za oprawę graficzną filmu oraz jest autorem plakatu artystycznego. Poza tym projektuje książki i wystawy. Kiedy pisałam scenariusz, pracował nad swoją wystawą i książką „Wzornik alternatywnych symboli śmierci". Napisałam do niej krótki tekścik – o tym, jak my jako dzieci postrzegaliśmy duchy. Moja młodsza siostra Sara projektuje, skończyła wzornictwo przemysłowe, tworzy kolekcje przedmiotów, wykorzystując współczesną technologię, np. druk 3D łączy z naturalnym tworzywem: kamieniem albo woskiem. Tymek, przednajmłodszy z moich braci, studiował animację w Łodzi, rysuje i pracuje jako montażysta wideo. Jonasz, najmłodszy brat, przygotowuje się do pracy jako artysta 3D. Najstarsza siostra Ania, z wykształcenia anglistka, pracuje jako trenerka pilatesu, dając nam wszystkim przestrzeń do rozwoju fizycznego, co jest w tym wszystkim najlepsze.

Skąd w pani filmie wziął się Tymek Rożynek, czyli raper Szczyl?

Bardzo lubię łączyć aktorów profesjonalnych z nieprofesjonalnymi. Może dlatego, że jestem też dokumentalistką i wierzę w prawdę, która bierze się z życia. Mój mąż Maciek Buchwald znał Szczyla, robił z nim

PARTNER KATEGORII
KUJAWY POMORZE
FUNDUSZ FILMOWY KUJAWY POMORZE

eprasa.pl 6e74b318b5

Emi Buchwald (ur. 1991 r.) – reżyserka i scenarzystka. Jest absolwentką Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej PWSFTViT w Łodzi. Jej artystyczna droga rozpoczęła się od form krótkometrażowych, a poetycka forma kontrastuje u niej z prozą życia. Debiut pełnometrażowy „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" przyniósł jej m.in. nagrodę za reżyserię na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni i właśnie Paszport POLITYKI. Do kin wejdzie 13 marca.

© LESZEK ZYCH

kiedyś teledysk. Okazało się, że Tymek jest też najlepszym przyjacielem aktora Bartka Deklewy, o którym myślałam w kontekście postaci Benka. Wyglądali jak bracia, mieli wobec siebie dużo czułości, ale był w tym też jakiś element komediowy. Lubię być dobrze przygotowana do planu, ale później pozwolić, żeby rzeczy się działy. Ogólnie rzecz biorąc, jestem za obsadzaniem ciekawych ludzi, niekoniecznie znanych aktorów, bo tych mamy wszędzie. Interesują mnie osobowości, z którymi można coś razem wykreować, wnoszące swoją wrażliwość i wyjątkowość do mojego świata.

Rap to pani ulubiona muzyka?

Nigdy w życiu nie słuchałam rapu, kompletnie mnie nie interesował, mimo że jestem otwarta na bardzo różne gatunki muzyczne. Niedawno obejrzałam „Ofiarowanie" Tarkowskiego. Zaczęłam słuchać wykorzystanej tam tradycyjnej japońskiej muzyki fletowej. Pod koniec roku Spotify ocenił mój „wiek muzyczny" na osiemdziesiąt parę lat. Pewnie dlatego, że często słuchałam śpiewanych po łacińsku religijnych chórów kobiecych Hildegardy z Bingen, czyli rzeczy, które uspokajają Janę. Nie za bardzo lubię muzykę ilustracyjną w kinie. Zależało mi, żeby ścieżka dźwiękowa w moim filmie pełniła funkcję chóru z greckiej tragedii, który komentuje i lamentuje nad losem bohaterów, wydało mi się to zabawne. Poza tym mamy m.in. utwory Sufjana Stevensa i Yung Leana, za co jestem bardzo wdzięczna Jurkowi Kapuścińskiemu, producentowi. Przecież kompletnie nie było nas stać na tę muzykę, a Jurek stanął na głowie, żeby te piosenki znalazły się w filmie.

A wracając do rapu…

Wbrew pozorom w „Nie ma duchów..." nie ma utworów Tymka Rożynka. Jest za to kultowy kawałek „Serce" Syberii TDW, który stał się hymnem naszego planu, łączył ekipę we wspólnym przeżyciu. Piosenka towarzyszy Benkowi w czasie domówki z okazji jego urodzin i nawiązuje do podobnej sceny, którą kiedyś nagrałam w 18. urodziny mojego brata. Cierpiał z powodu nieszczęśliwej miłości i dorastania, śpiewając „My Cold Little Heart" Michaela Kiwanuki, a ja, stojąc w drzwiach, nagrałam filmik, dozoomowując telefonem blisko jego twarzy. Intuicyjnie zapisałam tę piosenkę w scenariuszu do podobnej sceny w filmie, ale uznałam, że jest zbyt popularna. I nie byłoby nas na nią stać. Zaczęłam więc szukać czegoś ze słowem „serce". Mój mąż, od dziecka wielki fan rapu, puścił mi wtedy „Serce". Od razu miałam ciary na plecach, wzruszyłam się. Jest w niej „sto lat", duchy i serce właśnie.

Jak wychowanie w tak licznej rodzinie wpływa na postrzeganie rzeczywistości i relacje z rodzicami?

Możliwe, że będąc środkowym dzieckiem, miałam najwygodniej. Na starsze rodzeństwo zawsze wywierana jest większa presja. Bardziej się ich kontroluje, szuka ideału. Moi rodzice byli młodzi, mieli po dwadzieścia kilka lat, jak się urodziliśmy. Nie było im łatwo, ale ogarnęli to najlepiej, jak mogli. Dla mnie dom i rodzeństwo stanowiły bezpieczną przystań. W szkole nie czułam się sobą. Zachowywałam się jak nieśmiała dziewczynka, która nie zawsze potrafi coś sensownego powiedzieć albo zażartować. Z rodzeństwem mogłam mówić głupoty, a równocześnie przeżywać rzeczy, które mnie wzruszały, nie wstydziłam się.

Kiedyś decyzja o posiadaniu sześciorga dzieci nikogo nie dziwiła, ale dzisiaj…

Mama zawsze chciała mieć dużą rodzinę, opiekować się dziećmi. Przerwała studia, kiedy pojawiło się pierwsze dziecko. Rodzice nie mieli pieniędzy, więc zamieszkaliśmy w domu na wsi, po rodzinie babci. Mama zawsze chciała mieszkać w Warszawie, bo stąd pochodził mój dziadek i jego rodzina, ale jak myślę o tym z perspektywy czasu, to byłoby to z wielką szkodą dla nas wszystkich. Życie na wsi mocno mnie ukształtowało, dało sporo spokoju i poczucia niezależności na czas dorastania i dorosłości.

Ciężar utrzymania spoczywał na ojcu?

Tak, tata ma wolny zawód, jest architektem krajobrazu. Ale też uczył się ebenistyki, czyli artystycznego odnawiania mebli, więc my jako dzieci również odnawialiśmy stare przedmioty, szlifowaliśmy drewno. Jednak jego głównym zajęciem był ogród. Myślę, że dużo zajawki na czytanie, oglądanie i tworzenie mieliśmy od rodziców, ale też od dalszej rodziny ze strony mojej mamy. Wujkowie i ciocie, którzy przyjeżdżali do nas raz w roku i spędzali z nami jeden dzień, polecali nam wartościowe filmy i książki.

Agnieszka Holland niedawno powiedziała, że w Polsce powstaje mało ▶

eprasa.pl 6e74b318b5

▶ filmów fabularnych o tym, co się w tej chwili dzieje na świecie. Podziela pani tę opinię?

Zależy, o jakim kinie mówimy. Od kiedy zaczęłam studiować w szkole filmowej i obserwować działania polskich filmowców, mam poczucie, że powstaje sporo produkcji skrojonych pod festiwale filmowe, które szybko reagują na bieżące problemy. Po wybuchu wojny w Ukrainie polscy filmowcy masowo zareagowali na te wydarzenia. Sytuacja na wschodniej granicy też została szybko dokumentalnie i fabularnie opowiedziana m.in. przez Agnieszkę Holland. Podejmowanie tych tematów jest ważne, ale nie jest to kino, które sama chciałabym robić. Trzeba mieć w sobie imperatyw, żeby takim filmom się poświęcić. Mam wrażenie, że potrzebuję więcej czasu, żeby te tematy w sobie ułożyć. Z perspektywy człowieka, a tym bardziej filmowca.

Nie jest to eskapizm?

Nie. Może kiedyś przyjdzie do mnie bohater lub historia, którą będę musiała opowiedzieć, bo nie da mi spokoju i będzie osadzona we współczesnej, zagmatwanej politycznie rzeczywistości. Uważam jednak, że film o młodych ludziach i psychologii rodzeństwa też opowiada o dzisiejszym świecie, bo lęki i zmagania tych osób są częścią rzeczywistości. Tak samo jak duchy, o których często zapominamy.

Co ma pani na myśli, mówiąc o duchach?

Polska debata publiczna bardzo stereotypizuje duchowość, chociaż żyją tu bardzo różni ludzie z dosyć skomplikowanym podejściem do wiary czy – szerzej – metafizyki. Ja wywodzę się oczywiście z tradycji chrześcijańskiej. Wychowałam się jednak w domu, gdzie pokoleniowo przekazywało się opowieści dotyczące niezwykłych, niewytłumaczalnych wydarzeń. Mój dziadek je spisywał. Dotyczyły czasów drugiej wojny światowej, a nawet wcześniejszych, śmierci różnych ludzi, wsi mojej babci, którą nawiedzały anioły, diabły i duchy. Dawni mieszkańcy Dąbrowic doświadczali różnych spotkań metafizycznych. W zbiorze opowiadań dziadek zastrzegł, że są tylko do wglądu rodziny, więc nie mogę ich upubliczniać. Ale właśnie zawarta w nich tajemnica jest tym, co mnie fascynuje.

Chodziła pani do kościoła?

Nieregularnie. W liceum zrezygnowałam z lekcji religii. Mój brat też nie chodził. Mama, mimo że uczyła w jakimś małym pokoiku katechezy w czasach komunistycznych, uważała, że religia w szkole nie spełnia swojej funkcji. Z Kościołem też mieliśmy skomplikowaną relację. Na przykład jeden z moich braci przyjął komunię, jak był już mocno wyrośnięty. Każdy z nas ma teraz inną relację z duchowością.

A pani ufa Kościołowi?

Ciekawi mnie wykorzystywanie w sztuce opowieści okołochrześcijańskich, mam do nich duży szacunek, leżą u podstaw naszej kultury. Poza tym chcę być dobrym człowiekiem, wiadomo. Kościół katolicki ma oczywiście sporo na sumieniu. Jednak w filmie w ogóle nie interesuje mnie dotykanie tematu Kościoła, raczej połączenie psychologii z elementami duchowymi, które nie odnoszą się do konkretnej religii, tylko raczej do intuicji, niewerbalnej relacji człowieka ze światem.

Ludzie są istotami duchowymi?

Potrzebujemy pierwiastka duchowości. Mam takie odczucie, że przeszłość i teraźniejszość się jakoś przenikają, że te duchy gdzieś są i ludzie gdzieś są. W kolejnym filmie chcę opowiedzieć o duchach w taki sposób, jakiego się kiedyś używało – półprzezroczyste postacie. Uważam, że to piękny koncept. Jak sobie wyobrażam te nachodzące na siebie od wieków istoty z powietrza, które znajdują się wszędzie, pomaga mi to zdystansować się do teraźniejszości, do moich problemów i niepokojów.

Nie możemy też pominąć Dusiołka. Skąd pani przyszła do głowy ta postać?

Dusiołek wziął się z tego, że Benek cierpi na zadyszki. I ja też cierpiałam w pewnym momencie na bezdech, który wynikał pewnie ze stresu, z różnych trudnych doświadczeń. Później sobie przypomniałam wiersz Leśmiana, jak Bajdała podróżował z Wołem i Szkapą, a gdy zasnął, na jego klatce piersiowej usiadł Dusiołek. I miał wielką pretensję, że nikt mu nie pomógł, oraz żal do Boga, że ten stworzył takiego potwora. W XXI w. nikt nie boi się zmór. W XVIII w. powstało też sporo przedstawień malarskich Dusiołka, czyli Nocnej Mary, m.in. obraz Fuselego. Pracując nad scenariuszem, przeczytałam, że różne regiony Polski miały swoje sposoby na pozbycie się Dusiołka. Wystarczyło np. zdjąć mu czapkę z głowy i znikał. W filmie jedna z sióstr zdejmuje czapkę toksycznej dziewczynie swojego brata, spotykając ją po raz ostatni. Więc ta antagonistka też jest w jakimś sensie Dusiołkiem.

Mocno pokręcone.

Wszystko się ze sobą łączy w tajemniczy sposób. Tylko ludzie wolą upraszczać. Filmy też upraszczają, a fajnie po prostu czasami włożyć kij w mrowisko i zobaczyć, co się wydarzy, i tak zostawić z tym widza.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

tokfm

Rozmowy z laureatami Paszportów POLITYKI w każdą środę o godz. 11.40 w „Kulturze Osobistej" w TOK FM, na tokfm.pl i w aplikacji mobilnej.

Współorganizator Gali
TVP

Partnerzy Główni
TOTALIZATOR SPORTOWY
7 LAT
ZAiKS Stowarzyszenie Autorów ZAiKS
PZU FUNDACJA
ORLEN

Partner Oficjalny
Warszawa

Partnerzy Kategorii
Książka: Sopot
Sztuki wizualne: KRUK
Film: KUJAWY POMORZE; FUNDUSZ FILMOWY KUJAWY POMORZE
Scena: Białystok
Muzyka popularna: PZU FUNDACJA
Muzyka poważna: ART & SCIENCE

Partner Medialny
tokfm

eprasa.pl 6e74b318b5

KUJAWY POMORZE

2026 ROK LUDZI FILMU Z KUJAW I POMORZA

Film znakiem rozpoznawczym Kujaw i Pomorza

„Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego i „Chopin, Chopin!" Michała Kwiecińskiego - to dwie głośne tegoroczne produkcje zrealizowane z finansowym wsparciem Funduszu Filmowego Kujawy Pomorze.

Region kujawsko-pomorski jest coraz mocniej rozpoznawalny na filmowej mapie Polski. To zasługa aktywnej działalności Funduszu Filmowego Kujawy Pomorze, powołanego przez samorząd województwa w ramach projektu „Kujawy+Pomorze - promocja potencjału gospodarczego regionu" i współfinansowanego ze środków unijnych. Celem Funduszu jest wspieranie twórców, ale i promocja unikalnych walorów regionu oraz stymulowanie lokalnego przemysłu kreatywnego. Fundusz Filmowy wspomaga finansowo produkcje fabularne, dokumentalne i animowane. Najważniejszym kryterium jest związek projektu z regionem – poprzez tematykę lub miejsce realizacji zdjęć. Dzięki temu kujawsko-pomorskie plenery i historyczne obiekty mogą zaistnieć na wielkim ekranie.

Ostatnie dwie głośne produkcje zrealizowane z udziałem Funduszu to „Chopin, Chopin!" Michała Kwiecińskiego i „Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego - najchętniej oglądany w 2025 r. polski film. W kinach zobaczyło go ponad 2,2 mln widzów. Pod koniec roku premierę miała świąteczna komedia romantyczna w gwiazdorskiej obsadzie „Piernikowe serce" Piotra Wereśniaka. Wcześniej wsparcie otrzymała pierwsza anglojęzyczna produkcja Jana Komasy „Good Boy" oraz debiut reżyserski Dominiki Montean-Pańków „Skrzyżowanie" z Janem Englertem w roli głównej.

Samorząd województwa wspomaga kinematografię już od ponad 10 lat. Jeszcze przed powołaniem Funduszu Filmowego środki otrzymał polski kandydat do Oscara, czyli film „11 minut" Jerzego Skolimowskiego oraz nagrodzony Srebrnymi Lwami w Gdyni obraz Janusza Majewskiego „Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy", którego akcja dzieje się w Ciechocinku.

Nowe dzieło Zanussiego ze wsparciem Funduszu Filmowego

2026 r. obfitować będzie w premiery filmowe związane z Kujawami i Pomorzem. W Bydgoszczy zakończyły się zdjęcia do kryminalnej opowieści „Morderstwo w filharmonii" w reżyserii Macieja Hydra. „Droga rzadziej przemierzana" to komediodramat Zuzanny Grabowskiej kręcony głównie w Górznie i Szubinie. Miłośników komedii romantycznych ucieszy druga część filmu „Narzeczony na niby" w reżyserii Bartosza Prokopowicza, do którego zdjęcia zrealizowano m.in w Toruniu. Dzięki wsparciu Funduszu Filmowego Kujawy Pomorze swoje najnowsze dzieło „Całopalenie" nakręci Krzysztof Zanussi. W planach jest także realizacja i premiera obrazu „Magiczny kwiat paproci" Sebastiana Kwidzińskiego i Marty Filipiak.

Regularne konkursy pozwalają na stały dopływ nowych projektów. Kolejna edycja naboru na produkcje filmowe odbędzie się w marcu br.

Nagroda Filmowa dla gwiazd i debiutantów

Od 2022 r. przyznawana jest Nagroda Filmowa Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego im. Poli Negri. Samorząd honoruje nią aktorów i twórców – zarówno tych sławnych jak i utalentowanych debiutantów – wnoszących do polskiej kinematografii coś trwałego i własnego. Statuetka autorstwa Zbigniewa Mikielewicza w formie stylizowanej taśmy filmowej z wizerunkiem urodzonej w Lipnie ikony światowego kina niemego Poli Negri, wręczana jest podczas festiwali filmowych odbywających się w regionie (Camerimage, Tofifest, Fonomo, Old Film, Przeźrocza). Ostatnim - 23. jak na razie - laureatem został aktor Eryk Kulm. Odtwórca głównych ról w filmach „Bokser", „Filip" i „Chopin, Chopin!" odebrał nagrodę podczas 33. edycji EnergaCamerimage w Toruniu. W gronie laureatów są też m.in. Jerzy Skolimowski, Jan Holoubek, Jan Jakub Kolski, Stanisław Janicki, Krzysztof Zanussi, Leonard Pietraszak, Magdalena Różczka, Katarzyna Figura, Jan Englert, Daniel Olbrychski, Anna Dymna i Grażyna Szapołowska.

2026 rokiem ludzi filmu z Kujaw i Pomorza

„Kujawsko-Pomorskie to nie tylko miejsce urodzenia wielkich postaci polskiego kina, ale również przestrzeń, w której film od lat żyje, tworzy się i rozwija" – uznali radni sejmiku województwa, ustanawiając 2026 - Rokiem Ludzi Filmu z Kujaw i Pomorza. Okazją jest wiele rocznic związanych z wybitnymi postaciami z regionu, które zapisały się na kartach rodzimej kinematografii. Ale rok ludzi filmu ma być nie tylko świętowaniem okrągłych jubileuszy. To doskonała okazja, by przypomnieć jak silnie Kujawy i Pomorze są związane z polskim kinem: zaczynając od plenerów filmowych, przez wybitnych twórców po coraz większe wsparcie wartościowych produkcji przez Fundusz.

Warto przypomnieć, że z regionu wywodzi się lub pracowało w nim wielu znanych artystów, m.in. Jerzy Hoffman, Grażyna Szapołowska, Bogusław Linda, Małgorzata Kożuchowska, Jan Nowicki, Katarzyna Żak, Jakub Gierszał, Adrianna Biedrzyńska, Piotr Głowacki czy Tomasz Wasilewski. To tu aktywnie działają twórcy kina dokumentalnego i niezależnego.

Ustanowienie Roku Ludzi Filmu Kujaw i Pomorza to nie tylko hołd dla przeszłości, ale także inwestycja w przyszłość. Samorządowcy liczą, że ta inicjatywa wzmocni rozpoznawalność regionu, przyciągnie nowe projekty filmowe oraz turystów. „Kino na Kujawach i Pomorzu to nie tylko rozrywka, ale element tożsamości regionalnej" - podkreśla sejmik województwa.

Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

eprasa.pl 6e74b318b5

Platformy streamingowe ogarnęła gorączka złota: kręcą kolejne filmy dokumentalne o gwiazdach, najpierw piłki nożnej, teraz, za sprawą **Dody** i Edyty Górniak, estrady.

Dokumania

© AMAZON

BARTEK CHACIŃSKI

Zaczęło się trzy lata temu od przebojowej historii Roberta Lewandowskiego. W „Lewandowski. Nieznany" (masowo żartowano, że film potwierdzał tylko tytułowe hasło) widza witały ujęcia z domowego filmu wideo z wigilii roku 1996. Ojciec składa synowi życzenia: „Żebyś grał w piłkę w pierwszej lidze włoskiej i zarabiał kupę pieniędzy". W pokazywanym od 20 lutego trzyczęściowym dokumencie Prime Video „Doda" już w czołówce mamy montaż filmów z konkursów, na których bohaterka występowała w dzieciństwie. Jedno i drugie wymaga tego samego: dostępu do głównej postaci.

Okazuje się, że Lewandowski i Doda mają dużo wspólnego: dorastanie w rodzinach sportowych, które potrafią narzucić odpowiednią dyscyplinę w dzieciństwie, żeby uformować talenty i ułatwić przyszły start (Dorota Rabczewska pierwsze sukcesy zdobywa w lekkiej atletyce). Filmowe opowieści o nich mają też podobne mankamenty – oglądamy te kariery przez pryzmat piaru gwiazdy. Bo za dostępem idzie kontrola.

U Lewandowskiego śledziliśmy więc raczej strzały celne niż niecelne, akcent padał raczej na sukcesy klubowe niż na problemy gwiazdy w słabo grającej reprezentacji. Były światowe gwiazdy futbolu, brakowało za to (o czym wspominał w POLITYCE 14/23 Marcin Piątek) wątku Cezarego Kucharskiego, wieloletniego menedżera piłkarza. U Dody słuchamy jej krytycznych relacji dotyczących kolejnych rozpoznawalnych partnerów – od Radka Majdana i Nergala po Emila Haidara i Emila Stępnia – nie dostajemy za to ich wersji wydarzeń. Podpisywaniu kontraktu z Katarzyną Kanclerz z Universalu, chętnie obsadzaną przez artystów w roli czarnego charakteru polskiego show-biznesu, towarzyszy karykaturalna animacja i opowieść Dody. Ale nie dowiemy się, co naprawdę miała na myśli Kanclerz, rzucając wtedy wokalistce, że „będą z nią same kłopoty". Wreszcie najpoważniejszy problem: przebieg oskarżeń i procesu, w którym Dorota Rabczewska została skazana za „sterowanie z tylnego siedzenia" działaniami mającymi na celu wymuszenie i zastraszanie byłego partnera, w filmie oglądamy niczym historię o ofierze przestępczych działań kolejnego męża, o których rzekomo nic nie wiedziała.

To wszystko cena tego typu filmów: trudno je zrobić w atrakcyjny sposób bez udziału głównej gwiazdy, mało która z nich zagwarantuje jednak filmowcom pełnię wolności i ma tyle dystansu do własnej historii, żeby udzielić odpowiedzi na najtrudniejsze pytania. Zamiast tego trafiamy na inscenizację życia niczym w telenoweli, kiedy Anna Lewandowska w leniwej scenie małżeńskiej nad morzem o zachodzie słońca wyrzuca mężowi traumatyczne przeżycia: „Pamiętam, jak mnie wkurzyłeś na Kubie, bo nie wziąłeś prawa jazdy i ja musiałam po całej wyspie prowadzić auto". Albo w tanie reality show, jak wtedy, gdy Michał Wiśniewski na planie serialu diagnozuje („Jesteś nieszczęśliwa") i doradza Dodzie tonem mędrca: „Ty nie znajdziesz miłości, tak jak ja".

Dla takich scen warto by było zupełnie zignorować tę nową falę dokumentów. Prawda pojawia się w nich gdzieś w tle: są kompleksy polskich piłkarzy trafiających do zachodnich klubów niczym ubodzy krewni z prowincji, jest bezkrytyczne udawanie Britney Spears albo Pameli Anderson, seksualizowanych gwiazd popkultury, są wreszcie kulisy zdobywania nagród publiczności (Doda ma – jak się chwali – tylko takie) na polskiej scenie: głosowania zorganizowanych niczym armia fanklubów. Są przykłady telewizyjnego bana, kiedy to scysja w toalecie między Rabczewską a Agnieszką Woźniak-Starak, a potem wzajemne procesy sądowe stają się powodem zdjęcia z anteny wokalistki Virgin. Przede wszystkim jednak życie okazuje się w jej wypadku zwyczajnie atrakcyjniejsze niż twórczość.

Ten ostatni fenomen jest siłą napędową całej fali dokumentów. Rok po historii Lewandowskiego Prime Video zrealizował film „Kuba" o Jakubie Błaszczykowskim, a w kolejnym roku – „Szczęsny" o polskim reprezentacyjnym bramkarzu. Konkurencyjny SkyShowtime odpowiedział w 2025 r. miniserialem „Krychowiak: krok od szczytu", przygotował też reakcję na „Dodę" – dokument „Edyta Górniak" z premierą wyznaczoną na 5 marca. Trailer tego ostatniego pokazuje gwiazdę szukającą równowagi między sukcesami a zwykłym życiem. Górniak wygląda tu niczym Nicole Kidman w serialu „Dziewięcioro nieznajomych" – pozuje na niepokojącą ekspertkę odnowy duchowej.

Kiedyś Doda i Górniak, dwie popularne wokalistki i bohaterki dobrze rozpoczętych karier, słały sobie drobne złośliwości, występując w telewizyjnych programach. Teraz, coraz bardziej pogubione repertuarowo, wchodzą na nowy etap rywalizacji w dokumentach platform streamingowych – już jako bohaterki własnych burzliwych życiorysów, z muzyką w coraz dalszym tle. ■

eprasa.pl 6e74b318b5

Materiał Partnera Głównego
Paszportów POLITYKI 2025

TOTALIZATOR SPORTOWY | 70 LAT

TWOJE MARZENIA
NASZA MISJA
WSPÓLNE WYGRANE

Powołany do życia w 1955 roku Totalizator Sportowy, wspólnie ze światem polskiego sportu i kultury, świętuje swoje 70-lecie. Dzięki dopłatom do gier LOTTO gracze w Polsce współfinansują budowę i remonty obiektów sportowych, wspierają młode talenty oraz rozwój kultury i ochronę dziedzictwa narodowego.

eprasa.pl 6e74b318b5

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Andrzej Saramonowicz poinformował o rozwodzie: „Zostałem poproszony o wyprowadzenie się". W tym zdaniu jest wszystko, czego brakowało ostatnim komediom Andrzeja: tempo, akcja i dobry finał.

●

Program Michała Kempy i Wojtka Fiedorczuka w TVP2 będzie dłuższy i pojawi się w czwartkowe wieczory. Gratulacje. To dobry powrót do tradycji. W TVP w czwartki zawsze było coś, co ocierało się o kryminał.

●

Syn Justyny Steczkowskiej zapłacił za nowy biust ukochanej. Za dwa implanty o objętości 375 ml Leon wybulił ponad 20 tys. zł. To jak w wyścigach samochodowych. Tam też sukces zależy od pojemności.

●

Katarzyna Bosacka poradziła Polakom, jak oszczędzić na jedzeniu. Otóż wystarczy wytrzymać miesiąc bez zakupów. Po tym terminie ratownik medyczny odpowie ci na pytanie: jak żyć.

●

„Ja w każdym związku nie tylko uprzedzałem, ale próbowałem zniechęcić do związku każdą swoją połówkę" – to Michał Wiśniewski. W CV wokalisty jest pięć połówek. To już zahacza o reklamę alkoholu.

●

Elżbieta Zapendowska o Sanah: „Nie chcę jej słuchać. Muzyka jest koszmarna. Myślałam, że ona jest z Białorusi". Gdybym miał tak dobry słuch jak Ela, to pewnie bym usłyszał w tej wypowiedzi Sławomira Mentzena.

„Hołownia nie jest typem człowieka, który trzyma za pysk i prowadzi autorytarną władzę". To Paweł Kukiz. Zawsze podkreślałem, że to, co mu najlepiej wychodzi, to teksty.

●

Serial TVP2 „Na dobre i na złe" ogląda w tym roku 2,04 mln widzów. To zrozumiałe. Fabuła opowiada o szpitalu w Leśnej Górze, w którym odchodzą tylko farba w garażu i młode lata personelu.

●

Marianna Schreiber po obejrzeniu serialu dokumentalnego o Dodzie na platformie Prime Video bezceremonialnie porównała się do wokalistki. I tu odłożę wszystkie uprzedzenia na bok. Ma rację.

„Ewa Gawryluk pokazała nowoczesną kuchnię, którą zaprojektowała. Spójrzcie na ten okap" – zachęca Plotek. Nagrody Grand Press poszerzyłbym o kategorię dziennikarstwo specjalistyczne: wyciągi, pochłaniacze, zwisy.

●

„Maja Hyży po operacji pozuje w szpitalu. Zrobiła sobie plastykę brzucha" – informuje „Super Express". Zazdroszczę. To niezwykła umiejętność pomiędzy takimi sukcesami mieć jeszcze czas na karierę.

●

Natalia Natsu Karczmarczyk opowiedziała o swojej przeszłości i pracy jako „camgirl": „Chciałam pójść na skróty, nie patrząc, jakie to może mieć konsekwencje". To się w nawigacji nazywa omijanie dróg płatnych.

●

Rafał Trzaskowski gościł w podkaście Żurnalisty. Mam wrażenie, że jego sztab wyborczy po sukcesie ubiegłorocznej kampanii teraz doradza Polsce 2050.

●

Daniel Martyniuk idzie się leczyć. „Coś mi się chyba stało z głową" – wyznał na Instagramie. Parafrazując sir Winstona: „Jeszcze nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele komuś takiemu".

●

Do TVP powraca program „Kocham cię, Polsko!". Gospodynią została Marzena Rogalska, a kapitanami drużyn Misiek Koterski i Filip Gurłacz. Misiek ma za co kochać Polskę. Tu terminy nawrócenia są najszybsze.

●

Krzysztof Rutkowski zapowiada na swoim Instagramie wywiad z Januszem Palikotem hasłem: „Niech się boją ci, którzy bać się powinni". Cenię ten rodzaj samokrytyki.

Tomasz Stockinger z okazji 71. urodzin pochwalił się swoją emeryturą. To 3 tys. zł brutto. Tomasz zaczął swoją karierę w 1978 r. w „Życiu na gorąco", grając boya w hotelu. No proszę. A pensja została.

© EAST NEWS

eprasa.pl 6e74b318b5

Hartman

Nowa partia?

Jestem pod wrażeniem rozpadu Polski 2050 i myślę sobie, że po części wynika on z nadziei na powstanie nowej wersji „trzeciej drogi", czyli partii „dla sierot po PO-PiSie", jak to się dawniej mówiło. I mnie się wydaje, że Nowa Partia (nazwijmy ją sobie roboczo w taki sposób) jest potrzebna, lecz nie jako „alternatywa" czy przybudówka, lecz jako nowa siła polityczna, z którą mogłaby się identyfikować klasa średnia.

System liberalnej demokracji wyrósł na podłożu demokracji stanowej, która polegała na tym, że każda z wielkich grup społecznych (stanów) miała reprezentację w parlamencie. Nikt nie podważał tego, że w polityce każdy ciągnie w swoją stronę, a jednak zniknęły stany, cenzusy majątkowe, a nawet specjalne gwarancje dla reprezentacji politycznej mniejszości narodowych i religijnych. W puste miejsce po różnych starszyznach stanowych weszły zaś partie polityczne.

Są to twory ideowo hybrydowe, rozpięte między aspiracjami do działania w interesie grupowym oraz w interesie ogólnospołecznym i ogólnopaństwowym. Paradoksalnie, żeby przejąć władzę i rządzić, partia musi być jednocześnie partykularna, czyli reprezentować silną i aktywną wyborczo grupę społeczną, oraz uniwersalna, czyli przynosić (albo obiecywać) korzyści dla wszystkich. Jeśli chce się to robić skutecznie i wygrywać wybory, trzeba mieć wielką bazę społeczną i dodatkowo jakieś hasła podobające się znacznej większości społeczeństwa. Jednakże w systemie partyjnym jest miejsce również dla mniejszych ugrupowań, które nie liczą na zwycięstwo, lecz jedynie na współrządzenie w koalicji. Takie mniejsze formacje mogą być bardziej odporne na imperatywy i pokusy populizmu, bardziej obywatelskie i bardziej otwarte na podpowiedzi specjalistów.

Klasa średnia musi sama o siebie zadbać, zamiast żyć w iluzji, że ze swej natury ma silną reprezentację polityczną.

Platforma Obywatelska narodziła się jako taki projekt, lecz stała się wielką partią odpowiadającą za kraj, a więc i za to, by nie oddać władzy populistom. Donald Tusk, chcąc nie chcąc, musi robić to, co konieczne, aby utrzymać władzę. To krępuje mu ręce, jakkolwiek jego przekonanie, że wie wszystko najlepiej i żadne pogłębione badania społeczne i rady specjalistów, którzy „nigdy nie wygrali wyborów", nie są mu potrzebne, może się boleśnie zemścić. Ale to tak na marginesie.

Politologiczny wstęp służy uzasadnieniu tezy, że Nowa Partia jest potrzebna. PO/KO nie jest w stanie być partią klasy średniej, choćby bardzo chciała. Klasa średnia musi sama o siebie zadbać, bo jak dotąd żyje w iluzji, że niejako ze swej natury ma silną, a nawet uprzywilejowaną reprezentację polityczną. A to nieprawda! Klasa średnia ciągle przeprasza, że żyje. A to udaje, że właściwie każdy, kto nie chodzi w łachmanach, jest dziś jej członkiem (więc właściwie jej nie ma), a to, że jest tylko jakimś nieszkodliwym, trochę nijakim (i przez to niewidocznym) centrum, które nie pragnie niczego innego niż zdrowego rozsądku. Słowem, nie chce się przyznać, że ma swoją tożsamość.

Tymczasem mimo różnic światopoglądowych klasa średnia ma i tożsamość, i wspólne (stanowe) interesy. A ich realizacja na ogół jest korzystna dla całego społeczeństwa. Tę własność klasy średniej zauważył już twórca tego pojęcia, a był nim sam Arystoteles! Według niego to ludzie mający to i owo do stracenia, lecz nie na tyle bogaci, żeby tworzyć oligarchię. Jest to więc pojęcie osadzone w kryteriach materialnych, lecz przyjęło się łączyć je z pewnym statusem kulturalnym. W naszych warunkach chodzi więc o kogoś, kto nie zbiednieje, gdy wyda na coś tysiąc euro, a filharmonia i teatr nie są mu całkiem obce. Do tego umie po angielsku, czego dowiódł, zamawiając pizzę w Paryżu, a nawet wie, gdzie Rzym i gdzie Krym.

Nowa Partia powinna tę dużą grupę społeczną zauważyć i dowartościować. A są to ludzie najczęściej postępowi, choć umiarkowani w poglądach, niechętni wszelkiemu dogmatyzmowi i zacietrzewieniu ideologicznemu (od lewa do prawa) i mający świadomość, że zarządzanie państwem i polityki publiczne wymagają fachowej wiedzy i udziału ekspertów. Klasa średnia ma skłonności technokratyczne, ceni sobie spokój i umiar, a przy tym ma poczucie własnej wartości. I tym Nowa Partia powinna się różnić od „trzeciodrogowych" poprzedniczek: nie może bać się otwartej afirmacji swojego elektoratu, mówienia o jego potrzebach i jego godności.

Nikt w Polsce nie miał jeszcze odwagi powiedzieć, że społeczeństwo z natury swej jest hierarchiczne, a klasy wyższe tylko przez uprzejmość nazywamy średnimi. Przecież bogaczy jest garstka – oprócz kilkudziesięciu tysięcy milionerów cała reszta właścicieli domów i nowoczesnych mieszkań to właśnie owa „klasa średnia", która tak naprawdę jest „wyższa" w tym najprostszym sensie, że niemal każdy, kto żyje biednie, chciałby żyć jak ona i uważałby to za awans. Mam nadzieję, że Nowa Partia stanie się właśnie partią partykularną i obywatelską w jednym – obywatelską partią klas wyższych, bez aspiracji do samodzielnego rządzenia, ale też niedającą się zignorować przez żaden demokratyczny rząd.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 6e74b318b5

FELIETON

Sulej

Nieuczesane

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam teledysk do „Smells Like Teen Spirit" w telewizji. Pamiętam natomiast dywan u babci i to, jak siedziałam na nim z warkoczykiem zebranym w kokardę i patrzyłam na głowy machające włosami we wszystkie strony jednocześnie. Oczywiście od razu poszłam do lustra, żeby spróbować wykonać to samej. Babcia musiała zapleść mi warkocz jeszcze raz, bo „strasznie się potargałam".

Przypomniałam sobie ostatnio o tym zachwycie wobec uwolnionych włosów. Na swoim profilu instagramowym bujnymi blond włosami machała ukraińska influencerka, pokazując, jak można wysuszyć włosy metodą „na wiatrak" po uprzednim umyciu ich w misce. W tę zimę w Ukrainie najczęściej nie było elektryczności ani światła, ani ciepła, a woda, jeśli w ogóle była, leciała z kranu upiornie zimna. Mycie włosów było więc za każdym razem aktem oporu, a ich suszenie codzienną praktyką sportową oraz duchową.

Nawet jako podlotek na dywanie u babci rozumiałam, że w teledysku Nirvany chodzi przede wszystkim o wolność, o okazanie pogardy wobec wizerunków, ról i społecznych ustawień, w jakie mamy się wpisywać.

Popłakałam się ze wzruszenia, kiedy łaskawy algorytm podsunął mi nagranie z telefonu jakiegoś irańskiego obywatela czy obywatelki, wykonane w czasie celebracji po zabiciu ajatollaha Chameneiego. Widać tłum na ulicy Teheranu, ludzie tańczą do rockowej muzyki. Na pierwszym planie kilka dziewczyn z długimi ciemnymi włosami, którymi machają tak zawzięcie, jakby od tego zależało ich życie. I rzeczywiście – przez ostatnie dekady życie kobiet w Iranie było mocno zależne od tego, czy potrafiły ujarzmić swoje włosy. Musiały być ukryte, nieistotne, podobnie jak ich posiadaczka. Tak zdecydowała irańska rewolucja w 1979 r. Kobiety mają być zasłonięte, skromne i pilnować nawzajem swojej przyzwoitości.

Włosy są znakiem kobiecości, którą totalitarna kultura nieustannie usiłuje okiełznać. W epoce polowań na tzw. czarownice kobiety podejrzewane o czary golono do gołej skóry, bo wierzono, że to pozbawi je sił. Na wystawie „Postęp i higiena" w Zachęcie w 2015 r., kuratorowanej przez Andę Rottenberg, zobaczyłam zestawienie dwóch filmów. Na jednym – golenie głów Francuzkom podejrzanym o kolaborację z Niemcami, tuż po wojnie. Na drugim – lincz z 1941 r., nakręcony przez nazistów na Śląsku Opolskim. Gerhard i Bronia, kochankowie, zostali ogoleni i przepędzeni boso przez miasto za Rassenschande – zhańbienie rasy. Golenie mężczyzny nie wywołuje u gapiów śmiechu. Jest oswojone, spowszedniałe. Wybuchy radości zaczynają się dopiero przy goleniu dziewczyny.

Podobne uśmiechy musiały malować się na twarzach oficerów i nadzorczyń w obozach koncentracyjnych, kiedy tępymi nożycami ścinali włosy kobiet wcielanych do łagru. Paul Celan w „Fudze śmierci", wierszu poświęconym Zagładzie, przywołuje włosy Sulamitki, kulturowej figury odsyłającej do stereotypu „pięknej Żydówki". Pisze o włosach „popielnych" – jednocześnie odwołując się do ich ciemnego koloru i do tragicznego przeznaczenia żydowskich kobiet, których uroda była dla nich wyrokiem. Piękna Żydówka ma być zdradzona przez swoje włosy: ciemne, swobodne, ponętne. To one mają ją identyfikować. Operacje fryzjerskie – zmiana koloru, nowe uczesanie – były podczas Zagłady najpopularniejszą metodą kamuflażu. Farbowanie na blond, plecenie słowiańskich warkoczy. Takich jak te, którymi w tańcu macha Helena, hipnotyzując swoją urodą Skrzetuskiego i Bohuna.

Na Karaibach warkocz stał się znakiem oporu wobec niewolniczego i kolonialnego ucisku. Kobiety zaplatały grube, ciasne warkocze upinane w kok. Tzw. cornrowes były znakiem ich tożsamości, ale też często praktycznym schowkiem na ziarno i złoto, które po ucieczce z plantacji mogły uratować życie.

> Nawet jeśli zgoli nam się włosy do cna albo zakryje każdy włosek, kobieta nadal może pozostać wolna.

Prostowanie kręconych, naturalnie gęstych i bujnych włosów osób czarnych stało się gestem podporządkowania kulturze białych, którzy akceptują czarność, dopóki ta chce dążyć do białości. Tak jak w antysemickiej narracji: aryjski wygląd jest „dobry", a wszystko, co może nasuwać na myśl żydowską tożsamość – „złe". Zuzanna Ginczanka o swoją „koronę" dbała nawet w areszcie, czekając na egzekucję. Pisała listy z prośbą o spinki i grzebień. Beyoncé na płycie „Lemonade", kiedy zwraca się do męża, podejrzewając go o zdradę, śpiewa, żeby sobie poszedł, jeśli chce, do tej „Becky with the good hair", oskarżając go też o to, że podoba mu się rasistowski porządek.

Nie ma niewinnych gestów wykonywanych wobec kobiecych głów. Nawet pozornie przyjemny proces zaplatania warkocza przez moją babcię był spełnianiem kulturowego marzenia o mojej budzącej się kobiecości – o tym, jaka ma być. Uczesana, skontrolowana. Ale babcia nie doceniła tego, jakie wrażenie wywarła na mnie Nirvana. Zdecydowałam wtedy, że najważniejsze są nieuczesane myśli. Nawet jeśli zgoli nam się włosy do cna albo zakryje każdy włosek, kobieta nadal może pozostać wolna i powrócić silniejsza, kiedy będzie gotowa.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 6e74b318b5

FELIETON

Koziołek

Kino moralnego spokoju

Zebranie wspólnoty jest – zatrzymała mnie sąsiadka przed tablicą ogłoszeń. – Będzie pan?

– W przyszłym tygodniu mam urlop – odpowiedziałem. Nie było to dla niej wystarczające wytłumaczenie, więc dodałem: – Chyba nic ważnego, tylko przyjęcie sprawozdania.

– Dla pana pewnie nie. Ale sąsiad z parteru nie da rady ze swoją emeryturą płacić zaliczek remontowych, zwłaszcza po ostatnim rozliczeniu wody i ogrzewania.

– Chętnie pomogę, tylko nie wiem, co mogę zrobić. Swoją drogą, nie znałem pani od tej społecznie zaangażowanej strony. Wydawało mi się, że ludzie w swojej masie raczej panią denerwują.

– Bo tak jest. Mam silne postanowienie, że kiedy na świecie wszyscy będą już zdrowi i bezpieczni, zajmę się wyłącznie sobą – zakpiła bez uśmiechu. – Następnym razem niech pan przyjdzie na zebranie – dodała łagodnie.

Skończyłem oglądać „Ołowiane dzieci" do łez wzruszony i wzruszeniem swoim zdziwiony, gdyż pierwsze dwa odcinki powodowały we mnie głównie irytację. Denerwowałem się na hutę jak z „Harry'ego Pottera"; na Joannę Kulig w sandałkach na obcasie grzęznącą w miałkim gruncie robotniczego osiedla; na łopatologicznie pchaną widzowi przed oczy trującą sadzę, której oczywiście nie widzi ciemny śląski lud. I nagle gdzieś w połowie serialu irytacja mi przeszła, a jej miejsce zajęło zachwycone zadziwienie.

Bohaterka „Ołowianych dzieci" nie chce dać się zamurować niczym Antygona, nie wysadza się w powietrze jak Ordon.

Bo to nie jest opowieść o epidemii ołowicy rozpoznanej przez prof. Bożenę Hager-Małecką na podstawie badań, które pediatra Jolanta Wadowska-Król przeprowadziła na prawie 5 tys. dzieci z Szopienic, podejrzewając zatrucie metalami ciężkimi. To jest film o tym, że prawda może wyzwolić ludzi z nieszczęścia spowodowanego przez kłamstwo, niewiedzę, ignorancję. Żeby jednak tak się stało, potrzeba odwagi, siły woli i wspólnego działania. Dlatego prawdziwą i fikcyjną bohaterką „Ołowianych dzieci" jest Jolanta Wadowska-Król, a nie Bożena Hager-Małecka vel Krystyna Berger. I co w polskim kinie zadziwiające – bohaterką nietragiczną!

Tragedie – od Sofoklesa po Szekspira – uczą, że im więcej wiemy, tym trudniej podjąć decyzję: być czy nie być? Zabić cara czy nie? Leczyć robotników czy bogaczy w luksusowym uzdrowisku? „I tak świadomość czyni nas tchórzami" („Hamlet"). A jeśli polski bohater podejmuje zdecydowane i szybkie działanie, to najczęściej w stanie ideowego upojenia lub z bezmyślności. Ot, „z synowcem na koń siędziem i jakoś to będzie".

Bohaterka „Ołowianych dzieci" zachowuje się tak, jakby w szkole czytała inne lektury. Nie chce dać się zamurować niczym Antygona, nie wysadza się w powietrze jak Ordon i Wołodyjowski (i Ketling). I nie targa nią moralny niepokój, w jakim nurzał się inteligencki bohater lat 70.

Mniej więcej w czasie, kiedy toczy się akcja serialu, Krzysztof Zanussi kręci „Barwy ochronne". Pamiętacie? Podczas obozu naukowego student gryzie w ucho rektora – karierowicza i plagiatora. Młody asystent Jarosław chciałby go chronić, ale się boi. Milicja zabiera studenta, a cyniczny docent Jakub (Zbigniew Zapasiewicz) – którego pracę rektor opublikował jako swoją – tłumaczy młodemu, że nie może być jednocześnie odważny i ostrożny. Kiedy w końcu Jarosław doznaje przypływu gniewnej odwagi, kieruje ją nie w stronę władzy, ale próbuje utopić docenta, który objawił mu prawdę. Zanussi kapitalnie pokazał marność małej stabilizacji inteligencji akademickiej, ale bohaterka serialu zdaje się ulepiona z innej gliny. Co ciekawe, jej racje moralne nie mają źródła w żadnym określonym systemie etycznym – religijnym czy świeckim. Może wystarczy jej etyka zawodowa lekarza? Niemniej mógłbym za Kantem powiedzieć, że napełnia mnie podziwem i czcią jej wewnętrzne prawo moralne: „Bo tak trzeba".

Zdobyta przez „Królkę" wiedza o hucie trującej dzieci nie tylko nie paraliżuje jej działań, lecz wprawia ją w ruch. Postać grana przez Joannę Kulig chodzi po ludziach; rozmawia, przekonuje, tłumaczy, szuka lepszych słów, jeśli jedne nie skutkują. Wie, że potrzebuje sojuszników, a tak naprawdę sojuszniczek. A tych nie znajduje się w mediach społecznościowych. Jak chcesz stworzyć więź i razem coś zrobić, trzeba wyjść na ulicę i spotkać się twarzą w twarz z drugim człowiekiem. Może być, że z wrogiem.

„Ołowiane dzieci" to film o budowanej z uporem solidarności kobiet; o potencjale politycznym płci. O tym, jak trudno, będąc odpowiedzialną za dom i dzieci, zaangażować się w sprawy publiczne. Scena protestu kobiet przed hutą łapie mnie za gardło równie mocno, a może i mocniej, co sceny przy bramie stoczni w „Człowieku z żelaza". A już najbardziej, kiedy naprzeciw protestujących ustawiają się zomowcy i armatki wodne. Wtedy przychodzą im z pomocą pracownicy huty. Ich faceci.

Nie taki był cel serialu Macieja Pieprzycy, ale myślę, że pośrednio oddał hołd organizatorkom i uczestniczkom dwóch największych protestów społecznych w Polsce po 1989 r.: Strajku Nauczycieli (2019) i Strajku Kobiet (2020). Inaczej niż w filmie skończyły się porażką. Może dlatego, że z kobietami nie było wszystkich ich mężczyzn.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 6e74b318b5

FELIETON

Orliński

Wspomnienia szofera

Tydzień temu media były pełne tekstów o czwartej rocznicy pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Mam nadzieję, że wybaczą mi państwo powrót do tego tematu. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że od czterech lat uważam, że ważniejszego nie ma. Wiem, że gazety nie mogą się w kółko zajmować tym samym, bo czytelnicy odczuwają przesyt, ale naprawdę uważam, że nasze wszystkie inne rozterki są i tak zależne od tego, jak i kiedy skończy się ta wojna. Wliczam w to nawet najbardziej przyziemne problemy: „czy mi się uda spłacić ten kredyt", „czy uda mi się znaleźć lepszą pracę", a nawet „czy dożyję tej wizyty u kardiologa umówionej na rok 2028".

Wciąż myślę, że jesteśmy teraz jak nasi przodkowie z pierwszych miesięcy 1939 r. kładący sobie kafelki w mieszkaniu na nowym osiedlu, które znacznie później będzie nazywane np. Starymi Bielanami, albo kupujący Polskiego Fiata 508, radośnie nieświadomi tego, co przyniesie im wrzesień. Kto był świadomy, ten sprzedawał wszystko, co miał, i kupował bilet na transatlantyk w jedną stronę, ale takich wówczas praktycznie nie było.

Moje najważniejsze wspomnienia pochodzą akurat właśnie z tego następnego tygodnia. W pierwszych dniach wojny byłem pochłonięty sprawami osobistymi i zawodowymi. To był akurat sezon studniówek, więc w niejednym liceum gorąco dyskutowano, tak jak w naszym, czy wypada takową obchodzić, skoro w sąsiednim i zaprzyjaźnionym kraju trwa wojna. Z drugiej strony rocznik ówczesnych abiturientów – klasa 2022 – należał do wyjątkowo ciężko poszkodowanych przez los. Byli doświadczeni covidem, lockdownem i pisowską deformą oświaty. Czy wypadało na koniec edukacji fundować im jeszcze taką traumę? O tym w każdym razie dyskutowali wtedy nauczyciele, rodzice i sami uczniowie.

> Wciąż myślę, że jesteśmy teraz jak nasi przodkowie z początku 1939 r., nieświadomi tego, co przyniesie im wrzesień.

Na serio to wszystko zaczęło się dla mnie w następnym tygodniu, kiedy zacząłem pomagać pewnym przyjaciołom z Ukrainy. Wbrew różnym stereotypom, które mamy na swój temat, okazaliśmy się wtedy wspaniałym społeczeństwem obywatelskim. Rząd Morawieckiego lubił prężyć piersi do orderów, jak to oni wszystko zorganizowali, ale ja widziałem głównie inicjatywy oddolne. Z góry zaznaczam, że to tylko moje indywidualne wspomnienia. Nie byłem na granicy jako reporter, tylko najzupełniej prywatnie. Moje wspomnienia z tego okresu to głównie wspomnienia kierowcy.

Dla moich przyjaciół najważniejsze było niewielkie przejście graniczne w Hrubieszowie. Zapamiętałem z niego doskonale zorganizowany punkt recepcyjny dla uchodźców. Znów, być może moje wspomnienia są omylne, ale z tego, co widziałem, zorganizowano go głównie siłami lokalnego samorządu i społeczeństwa obywatelskiego. Wszystkie czynności typu „rozpakować paletę zgrzewek wody mineralnej" albo „pomóc osobie na wózku przy wysiadaniu z autokaru" ochoczo wykonywali młodzi ludzie, zwracający się do komenderującego nimi dżentelmena per „panie trenerze". Był to więc najprawdopodobniej jakiś lokalny klub sportowy działający pod egidą miejskiego ośrodka sportu i rekreacji. Zatem za sprawne funkcjonowanie całego tego punktu należy gratulować samorządowi w Hrubieszowie, a nie rządowi w Warszawie.

A było czego gratulować, bo to się zdawało działać jak w zegarku. Uchodźcy docierali w różnym stanie, zazwyczaj nienajlepszym. Część nie miała żadnego majątku, wielu z kolei dźwigało transportery z psami i kotami. Po wielu było widać, że to ich pierwsza zagraniczna podróż. Witali ich serdeczni i uśmiechnięci wolontariusze. Pamiętam starszą panią, która na przejściu zostawiła paszport. Była roztrzęsiona, w panice: „Co teraz będzie?". Błyskawicznie zaopiekowała się nią tłumaczka, porozumiała się z „panem trenerem", ten przez walkie-talkie z panem komendantem, w stronę granicy pognał samochód na sygnale – i po chwili paszport dotarł do właścicielki. Aż się chciało powiedzieć: „Witamy w Polsce". Ale właściwie to przecież powiedzieliśmy, bez zbędnych słów.

Jeszcze bardziej rzucało się to w oczy na MOP Markuszów na S17. W normalnych czasach jest to po prostu duży parking przy ekspresówce, ze stacją benzynową, McDonaldem i toaletą tak dużą, żeby obsłużyła cały autokar. Kiedy się jedzie w stronę Warszawy od granicy, to miejsce w dość naturalny sposób nasuwa się jako postój, bo po prostu wcześniej długo nie ma nic porównywalnego. I tam właśnie cztery lata temu powstało centrum pomocy zorganizowane całkowicie oddolnie. Ludzie sami się skrzyknęli i poustawiali termosy z herbatą, punkty wydawania odzieży i zabawek dla dzieci, a nawet polową naleśnikarnię (jak teraz wyguglałem, to zasługa pani Jadwigi Gil).

Lubię wracać do tamtych wspomnień, ponieważ, no cóż, rzadko się jednoczymy jako społeczeństwo, a już zwłaszcza wokół spraw bezinteresownie szlachetnych. Ale tak właśnie było w pierwszych tygodniach roku 2022. Chciałbym więc tym felietonem nisko się pokłonić i pozdrowić wszystkich zaangażowanych w pomoc dla Ukrainy. Także tych, którzy robili tylko za szofera, jak niżej podpisany.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 6e74b318b5

Chutnik Plebanek

Nienawistna wolność

Żyjemy w sieci, czy nam się to podoba, czy nie. Rozmawiamy o tym, co „na fejsie", komentujemy filmiki podesłane przez znajomych. Nawet media coraz częściej konstruują teksty na podstawie tego, co ktoś umieścił na platformach społecznościowych. Próżno tam szukać przedstawienia drugiej strony sprawy. Jest tylko jedna, jedynie słuszna. To już nie dziennikarstwo, a coraz częściej magiel i handlowanie emocjami. W pogoni za adrenaliną coraz rzadziej hamujemy się, jeśli chodzi o ton wpisów pod postami. Mową nienawiści potrafią strzykać zwykli obywatele. Bierze się to nie tylko z poczucia bezkarności pochowanych za nickami krzykaczy, ale i z działania psychologii tłumu. Raźniej lży się w kupie, w otoczeniu trolli celujących w przemocy słownej.

Europa próbuje przykręcić kurek z bluzgami, wprowadzając przepisy, które pozwolą skutecznie ścigać tych, którzy mają niewyparzoną gębę, ale administracja Donalda Trumpa nazywa to zamachem na wolność. Departament Stanu USA postanowił uruchomić portal, który umożliwi mieszkańcom Europy i innych krajów wgląd w treści zakazane przez ich rządy. Waszyngton nazywa to przeciwdziałaniem cenzurze i twierdzi, że przepisy takie jak unijna ustawa o usługach cyfrowych czy brytyjska o bezpieczeństwie w sieci ograniczają wolność słowa.

Hejt nie jest „wyrażaniem opinii". Życzenie komuś śmierci czy wyzywanie od „brudnych i brzydkich" to mowa nienawiści.

Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi oczywiście o pieniądze. Ściganie nienawistników ogranicza skuteczność kampanii ugrupowań prawicowych. Jednak najdotkliwsze byłyby straty technologicznych gigantów. Obroty z reklam spadają, gdy znika paliwo, które najskuteczniej porusza młyny algorytmów: mowa nienawiści, propaganda terrorystyczna lub szkodliwa dezinformacja.

Batalia o ograniczenie hejtu jest trudna, ale wygrać ją trzeba. Badania z 2025 r. („Hejt w internecie. Postawy, opinie oraz różnice w postrzeganiu przez Polki i Polaków") wskazują, że aż 67 proc. kobiet doświadcza obniżenia poczucia własnej wartości w wyniku zetknięcia z wulgaryzmami, połajankami czy groźbami pod swoim adresem. Prowadzi to do zaburzeń psychicznych, problemów zdrowotnych i wycofania z życia społecznego. Połowa kobiet doświadczających hejtu zmaga się z depresją lub myślami samobójczymi, a 20 proc. rezygnuje z aktywności społecznej lub zawodowej z powodu słownej przemocy. Hejterzy komentują zwykle wygląd (aż 70 proc. przypadków!), wiek ofiary i inteligencję kobiet. Pod naszymi felietonami zdarza się to nagminnie.

Mężczyźni również padają ofiarą hejtu, choć rzadziej. Plaga cyberprzemocy chętniej karmi się mizoginią i seksizmem. Mary Beard, filolożka klasyczna, w książce „Kobiety i władza" pisze, że za każdym razem, gdy wypowiada się w telewizji, styka się nie tylko z krytyką – co jest normalne – ale też regularnie spływa na nią wściekły zlew pomyj. Nieważne, co powiedziała, istotne, że w ogóle się odezwała. Z dokumentu telewizji Arte „#Szmata. Mizoginia w internecie" wynika, że agresywne komentarze mają zastraszać i uciszać. To rodzaj przykładu, jak dawniej pręgierz na głównym placu, przestroga, by się nie wychylać.

Im wyżej człowiek zajdzie, tym gorzej, czego przykładem jest choćby nagonka na Katarzynę Odrowską, radną Legnicy protestującą przeciw organizowanemu w mieście spotkaniu z Robertem Bąkiewiczem, czy Natalię Waloch, dziennikarkę i feministkę z „Gazety Wyborczej", która skomentowała (ostro, bo był to felieton) wywiad z Martą Nawrocką. Pod jej adresem posypały się groźby śmierci, gwałtu, „wjazdu na chatę" i inne złorzeczenia. W sprawę zaangażowała się na szczęście redakcja i powzięła kroki prawne.

Cyberprzemoc jest na tyle przezroczysta, że niektórzy zbywają ją radami typu: „Nie przejmuj się, to tylko komentarze". Tymczasem jest to zjawisko, które powoduje realne urazy psychiczne. Dlatego mamy prawo oczekiwać zmiany – reakcji administratorów czy urzędów. Szkoda, że w Polsce prezydent zawetował ustawę o zwalczaniu cyberprzemocy, bo widać wyraźnie, że wśród obywateli i obywatelek rośnie potrzeba, by państwo włączyło się w ochronę przed bezkarnością agresorów. Co znamienne, sama Marta Nawrocka zajęła się kwestią nienawiści w ramach działalności swojej fundacji Blisko Ludzkich Spraw. Może policja nie do końca radzi sobie z agresją w sieci, ale coraz częściej hejterzy są pociągani do odpowiedzialności. To jednak zbyt mało, aby przestrzeń wirtualna, czyli po prostu nasze życie, stała się bezpieczna.

Hejt nie jest „wyrażaniem opinii". Życzenie komuś śmierci czy wyzywanie od „brudnych i brzydkich" to mowa nienawiści. A radzenie komuś, by wyhodował sobie grubą skórę, to jak namawianie ofiary pobicia, żeby wzięła się w garść i przestała bać się wychodzić po zmroku na ulicę. Pola Bełtowska, skoczkini narciarska, po nieudanym starcie na zimowych igrzyskach otrzymała setki nienawistnych wiadomości. Pod ich presją chciała zakończyć karierę. Wycofała się z tego pomysłu dzięki szerokiemu wsparciu, jakiego doświadczyła. To jeden ze sposobów na walkę z hejterami – wspieranie ich ofiar.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 6e74b318b5

Bezpieczeństwo a sprawy płciowe

Donald Trump bywa nieprzewidywalny, jego przemówienia, ekshibicjonistyczne pląsy, tańce oraz przyjazne gesty wobec Putina wprawiają w osłupienie. W PiS dodatkowy niepokój wzbudziły przyjazne gesty Trumpa wobec Bogdana Klicha, kierownika polskiej ambasady w Waszyngtonie. Po wygłoszeniu orędzia o stanie państwa Trump z niezrozumiałych powodów podał Klichowi rękę, co wśród zwolenników PiS zrodziło wątpliwości dotyczące psychicznego i umysłowego stanu prezydenta USA.

Można oczywiście tłumaczyć, że Trump przywitał się z Klichem po to, żeby go upokorzyć, z tym że trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę, że podczas przywitania nie pląsał, nie podrygiwał, nie kręcił biodrami, nie walił Klicha z całej siły po plecach ani nie trzymał jego ręki w żelaznym uścisku tak długo, że Klich musiał ją wyrywać.

Miejmy nadzieję, że podanie przez Trumpa ręki nieuznawanemu przez PiS Klichowi to tylko skutek zmęczenia zakończeniem ośmiu wojen i nałożeniem ceł na cały świat. Ale zgadzam się, że Trump przegiął; powinien wiedzieć, że ręki, którą podał Klichowi, będzie niedługo dotykał prezydent Nawrocki. A po wyborach w Polsce może i sam prezes PiS, który z uwagi na to, kto tę rękę wcześniej ściskał, będzie zmuszony ją odrzucić, tak jak odrzuca niemiecki but, w którym wiadomo kto trzyma nogę i jakie są zamiary tej nogi wobec Polski.

Podczas konwencji PiS w Stalowej Woli poseł Błaszczak nie mógł pochwalić Trumpa za incydent z Klichem, pochwalił go natomiast za „przesądzenie, że są dwie płcie", a nie – jak chcieliby niektórzy w Europie – 240. Błaszczak poparł deklarowaną przez Trumpa liczbę płci, bo uważa, że dwie płcie – w połączeniu z obecnością amerykańskich wojsk – zupełnie wystarczą, żeby zapewnić Polsce bezpieczeństwo i dalszy normalny rozwój. Co do tego, czy w sytuacji niekontrolowanego mnożenia się płci możliwy jest dalszy rozwój posła Błaszczaka, zdania są podzielone, gdyż wygląda on na mocno przestraszonego.

W zapewnieniu bezpieczeństwa i rozwoju ma pomóc również nowy pomysł PiS polegający na utworzeniu Kwatery Głównej RP, która będzie odpornym na wszelkie ataki narodowym centrum dowodzenia. Z wystąpienia Błaszczaka wnioskuję, że chodzi nie tylko o ataki 240 płci czy rozmaitych klimatycznych szaleńców, ale także o zmasowany atak tanimi pożyczkami z unijnego programu SAFE, którego celem jest rzekome unowocześnienie polskiej armii. Błaszczak dał jasno do zrozumienia, że PiS nigdy nie zgodzi się na unowocześnianie armii takimi tanimi metodami.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mnt leipa passion process technology

eprasa.pl 6e74b318b5

W obronie Marka Zająca

W „Gazecie Wyborczej" 16 lutego ukazał się artykuł red. Wojciecha Czuchnowskiego pod prowokacyjnym tytułem „Kto się boi filmu o Marianie Turskim?". Tekst ten wywołał medialną burzę, do której z oczywistych względów została też wciągnięta redakcja POLITYKI. Oto listy w tej sprawie.

Artykuł red. Czuchnowskiego odebrałam nie tylko jako nierzetelny, ale również głęboko krzywdzący – nie tylko dla pamięci Taty, ale także bliskich Mu osób. Pojawia się w nim jednoznaczna teza, jakoby film „XI. Nie bądź obojętny" został zdjęty z anteny TVP tuż przed emisją. To stwierdzenie nie odpowiada faktom. Film ten nie był produkcją zleconą przez Telewizję Polską, a rozmowy na jego temat zarówno ze względów proceduralnych, jak i merytorycznych toczyły się przez wiele miesięcy i nie było w tej sprawie konsensu.

Zupełnie niezrozumiały i bolesny jest jednak fakt, że artykuł ten ukazał się na dwa dni przed pierwszą rocznicą śmierci mojego Taty – dnia, który dla naszej rodziny i dla Jego bliskich powinien być tylko czasem zadumy, wspomnień i refleksji nad Jego życiem. To nie czas na medialną awanturę nacechowaną uproszczeniami.

Chciałabym przede wszystkim jednak odnieść się do postaci red. Marka Zająca – bliskiego przyjaciela mojego Taty, człowieka prawego, który ponad 20 lat swojego życia poświęcił pamięci ofiar Auschwitz i edukacji na temat Zagłady. Artykuł red. Czuchnowskiego w sposób nieuzasadniony i uproszczony przypisał winę Markowi Zającowi za niepokazanie tego filmu w telewizji. Takie przedstawienie sprawy jest nie tylko krzywdzące, ale, co gorsza, stało się przyczyną medialnej nagonki na człowieka, który przez lata wielokrotnie udowadniał, jak ważny był Tata dla niego, a teraz – jak ważna jest pamięć po Tacie.

Marian Turski w Muzeum Polin

© LESZEK ZYCH

Jestem głęboko przekonana, że Tata byłby zbulwersowany tym artykułem. Zarówno twórcy filmu „XI. Nie bądź obojętny", jak i Marek Zając byli bliskimi ludźmi mojego Taty – i są również mnie bliscy. Oczywiście, zależy mi, aby film o przesłaniu Taty w przyszłości mógł mieć jak najszerszą dystrybucję: zarówno w kraju, jak i za granicą. Ale nie może to się odbyć kosztem oddanych Tacie przyjaciół.

JOANNA TURSKA,
CÓRKA MARIANA TURSKIEGO

Pragnę zareagować na bezpodstawną krytykę, także na łamach POLITYKI, której obiektem stał się ostatnio pan Marek Zając (chodzi o felieton Sławomira Mizerskiego pt. „Nie szarpać widzem", który za „Gazetą Wyborczą" opisywał sprawę braku emisji w TVP filmu o Marianie Turskim – red.). Krytyka ta jest tym bardziej krzywdząca, że dotyczy wiernego przyjaciela i pomocnika błp. Mariana Turskiego, a także osoby, która jak mało kto w naszym kraju przyczyniła się do właściwego upamiętnienia Zagłady. Pan Marek Zając jest sekretarzem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, której mam zaszczyt przewodniczyć. Tę wymagającą, czasochłonną pracę wykonuje niestrudzenie od 20 lat, nie biorąc za to ani złotówki. Jego doświadczenie i rozwaga, zaangażowanie, pracowitość i takt są dla Rady bezcenne.

Jego wątpliwości dotyczące filmu „XI. Nie bądź obojętny" były uzasadnione. Film wzbudził kontrowersje nie tylko ze względu na współczesne odniesienia, ale po pierwsze ze względu na sposób wykorzystania wstrząsających obrazów ofiar nazistowskiego okrucieństwa. Historycy, edukatorzy i muzealnicy zwracają uwagę, że sięgając po takie fotografie, należy zawsze zachować szacunek dla ofiar, unikać wystawiania na widok publiczny obrazów ich męki i upokorzenia. Trzeba też brać pod uwagę, że zdjęcia te wyszły często z rąk oprawców i oddają ich punkt widzenia. Wiemy wreszcie, że wstrząsanie emocjami nie służy edukacji, że są lepsze sposoby przypominania i budowania zrozumienia mechanizmów historycznych zbrodni.

DARIUSZ STOLA, DYREKTOR MUZEUM
HISTORII ŻYDÓW POLSKICH POLIN

Od lat z uznaniem śledzimy twórczość dokumentalną oraz działalność społeczną redaktora Marka Zająca. Jego seria dokumentalna „Auschwitz w 33 przedmiotach" w sposób oszczędny, a zarazem przejmujący unaoczniła grozę tego niemieckiego nazistowskiego obozu śmierci. Jako sekretarz Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej oraz przewodniczący Rady Fundacji Auschwitz-Birkenau wniósł znaczący wkład w utrwalenie pamięci o tym obozie. Jako prowadzący obchody 75. rocznicy jego wyzwolenia zaprosił błp. Mariana Turskiego, który obdarzał go przyjaźnią i zaufaniem – do wygłoszenia przejmującego wezwania „Nie bądź obojętny". Po jego śmierci Marek Zając stał się troskliwym opiekunem moralnej spuścizny Mariana Turskiego. Jesteśmy głęboko przekonani, że działania, które w tym zakresie podejmuje, oraz intencje, które mu przyświecają, zasługują na szacunek i poparcie.

MICHAEL SCHUDRICH,
NACZELNY RABIN POLSKI
PIOTR WIŚLICKI,
PRZEWODNICZĄCY ZARZĄDU
STOWARZYSZENIA ŻYDOWSKI INSTYTUT
HISTORYCZNY W POLSCE

eprasa.pl 6e74b318b5

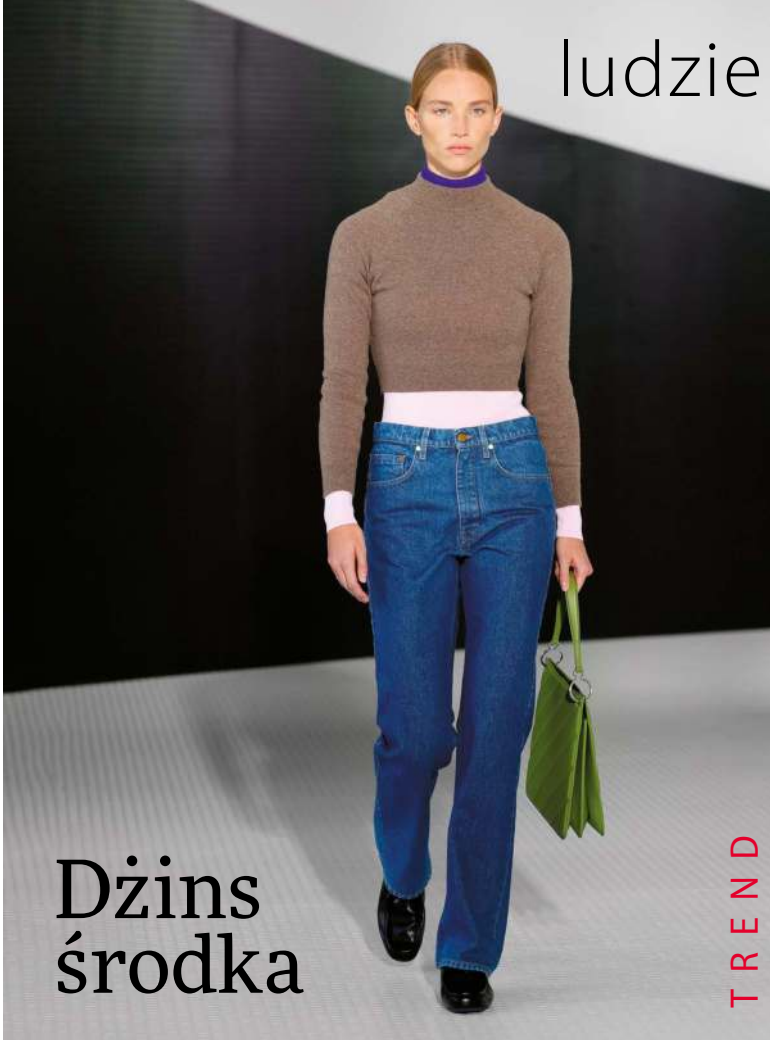

Dżins środka

TREND

Nie za szerokie, nie za wąskie – w ogóle „nie za". Coraz popularniejszym modelem spodni z denimu są te najprostsze, ochrzczone na cześć bohaterki pewnej bajki.

Ja. Ty. My. Wy. Nieważne, jaka osoba czy liczba, byle wcześniej był właściwie zdeklinowany przymiotnik „lepsza". Luty i marzec, a nie kwiecień, jak pisał T.S. Eliot, to najokrutniejsze miesiące. Ledwo się wygrzebaliśmy ze świątecznych dramatów (także tych modowych!) i prób upilnowania postanowień noworocznych (czy idą właściwym torem, czy też złapały zająca po Blue Monday), a tu już przednówek i wiosna za pasem. Korzystniejszy wygląd od lat utrzymuje się czołówce tych postanowień, ale – i tu wreszcie dobra wiadomość – w tym roku moda miłosiernie postanowiła iść temu na przekór i dać nam odsapnąć. Także w sensie ścisłym.

Odkładamy więc na dno szafy przylegające do ciała rurki, spodnie marchewki i wszystko to, co wygląda jak ciut za małe. Z koszyków z zakupami wyrzucamy też dzwony – zresztą kto miałby ochotę zamiatać chodniki i topniejące resztki śniegu swoją dzianiną? A już na pewno na lepsze, o ironio, czasy muszą poczekać hitowe w zeszłym roku „horseshoe" – czyli te z nogawkami przypominającymi podkowę. Zresztą nie ma co się dziwić krótkiemu żywotowi tego trendu. Wszak nie każdy ma ochotę idąc ulicą, korytarzem biura czy chodnikiem wyglądać jak kowboj – niezależnie od tego, ile maratonów z serialem „Yellowstone" ma za sobą.

Teraz wchodzą one – całe na niebiesko, chociaż kolorem 2026 r. jest biel – **dżinsy Goldilocks**. Jeśli nie wiecie, co to za jedne, to najłatwiej pomyśleć o nich tak: są proste. Nie za wąskie, nie za szerokie, takie po prostu w sam raz. Jak ja, ty, my, wy. Jednym z najbardziej znanych modeli tego typu są 501 firmy Levi's, ale można je znaleźć i na wybiegu stylowej marki Khaite. Zaś nazwę Goldilocks jeans wymyślił krytyk modowy Leon Hedgepeth. Skąd to skojarzenie? Z bajki, oczywiście. Goldilocks – czyli Złotowłosa – była tą dziewczyną, która w chatce niedźwiadków po spróbowaniu trzech owsianek wybrała nie tę za zimną, nie tę za ciepłą, ale – tak, tak – tę w sam raz.

Zjawisko nie dotyczy jednak wyłącznie nogawek czy stanu; chodzi o coś szerszego. Obserwatorzy trendów i mediów społecznościowych zauważają rosnące zmęczenie: i tym pierwszym, i tym drugim. Mamy dość nowinek, zmieniających się jak w kalejdoskopie dekalogów stylu, scrollowania, jakby nadchodziły czasy ostateczne, *fast fashion*, trujących, choć tanich nowości z Shein oraz influencerów, którzy robią nam... Sami wiemy, co z czego. Ten sam Hedgepeth, którego cytuje „The Guardian", wylicza, że oprócz zmęczenia trendami w modową grę włączyła się też niepewność finansowa oraz nieustająca nostalgia za latami 90. (więcej w POLITYKA 9 oraz w naszym najnowszym „Pomocniku Historycznym").

„Ślamazarna ekonomia sprawia, że ludzie dwa razy pomyślą, zanim zainwestują pięćset funtów w jakieś modne przez chwilę spodnie. Te o prostej nogawce są jak antidotum: ponadczasowe, niestresujące, bezpieczne, bo wypiszą cię z konieczności brania udziału w kolejnej wojnie między obcisłymi a workowatymi dżinsami" – pointuje Hedgepeth. Zresztą, co słusznie zauważa również „The Guardian", ten model łatwo upolować w second handach – a czynnik ekologiczny jest dla rosnącej liczby konsumentów mody tak samo ważny jak ten ekonomiczny.

Także przewidująca trendy agencja WGSN raportuje, że wciąż rośnie „wielkie wymęczenie", szczególnie wśród młodego pokolenia, które zwykle jest najbardziej łase na nowinki. Wyczerpani wyborami w życiu osobistym i zawodowym chcą mieć spokój, choćby w garderobie. Trudno tu nie połączyć kropek. Nie chcemy nadmiaru, także ekranów, a to właśnie w sieci rozbłyska i gaśnie każdy mikrotrend. 2026 już został ochrzczony „rokiem analogowego życia", także po to, abyśmy mogli odpocząć od emocji generowanych przez sztuczną inteligencję. I pewnie dlatego Pantone wybrała dla nas odcień bieli, który nazywa „cloud dancer". A takie oto ma uzasadnienie werdyktu: „To symbol kojącego wpływu w społeczeństwie na nowo odkrywającym wartość cichej refleksji". Można pisać długo, można pisać krótko, można pisać w sam raz: chcemy spokoju i Goldilocks jeans nam go oferują. ■

Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

© GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, REDDIT.COM/USER/POPYDO, PAWEŁ SKRABA/REPORTER

eprasa.pl 6e74b318b5

WIRAL

Cios w nos

W 1985 r. w szwedzkim miasteczku Växjö reporter dziennika „Dagens Nyheter" zrobił zdjęcie, na którym kobieta w spódnicy uderza torebką łysego neonazistę. Czytelna symbolika fotografii sprawiła, że zdjęcie przeszło do historii (POLITYKA 51–52/25). Dziś sprawy są nieco bardziej skomplikowane – skrajna prawica nauczyła się mimikry i zyskała nowe narzędzia do propagowania nienawiści. Pokazuje to filmik opublikowany 12 lutego na platformie X pochodzący z liceum w Lake Zurich w stanie Illinois. Zamiast skinheada w ciężkich buciorach – Danny Spud, chłopak z bujną czupryną w okularach. Obaj by się jednak dogadali – okularnik trzyma w rękach transparent popierający agencję ICE, w praktyce rządową antymigrancką bojówkę terroryzującą ulice amerykańskich miast. Przyszedł z nim do szkoły prowokować kolegów, którzy zorganizowali protest przeciwko przemocy ICE. Jego okulary to Ray-Bany Meta (POLITYKA 41/25) z wbudowaną kamerą, dzięki której może rejestrować reakcje innych.

„Popieram ICE!" – zaczepia jednego z uczniów. „To super, brachu" – słyszy w odpowiedzi. Ale za chwilę w kadrze pojawia chłopak w brązowej bluzie i zapowiada, że uderzy go pięścią w twarz. „Będziesz miał przez to kłopoty" – odparowuje Spud, na co pada odpowiedź „Okej" i **zapowiedziany cios**. Zrzut ekranu z nadciągającą pięścią rozszedł się po sieci i stał symbolem podobnym do „kobiety z torebką". I jak w tamtym przypadku głosy się podzieliły: dla jednych chłopak w brązowej bluzie (został zawieszony na dwa dni) stał się bohaterem, bo to właściwa reakcja na propagowanie faszyzmu, dla innych „przemoc nigdy nie jest rozwiązaniem".

Jedno jest pewne: prowokatorowi wcale nie chodziło o wyrażanie swoich przekonań. Na lokalnej grupie na portalu Reddit ktoś rozpoznał Spuda jako trolla prankstera, który od lat zaczepia ludzi, żeby tworzyć internetowe treści. W podobny sposób skrajnie prawicowi influencerzy nękali np. społeczność somalijską w Minnesocie. To właśnie twarz współczesnego faszyzmu: ideologia idąca pod rękę z nadzieją na monetyzację w sieci.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Apteka na beacie

Burza rozpętała się po tekście **Taco Hemingwaya** „Zakochałem się pod apteką", w którym podmiot liryczny „idzie rano po solpadeinę" (Solpadeine to lek przeciwbólowy z kodeiną). Odstaje w kolejce, prosi „solpę w rozpuszczalnej tabletce", na co farmaceutka: „Już pan tamto zużył? Był pan w środę/ To jest silny proszek, więc dać nie mogę/ Są zasady, wie pan, niech pan dba o zdrowie/ I mniej alkoholu, tyle panu powiem". Po premierze zanotowano wzrost sprzedaży leku, więc Główny Inspektorat Farmaceutyczny zapowiedział postępowanie. Łatwo sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli w GIF zaczną słuchać polskich płyt rapowych. U tego samego Taco („Big Pharma") znajdą na przykład: „Czemu brak tchu, czemu pierś boli/ Robię, wdycham Ventolin" (tu z kolei lek wziewny w aerozolu), a wcześniej „Chcę jak Żaba jeść dziś xanik", co było odpowiedzią na tekst Żabsona „Walę Xanax i mam święty spokój, nigdy nie zobaczysz u mnie łezki w oku".

W tym czasie inny raper, Quebonafide, Xanax wykorzystał do opisu różnic między kochankami: „Jak kawa i Xanax". Wyraźnie nawiązał do tego Zibex w utworze „Kawa i tramal": „Nie pamiętam dnia bez joya, nie pamiętam dnia bez depry/ Kilka kropel tramca, żeby wyjaśnić swój mętlik". Tabletki lub krople „tramca" (czyli Tramalu, bardzo silnego środka przeciwbólowego) nazywane są też slangowo „trampkami". Duet Tax Free zaś informował: „Pękła furta, wróciłem jak nowy, mówią to Actavis, a piją Acodin" – to o tabletkach na kaszel z dekstrometorfanem, używanych jako środek odurzający, wśród młodzieży nazywanych „ACO" lub „DXM" (od substancji czynnej). Jest nawet w Polsce raper o pseudonimie Yung Acodin.

Chivas w przeboju „5 milionów influencerek" opowiada z kolei o leku przeciwpadaczkowym: „Gdzie moja pregabalina? (w brzuchu)/ Nie wiem, jak to się nazywa, ale czuję taki lęk, że chyba schowam się pod dywan". W styczniu ukazał się singiel „Up! Up! Up!" Maty, który dzień zaczyna trochę jak Taco: „Rano Apap, no i płatki z mlekiem". W najnowszym, popularnym utworze OG Olgierda tytułowa „Zona" to nazwa sprowadzanego z Dalekiego Wschodu leku zawierającego psychotropowy klonazepam. A cztery lata temu w globalnym przeboju „Poland" amerykański raper Lil Yachty opowiadał o tym, jak przemycił do Polski Wock – syrop na kaszel zawierający prometazynę i kodeinę, używany niekoniecznie na kaszel. Na tle tego wszystkiego utwór Taco, który oddaje głos farmaceutce, można uznać nawet za edukacyjny i pouczający.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
I otworzę ci to serce, wszystkim TDW w podzięce,
Odpowiednia jest już pora, by zaśpiewać mordo sto lat
Liryka Składu Ostródzkiego, Serce, 2014 r.
TDW – tylko dla wtajemniczonych

eprasa.pl 6e74b318b5

W Sewilli trwają przygotowania do najważniejszego święta – Wielkiego Tygodnia. To świetna okazja, by podejrzeć świat hiszpańskiej religijności od kulis.

Procesje widma

PODRÓŻE

Siwy mężczyzna, mistrz ceremonii, wyciąga przed siebie obie ręce i w niemal mistycznym skupieniu dotyka karków kolejnych kandydatów, po dwóch naraz. Ci stoją w długich rzędach – jedni wewnątrz kościoła, inni przed wejściem. Odsłaniają szyje, żeby *capataz* mógł wyczuć siódmy kręg, kluczowy przy niesieniu ogromnego ciężaru. Ktoś rozpina koszulę, a między jej połami błyska **wisior z Jezusem dźwigającym krzyż**. Na pomiar czekają sami mężczyźni: wyżsi i niżsi, starsi i młodsi. Wszyscy chcą zostać **costaleros** – niewidocznymi bohaterami Wielkiego Tygodnia.

Choć sewilska Semana Santa kojarzy się przede wszystkim z pokutnikami w habitach ze spiczastymi kapturami, to *costaleros* odgrywają w tym spektaklu nie mniej ważną rolę. To właśnie oni, ukryci pod zwałami materiału, noszą *pasos* – ciężkie platformy ze świętymi figurami podczas procesji. – *W Sewilli nie ma chyba kobiet costaleras* – mówi młody chłopak, który miętosi w rękach plastikową reklamówkę z butami na zmianę. Na *igualá*, czyli mierzenie i dobieranie kandydatów do noszenia *paso*, przyszedł po raz pierwszy. *Igualá* ma wymiar praktyczny, ale też duchowy – widać to po nabożnych minach kandydatów i atmosferze, choć wydarzenie jest również okazją do spotkań i plotek. To kwintesencja tradycyjnego sewilskiego świata męskiej religijności, do którego kobiety wciąż nie mają wstępu – w każdym razie nie w roli uczestniczek.

Ale nie znaczy to, że nigdzie nie ma pań *costaleras* – niektóre miejscowości na prowincji są znacznie bardziej otwarte na przyjmowanie kobiet, które też pragną wziąć na barki ciężar świętych figur. Konserwatywna Sewilla pozostaje jak dotąd przy swoim: w procesjach biorą udział wyłącznie mężczyźni, w większości niewysocy i odpowiednio zbudowani.

Kolejny etap przygotowań do Wielkiego Tygodnia to ćwiczenia praktyczne. Pierwsze *ensayo* (próbę) zobaczyłam podczas swojej pierwszej wizyty w Sewilli wiele lat temu. Widok pustej ciężkiej konstrukcji, która miarowo bujała się ponad ulicą, wprawił mnie w zdumienie – zupełnie jakby kilkudziesięciu mężczyzn niosło ogromny stół. Sami uczestnicy też wyglądali niecodziennie – większość miała na sobie białe podkoszulki na ramiączkach odsłaniające wielkie tatuaże z Matką Boską, Jezusem i innymi motywami religijnymi na ramionach. W talii mieli zapięte pasy, jak ciężarowcy, a na głowach dziwnie zwinięte kawałki grubej tkaniny, by chronić głowę i kark. Zsunięty na oczy zawój sprawia, że nawet podczas prób niosący platformę niewiele widzą – podczas Wielkiego Tygodnia zaś nie będą widzieć nic, ponieważ *paso* pod figurą przykrywa się grubym materiałem.

Costaleros dźwigają platformę na dwie zmiany, więc wokół roiło się od mężczyzn w zawojach na głowach, a także ich żon, dzieci i przyjaciół. W przerwach zatrzymywali się na małe piwo albo *tapas* – bo w Hiszpanii nawet próba procesji jest okazją do spotkania i pójścia do baru.

Ensayos są doskonałą okazją, by przekonać się, jak wygląda procesja od kulis. Zobaczyć mężczyzn, którzy dźwigają ciężar, twarze, po których leje się pot, miarowe kroki zsynchronizowane pod dyktando *capataz*, czyli dosłownie brygadzisty. Jego rola jest nie do przecenienia – z grupy przypadkowych, dobranych wzrostem mężczyzn musi stworzyć sprawnie działający zespół, w którym każdy członek bierze na siebie część ciężaru; zazwyczaj na głowę przypada od 35 do 40 kg, ale zdarza się, że więcej. Cała platforma z figurą waży od półtorej do trzech i pół tony.

Największe *pasos* w Sewilli dźwiga nawet 60 mężczyzn, a zadaniem capataza jest także motywowanie ich do wysiłku. Do komunikacji używa specjalnej kołatki i głosu.

Dzięki obfitującym w rytuały przygotowaniom i godzinom prób podczas sewilskiego Semana Santa będzie się wydawać, że *pasos* same unoszą się ponad tłumem. A kolejni młodzi mężczyźni będą patrzeć na nie z nadzieją, że za rok im też się uda dostąpić zaszczytu niesienia świętych figur. Jeszcze w XX w. nosili je płatni tragarze, dziś to sami wierni. Kto wie, może w końcu ta furtka otworzy się także dla kobiet? ■

Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

© JULIA ZABRODZKA (2), ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTESRTOCK, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 6e74b318b5

Czy zbieraliście znaczki? A żelaźniaki? To może zaczniecie zbierać wino. Tylko uwaga: to wciąga!

Winozbieractwo

Zaczyna się niewinnie. Butelka tu, dwie tam. Na blacie w kuchni, w szafce, pod schodami – zapasy pęcznieją. Po jakimś czasie z piwnicy trzeba wyrzucić stare graty, by zwolnić miejsce na butelki, a w mieszkaniu pojawia się specjalistyczna chłodziarka na wino. Te większe mieszczą 120 butelek, co wydaje się liczbą ogromną, ale z doświadczenia wiem, że wypełni się po dwóch miesiącach.

Kolekcjonowanie win to choroba, którą może się zarazić każdy winomaniak. Rozwija się zrazu powoli, ale jest praktycznie nieuleczalna (wyjątek zdradzę na końcu), a przerzuty opanowują cały organizm. Rafał zachorował tak mocno, że zaczął organizować wielkie degustacje dla kilkunastu osób, by nadążać z otwieraniem butelek. Robert do dziś śpi na rocznikach sprzed 20 lat, bo kupuje więcej, niż jest w stanie wypić. A co powiedzieć o Andrzeju? On dla składowania maniakalnie gromadzonych win włoskich wybudował ogromną piwnicę z zaawansowanym systemem półek i oznaczeń.

Tak, wydaje się, że gromadzenie win jest przypadłością szczególnie męską. Czym innym jest przywiezienie sobie paru fajnych flaszek z winiarskiego urlopu, które potem otwieramy z nostalgią przez kilka miesięcy. A czym innym – specjalne planowanie tego urlopu, by odwiedzić region winiarski, i w każdej odwiedzanej winnicy zakup trzech kartonów. (Mój rekord to 296 butelek, z braku miejsca w samochodzie jeden ze współpasażerów wrócił pociągiem). Małżonka z dziećmi na basenie, a ty jedziesz na degustację. Po południu idziecie do kawiarni, ale po drodze trzeba zahaczyć o winotekę, może mają jakieś stare roczniki... Chorym zamiast wyzdrowienia (nierealne) można jedynie życzyć wyrozumiałych partnerów.

Zachorowalność zwiększył handel winem przez internet. Dziś w ciągu paru dni można sobie sprowadzić z Niemiec albo np. takiej egzotycznej Grecji wina w Polsce niedostępne. I oczywiście nie ma sensu zamawiać dwóch czy trzech butelek – skoro i tak płacimy za wysyłkę, to najlepiej wypełnić cały karton. Potem te kartony składujemy jeden na drugim w każdej możliwej przestrzeni. W odróżnieniu od znaczków wino zajmuje mnóstwo miejsca.

Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Logistyka kolekcji to dla zbieraczy wielki ból głowy i jednocześnie pole do innowacji. Własnoręcznie projektowane regały, drewniane skrzynki wysuwane na specjalnych szynach, metalowe stojaki, uchwyty na szyjki wkręcane w ścianę. W wersji pro: modułowe systemy składowania albo nawet spiralna piwniczka ze schodkami, którą za ok. 50 tys. zł amerykańska firma wybuduje pod kuchnią. Do tego rzecz jasna inwentaryzacja. Mogą być zawieszki na każdą butelkę (do kupienia w sklepach z winem), specjalne kajety, gdzie wpisuje się dane wina, datę i cenę zakupu, albo swojski Excel. Dostępne są liczne aplikacje do katalogowania własnej kolekcji, w najpopularniejszej – CellarTracker – można wymieniać się notatkami z innymi użytkownikami, w ten sposób się dowiemy, że rocznik 2007 w Chianti Classico jest już w pełni dojrzały.

•••

Najpierw był szok, potem rozpacz. Wynieśli wszyściusieńko, 2 tys. butelek, które trzymałem w piwnicy u ciotki na Mokotowie. Przeprowadziłem się bowiem do mieszkania bez „komórki lokatorskiej" i całą kolekcję win musiałem gdzieś awaryjnie umieścić. Włamali się w listopadzie i w ciągu paru wieczorów wyczyścili dokumentnie z pieczołowicie gromadzonych rieslingów mozelskich, licytowanych na aukcjach win z Jury, dźwiganych na własnych plecach supertoskanów. Jakby odcięli mi rękę.

A potem poczułem ulgę. Los sprezentował mi natychmiastowe wyleczenie ze strasznej choroby, jaką jest winozbieractwo. Od tamtej pory – rozsądnie. Jeśli jakieś wino mi bardzo smakuje, kupię butelkę, ale już nie sześć. Do winoteki idę z nieprzekraczalnym budżetem. Gdy miejsce na półkach w piwnicy się kończy, robię remanent i rozdaję te butelki, na które mam mniejszą ochotę. Drogo okupiony rozsądek, którego życzę wszystkim zbieraczom. ■

Wina kolekcjonerskie:
Remelluri Rioja Jaime Rodríguez 2005, 399 zł (elcatador.pl)
Château Montrose Saint-Estèphe 2010, 550 zł (winetaste.pl)
Salvioni Brunello di Montalcino 2008, 650 zł (mielzynski.pl)
Seña 2009, 670 zł (sklep-domwhisky.pl)

eprasa.pl 6e74b318b5

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Wszystko o wojnie z Iranem

O amerykańsko-izraelskiej operacji w Iranie piszemy szeroko na polityka.pl. Marek Świerczyński sprawdził arsenał Teheranu. Tomasz Zalewski bada nastroje w USA. Michał i Jacek Fiszerowie analizują, jak wojna na Bliskim Wschodzie może wpłynąć na wojnę za naszą wschodnią granicą. Agnieszka Zagner opisuje, co się dzieje w tych dniach w Izraelu i tutejszych schronach. Sytuacja jest dynamiczna, więc ciąg dalszy nastąpi.

Czy AI użyłaby broni atomowej?

Prof. Kenneth Payne z King's College London przeprowadził eksperyment, w którym **trzy popularne modele sztucznej inteligencji – GPT-5.2, Claude Sonnet 4 oraz Gemini 3 Flash – wcieliły się w role liderów mocarstw nuklearnych**. Jak rozwiązywałyby konflikty? „Wyniki okazały się mocno niepokojące", zauważa Marcin Rotkiewicz. Żaden z algorytmów nie wybrał opcji ustępstwa ani kapitulacji. Wprost przeciwnie. Mroczne szczegóły na polityka.pl.

Najwięksi awanturnicy świata

„Do dziś zachodnie służby nie wiedzą jednego: kiedy Putin zdecydował o ataku na Ukrainę" – mówi Agnieszka Lichnerowicz, współgospodyni podkastu „Świat na zakręcie" poświęconego geopolityce i tarciom międzynarodowym. Razem z Mateuszem Mazzinim snują rozważania o wojnie wchodzącej w piąty rok (skończy się za naszego życia?), ale też o NATO, Iranie i największym awanturniku świata, czyli Donaldzie Trumpie. Nowe odcinki co poniedziałek o godz. 19.

Czyja Grenlandia?

Donald Trump miał (ma?) chrapkę na Grenlandię. W jego narracji wyspa jawi się jako pusta plansza: magazyn surowców, punkt strategiczny, teren do przejęcia. „Tyle że to złudzenie. Grenlandia nigdy nie była pusta", wyjaśnia Agnieszka Krzemińska, a o szczegóły wypytuje prof. Jakuba Morawca, badacza średniowiecznej Skandynawii i sag nordyckich z Uniwersytetu Śląskiego. Ustalamy, kto tu był kolonizatorem, a kto emigrantem i komu wyspa tak naprawdę się należy.

O rowerach dyplomatycznie

Dlaczego w Holandii jeździ się bez kasków, a mimo to wszyscy czują się bezpiecznie? Pytamy u źródła. W podkaście „Rowery, nie bajki" Juliusz Ćwieluch gości ambasadora Królestwa Niderlandów Jennesa de Mola, który w Polsce nie rusza się bez kasku i dyplomatycznie wyjaśnia dlaczego. Jest coś, co oba kraje łączy – plaga rowerowych kradzieży. Fanów jednośladów nie zniechęca to ani tu, ani tam. Więcej na YouTube i polityka.pl.

© AP/EAST NEWS, UNSPLASH, GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH, ANNA AMAROWICZ

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 6e74b318b5

POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki POLITYKI

Marcowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl 6e74b318b5

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®

www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl 6e74b318b5